

eduardo
mendoza

oliwkowy
labirynt

znak



oliwkowy labirynt

eduardo
mendoza

oliwkowy labirynt

przekład
Marzena Chrobak

Wydawnictwo Znak
Kraków 2004

Tytuł oryginału
El laberinto de las aceitunas
Copyright © Eduardo Mendoza, 1982

Projekt okładki
Przemysław Dębowski

Opieka redakcyjna
Barbara Grzemowska

Adiustacja
Urszula Horecka

Korekta
Katarzyna Onderka
Małgorzata Biernacka

Łamanie
Ryszard Baster

Copyright © for the translation by Marzena Chrobak
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Znak, Kraków 2004

ISBN 83-240-0447-5



Zamówienia: Dział Handlowy, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Bezpłatna infolinia: 0800-130-082
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.znak.com.pl

Rozdział pierwszy

Jak zostałem porwany i przez kogo

– Szanowni państwo, w imieniu kapitana Flippo, który, nawiasem mówiąc, wrócił dzisiaj do pracy po niedawnej operacji katarakty, witamy na pokładzie lotu rejsowego numer 404 do Madrytu i życzymy przyjemnej podróży. Przybliżony czas lotu wynosi pięćdziesiąt minut. Polecimy na wysokości i tak dalej, i tak dalej.

Bardziej doświadczeni niż ja nieliczni pasażerowie, którzy o tej godzinie korzystali z Mostu Powietrznego, zapięli pasy bezpieczeństwa i włożyli za ucho – na później – niedopałki zgaszone na podszwie. Zawarczały silniki i samolot ruszył, kołyszac się niepokojąco, a ja pomyślałem, że jeśli tak poczyną sobie na ziemi, to czegoż to nie dokona w przestworzach. Wyjrzałem przez okienko ze skrytą nadzieją, że jakimś cudem dotarliśmy już do Madrytu, lecz ujrzałem tylko rozmazane kontury terminalu Prat, które odsuwały się coraz dalej w ciemność, i nie mogłem powstrzymać się od zadania sobie pytania, które być może zadaje teraz właśnie jakiś ciekawy czytelnik, to jest co robi taki wykojeniec jak ja w samolocie Mostu Powietrznego do Madrytu, jakie sprawy wiodą mnie do stolicy królestwa

i czemu tak szczegółowo opisuję kalwarię, której codziennie poddają się tysiące Hiszpanów. Odpowiedź na to pytanie brzmi następująco: otóż właśnie w tym samolocie do Madrytu zaczyna się jedna z najniebezpieczniejszych, najbardziej zawiłanych oraz – dla kogoś, kto z opowieści tej będzie umiał wynieść pożytek – najbardziej pouczających przygód mego burzliwego życia. Lecz właściwie twierdzenie, że wszystko zaczyna się w samolocie, nieco odbiega od prawdy, ponieważ wydarzenia zaczęły biec poprzedniej nocy i ją to, dla zachowania ścisłości chronologicznej, winniem uznać za początek mych utrapień.

Przybyła podówczas wiosna na półkulę północną, gdzie się znajdowałem, a gdy zazieleniły się pierwsze kielki, doktor Sugrañes, który z głęboką wiedzą medyczną, uznanymi zdolnościami administracyjnymi oraz niekwestionowanymi talentami dyscyplinującymi łączył miłość przyrody nieliczącą z jego osobą medyka, administratora i dyscyplinatora, po raz kolejny zlecił mi użycie całej mej sztuki w celu wytropienia, wytrwałości w celu dopadnięcia oraz zaciekłości w celu eksterminacji żarłocznych żuczków żerujących na krzakach róż, stanowiących dumę doktora, które my musieliśmy hodować nadludzkim nakładem pracy na tym ugorze duchowym i geologicznym. Łuskoskrzydłe, jeśli na takie miano i taki rodowód zasługiwały, prowadziły swą niecną działalność w nocy, ta zaś, o której wspomniałem, zastała nas, to jest Pepita Purulenciasa, obywatela Girony lat około pięćdziesięciu, hospitalizowanego za atak na rowerze i próbę przeszycia piką świeckiego władcy nieśmiertelnego miasta Barcelony, oraz unieżonego sługę, uzbrojonych w kubły i młotki, skradających się na czworakach przez zarośla i bezsku-

tecznie usiłujących odtworzyć dźwięk wydawany przez samicę w porze godowej. Pamiętam, że Pepito, nowicjusz w tych szrankach, odczuwał nadmierne podniecenie i bez ustanku wygłaszał komentarze w stylu:

– No i czemu nie wyślą nas polować na panienki, a nie na karaluchy, co?

Na co ja, pamiętam, nakazywałem mu zachować ciszę, by nie spłoszyć zwierzyny. Nie było jednak siły, by go uciszyć, zwłaszcza od momentu, gdy wymacał – bo zdani byliśmy tylko na dotyk w tę noc choć oko wykol – coś, co uznał za pancrzyk żuka i, zadawszy temu czemuś ostateczny cios, zmiażdżył sobie paznokieć wielkiego palca u stopy. Starłem się nie zwracać na niego zbytnej uwagi i koncentrować się na łowach, gdyż jeśliśmy następnego dnia nie przedłożyli mu kubłów wypełnionych w rozsądnych proporcjach pasożytami, doktor Sugrañes okazałby niezadowolenie. Moje z nim stosunki nie układały się najlepiej, co napawało mnie żywym niepokojem, jako że na najbliższy tydzień zapowiadano transmisję z Buenos Aires, drogą satelitarną, decydującego spotkania między kadrą hiszpańską a argentyńską, rozstrzygającego o naszym miejscu w klasyfikacji, i wyłącznie osoby sprawujące się nienagannie miały uzyskać pozwolenie na oglądanie meczu w jedynym telewizorze, jakim dysponował nasz przybytek opieki społecznej. Spieszę wyjaśnić, iż zachowanie moje w owym czasie charakteryzowała wstrzeźliwość, albowiem chociaż w pewnej, jakże już odległej, epoce mego życia byłem, przyznaję, cokolwiek zapalczywy i grubiański, okazywałem zbyt małe poszanowanie własności, godności oraz integralności fizycznej bliźniego i zbyt rzadko przestrzegałem

podstawowych norm współżycia międzyludzkiego, lata zamknięcia w tej szacownej instytucji, zabiegi, których nie szczędził doktor Sugrañes i jego kompetentni podwładni, a w szczególności dobra wola, jaką osobiście wykazywałem, przekształciły mnie, przynajmniej w moim mniemaniu, w kryminalistę zreformowanego, istotę całkiem nową, a nawet zaryzykowałbym twierdzenie, we wzór prawości, umiarkowania i rozsądku. Jednakże świadom tej przemiany wewnętrznej, uznając przedłużanie zamknięcia nakazanego przez trybunały za niecelowe i pałając żądzą wolności, na którą w mej ocenie zasługiwałem, nie potrafiłem powstrzymać się od sporadycznego dawania upustu mej niecierpliwości, a zatem wdawałem się w bójki z pielęgniarkami, niszczyłem przedmioty niebędące moją własnością i próbowałem dopuścić się gwałtu na pielęgniarkach lub osobach odwiedzających innych chorych, które, być może bez złych zamiarów, nie ukrywały w należyтым stopniu swej kobiecej kondycji. Powyższe, w połączeniu z nadmierną podejrzliwością ze strony władz, pewną rezerwą okazywaną przez lekarzy władnych wypisać moje zwolnienie oraz ogólnie znaną powolnością biurokratów, sprawiło, iż nie przyniosły pożądanego rezultatu niezliczone petycje, które do wszelkich instancji sądowych oraz innych kierowałem z niezłomną regularnością, w wyniku czego o wspomnianym powyżej brzasku wiosny upływało sześć długich lat mego pobytu *intramuros* domu wariatów.

Okoliczność owa, choć gorzka, nie przeszkodziła mi zauważyć, że kompan mój ucichł nagle. Po upływie kilku sekund, zdziwiony jego milczeniem, szepnąłem:

– Pepito, co robisz?

Jedyną odpowiedzią na mą indagację był szelest li-

ści.

– Pepito, jesteś tam? – nalegałem. Bez rezultatu.

Wyczułem, że niebezpieczeństwo krąży w pobliżu i na wszelki wypadek postanowiłem mieć się na baczności, choć doświadczenie nauczyło mnie, że mienie się na baczności polega zwykle na przybraniu przebiegłego wyrazu twarzy i pogodzeniu się z góry z tym, co nieuchronne.

W rzeczy samej, kilka sekund później spadły na mnie dwa korpulentne cienie, które zwały mnie z nóg i wgniotły mi twarz w glebę, żebym nie krzyczał. Poczuję, że mnie krępują i kneblują, a widząc, że wszelki opór jest daremny, poświęciłem skąpe siły na próbę wyplucia łajna i żuków, zanim usta me zapieczętowała brudna szmata. Gdy wysiłki moje spełzyły na niczym, postarałem się nie łykać śliny, a była to rzecz niełatwa, o czym może przekonać się każdy, kto zechce powtórzyć eksperyment, już to w celach akademickich, już to w poczuciu solidarności z moją osobą.

To ostatnie z pewnością nie powodowało napastnikami. Przekształciwszy mnie w tobół, powlekli, nie patyczkując się, przez krzaki róż, a po dotarciu do muru okalającego dom wariatów podnieśli do góry i przrzucili na drugą stronę, po czym grzmotnąłem jak długi o twardy asfalt drogi biegnącej wzdłuż ogrodu. Podczas owej podniebnej podróży nie omieszkałem zauważyć samochodu zaparkowanego nieopodal, co nasunęło mi podejrzenie, że nie jestem przedmiotem jakiegoś grubiańskiego żartu, lecz ofiarą matactwa cięższego kalibru. Napastnicy tymczasem pokonali mur i ponownie szarpnęli za moje chuderlawe nogi. W ten mało elegancki sposób dotarłem do samochodu, którego tylne drzwiczki otworzył ktoś od środka i na którego podłogę

zostałem zwalony, podczas gdy nie całkiem mi niezna-ny głos wydawał rozkaz:

– Gaz do dechy i spadamy.

Moja pozycja i położenie pozwalały mi dostrzec jedynie czarne lakierki, białe skarpetki, dwa paski owłosionej łydki i brzeg tergalowych spodni. Dwaj porywacze wsiedli do samochodu, oparli na mnie nogi, zamrugał silnik i ruszyliśmy w nieznaną.

– Był sam? – zapytał ten, co wydał rozkaz odjazdu.

– Z drugim czubkiem – odrzekł jeden ze zbirów.

– Co z nim zrobiliście?

– Daliśmy mu lekko w czapę.

– Na pewno nikt was nie widział?

Zbiry rozpląnęły się w zapewnieniach, a szef, przekonany, że operacja została przeprowadzona sprawnie, polecił kierowcy, by zjechał z drogi i zatrzymał się w ustronnym miejscu. Gdy polecenie to zostało wykonane, cztery ręce uwolniły mnie z więzów. Wygramoliłem się na siedzenie i stanąłem – a ściśle rzecz biorąc, usiadłem – oko w oko z zawsze jowialnym komisarzem Floresem, którego znają już recydywiści mych poprzednich utworów. Neofitom wyjaśniam, iż kapryśny los w zamierzchłej przeszłości połączył nas, komisarza Floresa i mnie, nie węzłem przyjaźni jednak, lecz kreśląc nasze trajektorie życiowe, jeśli wolno mi użyć paradoksu, zarazem paralelnie i dywergentnie, gdyż on po moich żebrach wspiął się na najwyższy szczyt hierarchii, podczas gdy ja staczałem się pod jego wpływem coraz niżej po drabinie społecznej, docierając do dna, czyli opisanej już instytucji dobroczynnej. Był komisarz Flores mężczyzną o przyjemnej powierzchowności, schludnym ubiorze, męskim geście i płynnej wymowie, choć nieubłagany ząb czasu odebrał nieco po-

wabu jego kształtnej postaci, powodując obrzęk lica, dezertyfikację czaszki, próchnicę zębów trzonowych, miszelinizację okolic pasa oraz aktywizację gruczołów łojowych niezależną od temperatury otoczenia, miejsca i okoliczności. I na tym muszę przerwać mój opis, gdyż posiadacz zazdrości godnych cech, które właśnie wyliczyłem, odezwał się do mnie w te słowa:

– Kiwnij tylko palcem, a będziesz miał buzię bardziej płaską niż krajowy produkt brutto. – Po czym dodał, upewniwszy się, że przyjąłem do wiadomości jego zastrzeżenie: – Sądzę zresztą, że ucieszy cię wieść, że to ja zaplanowałem bez ogródek i wprowadziłem w czyn bez przeszkód twoje zniknięcie, wiedząc doskonale, że działałem wyłącznie z myślą o dobru twoim i powierzonej mi trzody. A teraz, jeśli obiecasz mi, że zachowasz się, jak przystało osobie, która mi tyle zawdzięcza, polecę, by wyjęto ci knebel z pyska.

Wyraziłem zgodę, poruszając brwiami, na co posłuszni swemu komisarzowi agencji wydobyli mi z gardła szmatę, która, sądząc po jej wyglądzie i smaku, musiała na co dzień służyć do wycierania korbowodów ze smaru.

– Nie powinieneś wątpić – ciągnął komisarz, podczas gdy samochód wrócił na drogę i połykał kilometry dzielące go od Barcelony – iż komedia ta służy szczytnemu celowi. Nie ma nic bardziej obcego mojemu stanowisku i naturze niż arbitralność. Wykonuję instrukcje pochodzące z bardzo wysoka, a misja moja, której jesteś przedmiotem, ma ściśle tajny charakter. Zatem ani mru-mru.

Pędziliśmy przez mrok w głuchej ciszy i po krótkiej podróży, niezakłóconej żadnym incydentem, nie licząc kilku sporadycznych korków, wjechaliśmy w pstrokate

arterie miasta, na którego widok, po tak długiej nieobecności, urosło mi serce, a do ocz napłynęły łzy, choć trudno mi było dać upust mym emocjom w niewygodnej pozycji, w jakiej się znajdowałem, gdyż jechałem na kolanach, mając za jedyne oparcie uda agentów, do których starałem się zbytnio nie przytulać, by uniknąć sytuacji, która mogłaby zostać mylnie zinterpretowana. Tak przybyliśmy na położoną w centrum miasta, lecz niezatłoczoną ulicę, przy której samochód się zatrzymał. Wysiedliśmy, komisarz, agenci i ja, i podeszliśmy do żelaznych drzwi pozbawionych szyldów i tabliczek. Próg przekroczyłem szybko i sprawnie, z pomocą agentów, którzy wkopawszy mnie do środka, oddalili się.

Znaleźliśmy się, komisarz Flores i ja, w korytarzu krytym niskim sklepieniem, oświetlonym lampami jarzeniowymi i ozdobionym szeregiem cuchnących worków ze śmieciami, ustawionym pod ścianą. Nie zatrzymał się jednakowoż komisarz, by kontemplować ten widok, lecz ruszył naprzód wielkimi krokami, ciągnąc mnie za rękaw aż do następnych drzwi, które zamknęły nam drogę, lecz nie na długo, gdyż komisarz bezzwłocznie je otworzył. Stanęliśmy wówczas, ku memu zdumieniu, w ogromnej kuchni, po której krzątało się co najmniej dwanaście osób w białych fartuchach i owych dziwacznych, wysokich, rurowatych nakryciach głowy, które odróżniają osoby wykonujące zawód kucharza od przedstawicieli wszystkich innych profesji świata. Z wybornych aromatów unoszących się w powietrzu i wytwornej aparycji niektórych dań gotowych do podania wydedukowałem, iż rzeczona kuchnia musi należeć do jakiejś luksusowej restauracji, i nie udało mi się powstrzymać od bolesnego porówna-

nia tego edenu z kuchnią domu wariatów przesiąkniętą odwiecznym fetorem sfermentowanych organizmów, choć by dać świadectwo prawdzie, muszę wyznać, że w sanktuarium gastronomii, w którym się chwilowo znalazłem, dostrzegłem kucharza chłodzącego sobie nogi w kociołku *vichyssoise*.

Przemaszerowaliśmy przez kuchnię nienagabywani przez nikogo i opuściliśmy ją, nie przez drzwi z dwoma skrzydłami, prowadzące z pewnością do jadalni, lecz przez inne, podobne do tych opisanych na początku, prowadzące do drugiego korytarza, którego opis zredukuję do nadmienienia, iż nie występował w nim element śmieci charakterystyczny dla pierwszego korytarza. Korytarz, którego opisu oszczędziłem czytelnikowi, kończył się szybem windy towarowej, równie przepastnej jak pustej, którą przemierzyliśmy nieokreśloną liczbę pięter i z której wyszliśmy wprost do pomieszczenia zajętego przez wózek po brzegi wypełniony skłębioną bielizną. Ciągłe poszukując nowych horyzontów, opuściliśmy pomieszczenie z brudną bielizną i wyszliśmy na szeroki i długi korytarz. Podłogę przykrywał puszysty dywan, z sufitu zwisały kryształowe żyrandole i inne przedmioty w dobrym guście, a po obu stronach ciągnął się szereg drzwi ze szlachetnego drewna. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy w hotelu, lecz w jakim?

Rozdział drugi

Dlaczegoż to?

Nie dał mi komisarz Flores wiele czasu na zachodzenie w głowę, lecz zachował się, jakby owa nagła zmiana dekoracji nie wymagała nawet odrobiny czasu na adaptację. Podążyłem przed nim korytarzem, starając się utrzymać pośladki w bezpiecznej odległości od szpiców jego butów. Niebawem dotarliśmy do kresu naszej wędrówki, to jest do drzwi z zawieszoną na gałce okrągłą tabliczką z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ. Komisarz zapukał, ktoś wewnątrz zapytał: kto zacz, na co komisarz odpowiedział, że to on, Flores, po czym drzwi uchyliły się, choć napis na tabliczce zdawał się sugerować zupełnie inne powitanie, i weszliśmy do salonu umeblowanego zbyt obficie, już nawet pomijając mój spartański gust, by przemknąć do okna i wyskoczyć przez nie, nie potykając się w pół drogi o jakiś mebel. W obliczu powyższego postanowiłem odłożyć na później projekt ucieczki i kontynuować analizę terenu. Nawiasem mówiąc, zaszokowało mnie, iż w pokoju hotelu, który pretendował do miana instytucji o pewnym standardzie, nie spostrzegłem ani łóżka, ani bidetu. Był tam za to, i owszem, gość hotelowy. Nie zauważyłem go wchodząc, gdyż ukrywał się za

drzwiami, które teraz, po sprawdzeniu naszej tożsamości, zamykał na zasuwę, klucz i łańcuch. Osobnik ów był dojrzałym dżentelmenem atletycznej budowy. Jego rysy twarzy i zachowanie wskazywały na szlachetne pochodzenie. Miał szpakowate włosy pięknie wymodelowane maszynką i bardzo smagłą cerę, a z całej jego postaci promieniowała owa aura drogiej wędliny, jaka zwykle otacza pięćdziesięciolatków dbających o swój wygląd zewnętrzny. Nie na tym jednak najwyraźniej polegał sekret szczęścia, gdyż rzeczony dżentelmen sprawiał wrażenie przestraszonego, podejrzliwego i ździebko rozhisteryzowanego. Nie pozdrawiając nas i nie wyrażając nami najmniejszego zainteresowania, podbiegł do biurka zajmującego środek pokoju, z telefonem i popielniczką z rżniętego kryształu, i usiadł za nim. Być może powodował nim strach, że ukradniemy mu fotel, gdyż po zajęciu miejsca wyraźnie odzyskał spokój, przywołał na twarz dobroduszny uśmiech i zaprosił nas gestem, byśmy podeszli. Ogarnęło mnie wówczas dziwne, lecz nieomyślne wrażenie, że widziałem już gdzieś tę osobę. Chciałem przypomnieć sobie gdzie, lecz iskra zgasła i zapadła w czarną studnię podświadomości, z której wspomnienie wróciło dopiero dużo później, gdy sprawy już zaszły za daleko.

Podeszliśmy do biurka. Dżentelmen siedzący za nim spojrzął na komisarza, wskazał na mnie i rozwiął wątpliwości pytaniem:

– To ten?

– Tak, ekscelencjo – odrzekł komisarz Flores. Dżentelmen zasługujący na to miano zakręcił palcem wycelowanym we mnie i zaszczyił mnie słowami:

– Wiesz, z kim rozmawiasz, synu?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Proszę mu wyjaśnić, Flo – powiedział komisarzowi. Ów przysunął usta do moich uszu i wyszeptał, jak gdyby zainteresowany nie powinien słyszeć tej rewelacji:

– To pan minister rolnictwa, don Gumiok Krasulo. Nie tracąc ani sekundy, ugiąłem nogi, wziąłem oddech i odbiłem się od podłogi z zamiarem przeskoczenia przez biurko i ucałowania dłoni znamienitej osoby, i byłbym to uczynił, gdyby komisarz Flores nie uznał za stosowne wbić mi kolano w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Superman, który, w swej wielkości, musiał być przyzwyczajony do oznak kultu, przywrócił atmosferę poufałości dobrotliwym uśmiechem i prostym gestem podłubania w nosie małym palcem. Komisarz przysunął sobie krzesło i usiadł. Ja uznałem, że lepiej będzie pozostać w pozycji znamionującej szacunek. Pan minister podwinął rękawy koszuli i zobaczyłem, że na przedramieniu ma wytatowane serce przebite strzałą i okolone lapidarnym napisem: WSZYSTKIE KURWY.

– Zapewne zachodzisz w głowę, synu mój – rozpoczęła pan minister wiekopomną przemowę – dlaczegóż to wezwałem cię do siebie i dlaczegóż to rozmowa ta odbywa się w anonimowości hotelu, a nie, jak przystałoby mej godności, w marmurowym pałacu. O co za kład, że tak jest.

Złożyłem ukłon, a dygnitarz ciągnął:

– Nie chciałem nikogo wprowadzić w błąd: piastuję wprawdzie tekę Rolnictwa, lecz w mej gestii leżą Sprawy Wewnętrzne. Rolnictwem zajmuje się Ministerstwo Marynarki Wojennej. To taki mały wybieg, do którego się uciekliśmy, aby zagmatwać kwestię odpowiedzialności. Mówię o tym, gdyż wiem, że mogę li-

czyć na twą dyskrecję – ponownie wymierzył we mnie palcem, z którego czubka zwisała mała kuleczka – co do której komisarz Flores udzielił mi, choć z pewną niechęcią, najlepszych referencji. Daruję sobie zatem długie wstępy. Wszyscy jesteśmy świadomi, przez jak trudny okres przechodzi nasz kraj, a jestem optymistą, używając słowa „przechodzi”, albowiem nic nie wskazuje na to, byśmy kiedyś wyszli z drugiej strony. Dybią na nas marksści, besztają kapitaliści, jesteśmy celem terrorystów, szpiegów, prowokatorów, drapieżnych spekulantów, bukanierów, fanatyków, separatystów! od czasu do czasu jakiegoś Żyda, bo tych nigdy nie brakuje. Zalewa nas przemoc, szerzy się panika, moralność obywatelska idzie z dymem, okręt państwa żegluje pod wiatr, instytucje wznoszą się na ruchomych piaskach. Proszę nie wziąć mnie za defetystę: jeszcze widzę w oddali światełko nadziei. – Sięgnął za pazuchę i wydobył flanelowy szkaplerz, który ucałował z przykładnym namaszczeniem. – Ona nas nie opuści w potrzebie. Co panowie na to, byśmy zrobili przerwę na kielicha?

Powstał i podszedł do szafki nocnej, która okazała się zakamuflowaną lodówką. Wyjął z zamrażalnika butelkę szampana i postawił ją na biurku, wołając:

– Nie mam pojęcia, gdzie są kieliszki. Ale wszystkim da się zaradzić, przy dobrej woli i krzcie pomyślowości. Przyniosę z łazienki szklankę, którą panowie mogą się podzielić, a sam będę pił z butelki.

Zniknął za drzwiami łazienki i wrócił ze szklanką, na której brzegu widniały mlecznobiałe ślady w kształcie półksiężyca.

– Proszę się nie przejmować: używałem jej tylko do płukania ust. Jeśli zbyt cuchnie fluorem, przepłuczę

ją. Nie? W porząziu. – Podał butelkę komisarzowi. – Niech pan ją otworzy, Flo, pan, który jest specem od ładunków wybuchowych, cha, cha, cha.

Uśmiechając się półgębkiem, komisarz Flores zaczął odkręcać drucik. Po krótkiej chwili korek wystrzelił i uderzył w sufit, a z butelki wydostała się żółtawa piana, która spłynęła na dywan.

– W jaaaaajo! – wykrzyknął rozradowany pan minister.

Komisarz napełnił szklanę i podał flaszkę dygnitarzowi, który złożył usta w dzióbek, przystawił je do szyjki, wchłonął pół litra, mlasnął i ryknął:

– O kurde, jak w woju! Super, nie? Brakuje nam tylko trzech pieprznych dziewczuszek. Flo, pan, któryś jest człowiekiem światowym, nie mógłby pan...?

Komisarz Flores zakasłał dyskretnie, jakby przywołując go do porządku, i pan minister machnął ręką z rezygnacją.

– No dobrze już, dobrze – zamruczał. – Dałem się porwać temu sympatycznemu nastrojowi. Prawdę mówiąc, między obowiązkami płynącymi z mego stanowiska a tym rupieciem moją żoną wiodę życie... Niech tam – westchnął. – O czym to mówiliśmy?

– Opisywał pan... – naprowadził go komisarz Flores.

– ... istotę rzeczy, ma pan rację. A teraz, za pozwoleniem, przejdę od spraw ogólnych do konkretów. Chodzi o to, iż wczoraj dokonano porwania. Powiedzą panowie, że to nic ani nowego, ani ważnego. Być może. Jednakże tym razem, i proszę nie domagać się szczegółów, sprawa przybrała brzydki obrót. Krótko mówiąc, rząd, mimo swojej powszechnie znanej i wychwalanej stanowczości, jest skłonny zapłacić okup. Sumę, nawiasem mówiąc, tak niewiarygodnie wysoką,

że aby ją zgromadzić, musieliśmy sięgnąć do rachunków bieżących osób, których samo ujawnienie tożsamości sprawiłoby, że poleciałyby głowy. Tak złożone są parametry naszej politycznej rzeczywistości. Jeśli mówię zbyt szybko, proszę podnieść rękę. Nie? Dobrze, kontynuuję. Przekazanie pieniędzy ma nastąpić jutro rano w dyskretnej madryckiej kawiarni. Operacja, rzecz oczywista, nie pociąga za sobą żadnego ryzyka. Jedyne, czego nam potrzeba, to, jak z pewnością panowie się domyślili, pośrednik godny całkowitego zaufania, który, z uwagi na specyficzną sytuację, nie ma kontaktów ze środkami przekazu, kręgami politycznymi, giełdowymi, kościelnymi, wojskowymi ani municypalnymi. Dlatego właśnie przybyłem do Barcelony, miasta jakże europejskiego, tak, mój panie, i jakże... jak to ująć?... kosmopolitycznie prowincjonalnego, gdzie jak zawsze skuteczny Flores zasugerował mi twoje nazwisko, synu najdroższy.

Ostatnia część owej przemowy, choć omieszkalem ją oddzielić od reszty, była skierowana do mnie, w związku z czym przeszedłem gładko, jak już wielokrotnie w życiu, od roli uważnego widza do roli zakłopotanego bohatera. Świadom zaś, że dary takie należy odrzucać w zarodku, pod groźbą wpakowania się w nieprzeciętne tarapaty, odważyłem się podnieść palec, prosząc o głos. Dygnitarz zmarszczył brew i zapytał:

– Siusiu?

– Nie, przewielebna ekscelencjo – zacząłem. I na tym pełnym szacunku wstępie utknęła moja perora, gdyż ku memu najwyższemu zmieszaniu spostrzegłem, iż z ust mych wypadają, miotane powietrzem, które zawsze wyrzucam z siebie w trakcie mówienia, maleńkie kulki ziemi, gnoju i śliny, konglomeratu, który, z

powodu knebla w pierwszej i roztargnienia spowodowanego rozwojem wydarzeń w drugiej kolejności, łykałem od momentu porwania do chwili obecnej. W tej sytuacji postanowiłem odłożyć na sposobniejszą chwilę mój wywód i pospieszyłem zebrać grudki kalające biurko pana ministra z zamiarem wepchnięcia ich z powrotem do ust. Nie udało mi się to jednak, gdyż dynamiczny decydent posłał je już machnięciem dłoni w drugi koniec pokoju i z owym niezmaconym spokojem, do jakiego tylko nasi politycy bywają zdolni, zachęcał mnie do kontynuowania tyrady. Ja jednak byłem tak zażenowany, że zapomniałem, co chciałem powiedzieć i jakie argumenty zamierzałem wyłuszczyć.

Rozdział trzeci

Wycieczka do stolicy

Oto znieńacka, pomyślałem, znalazłem się na zapleczu maszyny państwowej. W tym miejscu myśli moje pobiegły w kierunku nieścisłości metafory, której właśnie użyłem, oraz innych zagadnień niemających nic wspólnego z zajmującą nas sprawą, już to z powodu, jak sugerował niekiedy doktor Sugrañes, pragnienia wyknnięcia się z otaczającej mnie rzeczywistości, już to, jak twierdził tenże akademik w chwilach gniewu, z powodu ułomności umysłu. Tak czy owak, już prawie przysypiałem, gdy zorientowałem się, że pan minister wbija we mnie oczy nabiegłe krwią, objaw być może zapalenia spojówek, wobec czego udałem, że zbiera mi się na mdłości, jak gdyby milczenie me było spowodowane blokadą natury gastrologicznej, a nie psychicznej, po czym z najwyższym wysiłkiem spróbowałem sfstrygować me potargane myśli.

– Chciałeś o coś zapytać – zachęcił mnie pan minister.

– W rzeczy samej, ekscelencjo. Co mam zrobić?

– Jeśli będziesz zadawać tak bezpośrednie pytania, nigdy do niczego nie dojdiesz – zażartował notabl. – Ale proszę bardzo, odpowiem bez ogródek. W tym

pokoju znajduje się walizka pełna pieniędzy. Zaopiekujesz się nią, przy czym zbyteczne jest wyjaśnianie, że odpowiadasz za nią co do pesety. Jeśli przyjdzie ci do głowy, choćby przelotnie, myśl o uszczupleniu jej zawartości, pamiętaj, że inkwizycja nie umarła; ona tylko drzemie. Myślę, że wyrażam się jasno. Więc przejmiesz, powiadam, walizkę i udasz się do Madrytu. Masz bilet na lot o północy. Na lotnisku Barajas weźmiesz taksówkę, za którą zapłacisz tym, co zechce ci wręczyć, w formie zaliczki, komisarz Flores, gdyż ja mam przy sobie wyłącznie obligacje skarbu państwa, jako dowód całkowitego zaufania do systemu, i powiesz taksówkarzowi, by zawiózł cię do hotelu Florinata de Castilla, gdzie został zarezerwowany pokój na nazwisko Pilarín Cañete. Nazwisko to wymyśliła moja osobista sekretarka, która nie ma wybujałej wyobraźni, jeśli chodzi o *noms de guerre*, ale nie mogę jej zwolnić, gdyż obawiam się, że jest w ciąży przy moim udziale. Po przyjeździe zamkniesz się w pokoju i przedsięwzięmiesz wszelkie możliwe środki ostrożności. O wpół do dziesiątej rano wyjdiesz z hotelu. Pokój jest opłacony. Kolejną taksówką pojedziesz do kawiarni Roncesvalles. Nie podaję ci adresu, lecz taksówkarz z pewnością będzie go znał. Za pięć jedenasta wejdiesz do kawiarni. Możesz zamówić coś do picia, jeśli uznasz za stosowne, ale będziesz musiał zapłacić z własnej kieszeni, jako że budżet operacyjny nie przewiduje wydatków na luksusy. Postaraj się nie zwracać niczyjej uwagi i nie wypuszczaj walizki z ręki ani na sekundę. Punktualnie o jedenastej ktoś podejdzie do ciebie i zapyta o godzinę. Odpowiesz, że skradziono ci zegarek w metrze. Ów ktoś powie, że co za czasy i tak dalej. Wręczysz mu walizkę i, nie zwlekając, weźmiesz następną taksówkę,

pojedziesz na lotnisko, wsiądziesz do pierwszego samolotu lecącego do Barcelony i zapomnisz o wszystkim, co widziałeś i słyszałeś. Rzecz oczywista, gdyby coś ci się przydarzyło, ministerstwo zaprzeczy, że kiedykolwiek miałeś z nami coś wspólnego. Na lotnisku Prat będzie oczekiwał komisarz Flores, który odwiezie cię do miejsca zamieszkania. Nie spodziewam się, jako wytrawny znawca natury ludzkiej, że zechcesz spełnić tę delikatną misję z czystego patriotyzmu lub powodowany innym szlachetnym motywem. Jako łachmyta, którym jesteś, zażądasz jakiejś nagrody. Dostaniesz ją. Nie wiem ile ani kiedy, ponieważ jeszcze nie zamknęliśmy budżetu na rok siedemdziesiąty siódmy, ale coś ci na pewno kapnie. Jesteś zadowolony?

– Najdostojniejszy panie ministrze – wyjąkałem – nie wiem, czy komisarz Flores poinformował pana o mojej sytuacji. Otóż, ekscelencjo, od sześciu lat pozostaję zamknięty w sanatorium dla umysłowo chorych. W skromności mej uważam, że jestem już prawie zdrowy, a lekarze opiekujący się mną, w szczególności doktor Sugañes, nasz wybitny dyrektor, zdają się podzielać tę opinię. Nie skarżę się na opiekę ani na nic innego. Po prostu chciałbym stamtąd wyjść, ekscelencjo. Nie wiem, czy ekscelencja była kiedyś zamknięta w wariatkowie, ale jeśli tak, wie, że nie zbywa nam na rozrywkach. Nie jestem już taki młody, jak w chwili gdy mnie zamykano. Lata płyną, ekscelencjo, i chciałbym już...

Nie robiłem sobie wielkich nadziei, jako że podczas mojej tyrady pan minister wyjął z szuflady biurka nieduży tranzystor i przyłożył go do ucha, bębniąc palcami w blat i wywracając oczy. Nie przestałem jednak perorować, gdyż wiem doskonale, że pamięć gromadzi

to, co odrzuca intelekt, i nie wykluczałem, że pewnej nocy przyśni się panu ministrowi zagmatwany sen, który zręcznie wypatroszony przez psychoanalityka przypomni mu me gorące pragnienia. Z tą myślą zakończyłem mowę i ponownie przyjąłem wojskową postawę, która pod wpływem żaru mych słów nieco się zdeformowała. Widząc, że przestałem mówić, pan minister odłożył radio na biurko, podniósł się po raz drugi i skierował do sofy obitej granatową tapicerką. Oczekiwałem, sam nie wiem czemu, że naciśnie sprężynę i przekształci sofę w łóżko – spektakl ten zawsze wprawiał mnie w zdumienie i entuzjazm – lecz dygnitarz wyciągnął z tylnej kieszeni spodni nóż sprężynowy, otworzył go z wprawą osoby o wieloletniej praktyce na ulicach i w zaułkach, po czym bezlitośnie przeciął jedno z siedzisk. Popęłniwszy ów akt wandalizmu, pan minister złożył i schował nóż, po czym wsunął dłoń w szparę, którą właśnie uczynił, pogrzebał w pierzu wypełniającym siedzisko i wydobył zeń rzeczoną walizkę niewielkich rozmiarów, z którą wrócił do biurka. Zostało mu we włosach sporo piór, co zauważywszy, z poczuciem humoru, które od zawsze charakteryzowało jego departament, zatoczył kilka kółek po dywanie na ugiętych nogach i z wyciągniętymi ramionami, wydając z siebie dźwięk: kwa, kwa, kwa. Komisarz Flores i unizony sługa przyjeśliśmy ten zaimprovizowany gag z należytym rozbawieniem.

– To jest walizka – powiedział pan minister, odyskując oficjalną postawę, stosowną do sytuacji. – A ten klucz to jest klucz. Walizkę dostaniesz, ale klucza nie, ponieważ rząd nie zamierza żadnym sposobem ułatwiać zadania terrorystom. Jeśli chcą dostać się do walizki, niech wyłamią zamek. A teraz otworzę walizkę

kluczem, abyśmy wszyscy przelotnie ujrzeni wypełniającą ją pieniądze. I raz, i dwa, i... trzy!

Pokrywa walizki odskoczyła w górę i naszym oczom ukazała się uporządkowana kolekcja banknotów, tak apetyczna, że wszystkie komórki mego mózgu, co do jednej, przeszył dreszcz. Nawet komisarz Flores, pozuający na człowieka nieprzywiązującego wagi do dóbr doczesnych, nie był w stanie powstrzymać nagłej czkawki.

– Sporo tego, nie? – zagadnął pan minister, zadowolony z efektu, jaki wywarł na publiczności.

Zamknął pokrywę, przekręcił klucz w zamku, klucz schował, a walizkę podał mnie. Drugą ręką wręczył mi bilet powrotny na samolot, ostrzegając zarazem:

– Pamiętaj, że rząd nie toleruje błędów. Flores, odwieź tego numeranta na lotnisko i nie spuszcжай z niego oka, aż samolot wystartuje, a jutro bądź tam od rana i czekaj na niego. I nie próbuj kontaktować się ze mną. Zadzwoń do ciebie, gdy uznam za stosowne. A teraz już idźcie sobie, bo robi się późno i czas na moją godzinę jogi w wannie. Powodzenia i roztropności, synu mój. Jeśli dopadnie cię pokusa, pomyśl o męczeństwie Pana naszego.

I tak oto trafiłem do samolotu wspomnianego na początku pierwszego rozdziału.

Nie będę ukrywał, daleki od anachronicznej obsesji na punkcie bycia macho, grozy, jaką wzbudził we mnie ów nowoczesny środek transportu, z którego korzystałem po raz pierwszy, podróżując dotychczas wyłącznie na zderzakach tramwajów i dachach pociągów towarowych, ani też serii koszmarów, jaką była dla mnie podróż. Powiem tylko na swoje usprawiedliwienie, że przez cały lot zachowałem zimną krew i ani elegancy

pasażerowie, z którymi dzieliłem kabinę, ani wdzięczna, choć surowa stewardesa, która utrzymywała nas wszystkich w ryzach, nie spostrzegli mego pomieszenia i najczarniejszych obrazów podsuwanych mi bez przerwy przez usłużną wyobraźnię. Udało mi się zachować jak stary wyjadacz i żalowałem wyłącznie, że niepowodzeniem zakończyły się moje wysiłki mające na celu spowodowanie wymiotów, którymi chciałem uhonorować torebkę umieszczoną z myślą o mnie przed moim siedzeniem. Stanąwszy zaś obiema stopami na lądzie i spędziwszy stosowny czas w lotniskowej toalecie, dość szybko pozbierałem się po podróży, odzyskałem pewność siebie i chęć wypełnienia powierzonych misji, choć po dziś dzień dostaję spazmów i mdłości, a z ust mych wydiera się jęk, gdy w telewizji pokazują reklamę Iberii. Nie jestem w tym jednak odosobniony.

Wykorzystam tę dygresję, by rozwiać ostatnie wątpliwości, które, być może, nękają jeszcze niejednego czytelnika, co do pobudek, jakie mną powodowały, gdy przyjąłem bez protestów misję opisaną mi, jakby chodziło o synekurę, choć niechybnie najeżona była niebezpieczeństwami. Nękanego w taki sposób czytelnika poproszę, by zechciał postawić się na moim miejscu. Mam nadzieję, iż jasno wyłuszczyłem mój brak entuzjazmu dla idei spędzenia reszty dnia za bramą domu wariatów oraz – biorąc pod uwagę mą przeszłość, środki materialne i stosunki społeczne – nikłe nadzieje na to, że ktoś z jakiejś przyczyny zechce położyć kres memu zamknięciu. Nie zamierzałem zatem tracić okazji do zademonstrowania mych walorów osobie najwyraźniej dysponującej mocą przenoszenia gór. Mym rozważaniom nie był też obcy element patriotyczny, tak zgrabnie wpleciony przez pana ministra, choć wy-

znaję, nie bez wstydu, iż ów altruistyczny argument nie byłby skłonił mnie do działania, gdyby nie wymienione przed chwilą względy egoistyczne.

Nad tym wszystkim medytowałem, mknąc taksówką ulicami Madrytu. Zbyteczne jest wyjaśnianie, że była to moja pierwsza wizyta w stolicy Hiszpanii, w związku z czym trawiła mnie chęć zagadnięcia o ten i ów gmach, pomnik czy plac, lecz powstrzymałem mą ciekawość, gdyż tak nakazywało elementarne poczucie ostrożności. W złowieszczym milczeniu dotarliśmy do budynku, nad którego obłuszczoną z tynku fasadą jarczył się reklamowy neon.

Nie wiem dlaczego, oczekiwałem luksusowego hotelu, i kilkakrotnie upewniłem się u taksówkarza, czy rzeczywiście przywiózł mnie pod wskazany adres, czy też, nadużywając mej niewiedzy, próbuje umieścić mnie w jakiejś szopie należącej do zaprzyjaźnionego hotelarza, co narazi na szwank mą godność i portfel turysty oraz dobre imię mego kraju. Daleki od poczucia wdzięczności za szczerą, z jaką podzieliłem się z nim moimi podejrzeniami, taksówkarz obrócił się na siedzeniu i odrzekł, że siedzi za kierownicą od dwunastu godzin, że z największym trudem wiąże koniec z końcem, że nie mam pojęcia, ile kosztuje utrzymanie dziecka uczęszczającego do szkoły średniej i że on sam nie ma najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie imperytynencji jakiegoś łachudry. Uznałem za stosowne nieprzedłużanie dialogu i wypłaciłem mu z namaszczeniem kwotę widniejącą na taksometrze, dorzucając wielkodusznie pesetę napiwku. Taksówkarz plwał na mnie, gdy przekraczałem próg hotelu.

Recepcjonista o szacownym wyglądzie obcinał sobie

paznokcie.

– Mamy komplet – rzucił, nie dając mi czasu na powitanie.

– Mam rezerwację na nazwisko Pilarín Cañete – oznajmiłem.

Sprawdził grafik pełen wymazań i skreśleń, obrzucił mnie spojrzeniem, w którym mieszała się wściekłość i sarkazm, i stwierdził:

– Ach, tak. Czekaliśmy na ciebie.

Udałem, że nie zauważam poufalej formy adresatywnej, wypełniłem formularz, który po skrupulatnym sprawdzeniu przez recepcjonistę natychmiast wyłądował w koszu, i wyciągnąłem dłoń po klucz przymocowany do ciężkiej gałki. Zanim jednak zacisnąłem na nim palce, recepcjonista walnął mnie gałką po knykciach.

– Należą się cztery stówki – powiedział.

– Pokój został opłacony – zaprotestowałem.

– Ale opłata klimatyczna nie. Cztery stówki albo śpisz na ulicy.

Nie licząc fortuny wypełniającej walizkę, pozostał mi tylko banknot pięćsetpesetowy. Wręczyłem go recepcjoniście, prosząc o pokwitowanie. Powiedział mi, że nie ma szans, ponieważ zepsuł się komputer, i schował banknot do kieszeni.

– To niech pan chociaż wyda mi resztę – zażądałem.

– Wyglądasz mi na niezłą zdzirę, Pilarín – zadrwił niegodziwiec, rzucając mi klucz i wracając do przerywanego manikiuru.

Skierowałem się do pokoju, którego numer wypisano długopisem na gałce, wszedłem i zamknąłem drzwi na klucz. Pokój nie był najgorszy. Rzucano się w oczy, że hotel prezentował niegdyś wysoki poziom, lecz od

jakiegoś czasu nie poświęcano mu należytej troski. Łóżko, wprawdzie pozbawione materaca, było spore, a łazienka w pełni wyposażona, choć któryś z poprzednich klientów nie potrafił zrobić z niej właściwego użytku, sądząc po tym, co pływało w wannie. Mimo wszystko jednak, jako że nie jestem zbyt drobiazgowy, powiedziałem sobie, że czeka mnie przyjemna noc. Schowałem walizkę pod poduszkę, wyciągnąłem się na łóżku i, tak jak widziałem na filmach, sięgnąłem po telefon, by zamówić budzenie na ósmą. Ze słuchawki dobiegł charakterystyczny dźwięk kastanietów. Wytrzymałem kilkanaście minut, po czym odłożyłem słuchawkę. Już prawie zasypiałem, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zapytałem, kto zacz.

– Kelner – odrzekł głos.

– Niczego nie zamawiałem – poinformowałem go.

– Prezent od firmy – wyjaśnił głos.

Nigdy nie odrzucam prezentów, więc otworzyłem. Wszedł kelner, niosąc z charakterystyczną dla przedstawicieli tej profesji zręcznością plastikową tacę, na której stała szklanka i półlitrowa butelka pepsi-coli. Jakim sposobem dyrekcja hotelu tak dokładnie utrafiła w mój gust, pozostaje zagadką, chyba że, jak uznałem wówczas, doszło do zbiegu okoliczności najszczęśliwszego z możliwych. Porwałem butelkę z tacy i ucałowałem jej szkło z szaleńczą nadzieją. Tańcząc raz na jednej, raz na drugiej nodze, zauważyłem, że kelner nie ma jednej ręki.

– Czy nie chciałby pan, by otworzyć mu butelkę? – zapytał.

Potwierdziłem entuzjastycznie i postawiłem ją na szafce nocnej. Rzeczony kalectwo kelnera sprawiło, że operacja otwarcia potrwała około dwudziestu minut,

podczas których przysłała mi do głowy następująca refleksja: a jeśli ów domniemany dar jest w rzeczywistości fortelem lub zasadzką? A jeśli butelka zawiera, oprócz cennego napoju, środek nasenny, narkotyk lub truciznę? A jeśli wszystko to jest częścią makiawelicznego planu uknutego przez Bóg wie kogo w Bóg wie jakim celu? W tym punkcie rozważań przerwał mi kelner, informując, że udało mu się otworzyć butelkę, i zapytując, czy może sobie iść.

– Najpierw – powiedziałem mu – wypij łyk pepsi-coli.

– Demokracja nie obliguje pana aż do tego – odrzekł.

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie skosztujesz tego napoju – uprzedziłem go. – I lepiej mnie nie denerwuj, bo jestem silniejszy.

Skonstatowawszy, że w istocie posiadam nad nim przewagę fizyczną, wzruszył ramionami, podniósł flaszkę do ust i pociągnął długi łyk.

– Niezła – skomentował bez entuzjazmu.

– I jak się czujesz?

– Jak na mój wiek... – stwierdził filozoficznie. Upewniony, że dar nie kryje w sobie żadnej pułapki, wyrwałem mu butelkę z ręki i wypilem jej zawartość, to jest nieco ponad połowę, jednym haustem. Ogarnął mnie rozkoszny zawrót głowy, nieodłączny towarzysz tej niezrównanej ambrozji, dotarłem do łóżka i zapadłem w głęboki sen.

Obudziłem się z silnym bólem głowy. Pod drzwiami chrapał jednoręki. Szczegóły te oraz fakt, że leżę na dywanie, a nie na łóżku, na którym – jak pamiętałem – się kładłem, nasunęły mi na myśl podejrzenie, że jednak zostałem uspiony. Jako że nie posiadałem zegarka,

dowlokłem się do kelnera i zobaczyłem, że jest piąta. Cały drżący wróciłem do łóżka i podniosłem poduszkę. Walizka nadal tam była, lecz zamek został wyważony. Otworzyłem ją. Zionęła pustką. Przetrzęsnałem pokój, zwinąłem dywan, zerwałem tapety, na próżno. Pieniądze, jak było do przewidzenia, ulotniły się jak kamfora. Padłem ofiarą rabunku, a nie tylko głupiego żartu, do jakich jakże skłonni są mieszkańcy stolicy.

Zbyteczne byłoby opisywanie mej rozpacz. Wystarczy wspomnieć, że uczyniłem to, co i pan, rozumny czytelniku, uczyniłby na mym miejscu: wyczerpałem cały repertuar znanych mi bluźnierstw, załamałem rękę, wyrwałem sobie włosy z głowy i skopałem kelnera.

Wyładowawszy w ten sposób pierwszy gniew, powiedziałem sobie, że na nic się nie zda uleganie desperacji, że należy okazać zmysł praktyczny, poszukać wyjścia, znaleźć rozwiązanie. Na początek rozebrałem kelnera, następnie siebie, nasunąłem na niego moje odzienie, a na siebie jego strój. Opróżniłem kieszenie, niegdyś należące do niego, a obecnie do mnie, lecz znalazłem tam jedynie metalowy przedmiot służący do otwierania kapsli, wyciągania korków i do niczego więcej oraz zafoliowany obrazek, przedstawiający z jednej strony stary kalendarz, a z drugiej zdjęcie dziewczyny w gorsecie. Zdziwił mnie tak nędzny rezultat, lecz przypomniałem sobie, że strój kelnera jest prawdopodobnie własnością hotelu, a nie ubiorem osobistym. Po krótkim namyśle postanowiłem przywłaszczyć sobie oba znaleziska. To samo zrobiłem z zegarkiem. Schowałem też mój bilet na samolot, który miał mi umożliwić powrót do Barcelony. Następnie oderwałem kawałek prześcieradła i wytarłem nim starannie

wszystkie ślady linii papilarnych zostawionych przeze mnie oraz przez łapska wszelkich innych osób, które przewinęły się przez pokój. Zawlokłem kelnera na łóżko i zostawiłem go śpiącego na mojej poduszce. Wziąłem walizkę i wszedłem do łazienki. Rolka papieru toaletowego była całkiem nowa; sporo czasu zabrało mi przycięcie czterystu listków i ułożenie ich w miejscu zajmowanym dawniej przez banknoty. Końcowy efekt nawet mnie zadowolił. Mistyfikacja nie mogła przejść niezauważona, rzecz jasna, lecz lepsze było to niż nic. Zamknąłem walizkę, opuściłem łazienkę, zgasłem światło i wyjrzałem na korytarz. Ani żywej duszy. Na czubkach palców zszedłem do holu. Kobieta zasiadająca w recepcji łuskała zieloną fasolkę i wrzucała łupiny do miski stojącej na blacie. Położyłem klucz obok miski, mrugnąłem uwodzicielsko do jej właścicielki i wyszedłem na ulicę. Nie miałem przy sobie ani pesety, a zatem najmniejszej szansy na znalezienie pokoju w innym hotelu, a do spotkania z porywaczami brakowało jeszcze sześciu godzin. Gdybym znajdował się w Barcelonie, wiedziałbym, dokąd się udać oraz co zrobić z wolnym czasem, lecz w owym obcym mieście czułem się samotny i bezradny. Przemierzałem ulice, kryjąc się w cieniu bram za każdym razem, gdy mijali mnie pijacy, złoczyńcy, strażnicy i inni przedstawiciele nocnej fauny. Na ławkach spali żebracy, lecz nie odważyłem się pójść w ich ślady. Choć zmęczenie odbierało mi siły, nieokreślone uczucie, że ktoś podąża moim tropem, nie pozwalało mi przystanąć i odpocząć.

Miasto budziło się z wolna. Na ulicach pojawiła się najpierw garstka osób, potem coraz więcej, a wreszcie sznury ludzi ruszyły do swych codziennych zajęć. Świt zaróżowił niebo, powstały pierwsze korki, zabrzmiały

klaksony i obelgi, świat przybrał swój normalny wygląd. Odzyskawszy spokój w zgiełku i tłoku, zaczępiłem przechodnia i zapytałem, jak dojść do kawiarni Roncesvalles. Dzięki jego wyjaśnieniom godzina ósma zastała mnie za drzewem, które nader dogodnie wyrosło naprzeciwko lokalu. Zegarek jednorękiego wskazywał za kwadrans dziewiątą, kiedy osobnik w podkoszulku odryglował drzwi obrotowe, których położenie i działanie przeanalizowałem uważnie z myślą o ewentualnej rejteradzie. Następnie podjechały dwie lub trzy ciężarówki dostawcze i przeszedł chłopak z koszykiem gorących *churros*, których zapach sprawił, że pociekła mi ślina z ust. Mimo huku silników do mych uszu dotarł syk ekspresu do kawy. Przez chwilę myślałem o tym, by wejść, zamówić kawę z mlekiem i słodziutkimi *churros* i zapłacić papierem toaletowym z walizki, gdyż do takich i gorszych szaleństw popycha człowieka głód, lecz powstrzymałem się. Pierwsi klienci wchodzili i wychodzili, a ja obserwowałem ich, wypatrując człowieka o twarzy złoczyńcy. Wielu miało twarze złoczyńców.

O wpół do jedenastej lokal tętnił życiem i uznałem, że nadszedł moment wkroczenia do akcji. Natychmiast opadło mnie tysiąc obaw i tyleż wątpliwości, ponieważ nie przygotowałem żadnego planu i nie miałem pojęcia, jakie niebezpieczeństwa mogły na mnie czyhać. Było jednak zbyt późno, by się wycofać. Wysikałem się pod drzewem, przygładziłem włosy, otrzepałem ubranie, chwyciłem mocno w garść rączkę walizki i z miną człowieka dysponującego chwilą wolnego czasu w ciągu pracowitego dnia wszedłem do kawiarni.

Rozdział czwarty

Sytuacja się gmatwa

Bar, jak już powiedziałem, tętnił życiem. Spróbowałem policzyć klientów, lecz nie udało mi się, gdyż ściany wyłożone były lustrami, które utrudniały działanie, mnożąc odbicia. Sama operacja wydawała mi się zresztą pozbawiona głębszego sensu, jako że klienci bezustannie się zmieniali, a gdyby już doszło do rękoczynów, wystarczyłyby dwie osoby, by ich przewaga liczebna natychmiast wyszła na jaw. Ponadto wyprostowany palec wskazujący i wysunięty język wkrótce ściągnęły na mnie spojrzenia bywalców. Uznałem, że powinienem zachowywać się bardziej dyskretnie i skierowałem się do baru zajmującego całą tylną część sali. Przechodząc obok stolika, przy którym siedziało trzech osobników, usłyszałem władczy głos:

– Ty tam, chodź no tutaj.

Podszedłem do stolika ze ściśniętym sercem, najezonym włosom i drżącymi nogami. Osobnicy wpatrywali się we mnie, a jeden z nich bawił się czymś, co uznałem za pistolet maszynowy, choć być może był to parasol. Starając się przybrać minę świadcząca o non-szalancji i zimnej krwi, oparłem się o stół i wybełkotałem:

– Ukradli mi zegarek, w metrze jest bałagan, a w walizce mam górę papieru toaletowego.

Osobnicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a wyglądający na przywódcę odpowiedział:

– Dwie czarne, jedna z mlekiem, jedna porcja tortilli, krewetki i paczka cameli – po czym powrócili do przerwanej rozmowy. Zdałem sobie wówczas sprawę, że mam na sobie strój jednorękiego kelnera, wyprostowałem się i odrzekłem służbiście:

– Już się robi.

Podszedłem do baru i powtórzyłem zamówienie, choć z pewnymi wariacjami, gdyż byłem jeszcze nowicjuszem w zawodzie. Odczekałem chwilkę, po czym ktoś postawił przede mną tacę z trzema filiżankami kawy i małżami w sosie. Wziąłem ją bez ociągania i skierowałem się do znajomego stolika. Jako że walczyłem jednocześnie z tacą, walizką i przechodzącymi ludźmi, po trzech krokach zawartość tacy runęła na ziemię. Wróciłem do baru, myśląc na poważnie o ubieganiu się o posadę kelnera, przekonany, że posiadam ku temu pewien talent, a wówczas podeszła do mnie dziewczyna, której nie zauważyłem wcześniej.

– Przepraszam, która jest godzina? – zapytała. Otaksowałem ją uważnie, aczkolwiek dyskretnie, i stwierdziłem, iż mam przed sobą kobietę atrakcyjną, choć bez makijażu i ubraną byle jak. Uznałem, że jest to jedna z hostess, panienek z bestiariusza menedżerów z przedmieść. Gdy snułem te i inne rozważania, dziewczyna, która z nieznanego mi powodu wyglądała na niezwykle zdenerwowaną, powtórzyła swoje pytanie. Spojrzałem na zegarek i powiedziałem, że jest za pięć jedenasta. Podziękowała mi, odwróciła się na pięcie i ruszyła na poszukiwanie jakiegoś dyrektora nadającego

się do oskubania. Dopiero wówczas, i dziś jeszcze rumienię się na to wspomnienie, zorientowałem się, że wypowiedziała hasło, którego tak cierpliwie uczył mnie pan minister, i że pogrążony w bezużytecznych dywagacjach przepuściłem okazję szczęśliwego zakończenia mej misji. W tym czasie dziewczyna przeszła przez kawiarnię, unikając podszczypywań i nie zwracając uwagi na komplementy, i znikła w drzwiach obrotowych. Waląc walizką w każdego, kto mi stanął na drodze, ruszyłem za nią biegiem i wypadłem na ulicę w momencie, gdy wsiadała do samochodu, który natychmiast wystartował. Na szczęście ruch był tak duży, że pojazd ugrzązł w korku kilka metrów dalej. Podbiegłem doń, schyliłem się nad tylnym oknem i krzyknąłem co sił w płucach:

– Ukradli mi zegarek! Bandyci!

Samochód ruszył z piskiem opon i przejechał kilkanaście metrów, po czym znowu stanął. Dobiegłem doń i ponowiłem lament:

–W tym kraju nie da się żyć! Kto nie pije, ten kradnie!

Niemal udało mi się włożyć głowę do środka, gdy samochód wystartował ponownie. Tym razem miałem mniej szczęścia, bo gdy zrównałem się z nim, światła zmieniły się na zielone i sznur pojazdów ruszył na przód. Biegłem dalej, ogłaszając wszem i wobec panowanie chaosu nad światem, aż zabrakło mi tchu w piersiach i musiałem wybierać między kontynuowaniem pościgu a posłuszeństwem instynktowi samozachowawczemu. Wybrałem to pierwsze i udało mi się dopaść samochodu, gdy skręcał. Hostessa, która przez cały ten czas nie spuszczała ze mnie dość przerażonego wzroku, zaczęła zamykać szybę, mówiąc jednocześnie

gościowi za kierownicą:

– Gazu, ten wariat znów tu jest.

W ostatnim momencie udało mi się wrzucić walizkę do środka, co uczyniwszy, padłem jak długi na asfalt, dysząc ciężko i łykając trujący gaz z rury wydechowej samochodu, który wkrótce zniknął w magmie autobusów, motorów i innych środków transportu. Resztką sił dowlokłem się na chodnik, unikając rozjechania przez kawalkadę aut nadciągających z rykiem klaksonów i wrzaskiem kierowców, po czym, nie zważając na wrzawę, przytuliłem się do bruku i zasnąłem.

Obudziła mnie kopniakami jakaś dama, pytając, czy dobrze się czuję. Po części, by usprawiedliwić moją obecność w tym miejscu, a po części, by zmiękczyć jej serce i wyłudzić jakieś pieniądze, powiedziałem, że nic nie jadłem od dwóch dni i że nie mam pracy, na co odrzekła, że kto chce pracować, ten pracuje, a kto nie chce, nie pracuje, i poszła sobie. Była dwunasta i nie miałem w Madrycie nic więcej do roboty, w związku z czym postanowiłem wrócić do mojej małej ojczyzny. Pytając o drogę na prawo i lewo, po długim marszu dotarłem do wylotu autostrady prowadzącej na lotnisko Barajas. Jakiś uprzejmy kierowca zmiłował się nade mną i zgodził się mnie podwieźć. Po drodze opowiedział mi, że ma dość wszystkiego, że jego dzieci to bałwany, a żona – nudna krowa, i że chętnie posłałby to wszystko do diabła, gdyby wiedział, co ma robić i gdzie. Zapytał, czy byłem kiedyś w Afryce, powiedziałem mu, że nie, i w tym punkcie urwała się nasza rozmowa. Wsiadłem z samochodu, przeszedłem pieszo ostatni odcinek i stanąłem przed portem lotniczym w tym samym momencie co autokar, z którego wysypał się tłumek turystów. Prowadzony przez ciąg strzałek i napisów dotar-

łem do terminalu Mostu Powietrznego i dokonałem wszystkich formalności niezbędnych, by wpuszczono mnie na pokład, okazując wyraźnie na wszystkich etapach moje nieokrzeseanie. Ryczały silniki, gdy wspinałem się do wielkiego samolotu otoczony tłumkiem turystów, którzy natychmiast po zajęciu miejsc zaczęli śpiewać, zagłuszając huk maszyn.

– Aby zobaczyć Panienkę z Pilar, przybywam z Calatorao – śpiewali z malowniczym akcentem.

Stewardesa rzucała im garście sugerów. Tubylcom zaoferowała prasę codzienną. Raczej z chęci ukrycia przeszywającego mnie strachu niż z ciekawości nowin z kraju i ze świata wziąłem gazetę i przeglądałem ją z roztargnieniem, aż nagle pewien tytuł w kronice krajowej sprawił, że włosy stanęły mi dęba i prysła cała radość z powrotu do domu. Tytuł zapowiadał notatkę o następującej treści:

„Madryt, dzielnica XIV. – O świcie dzisiejszego dnia został zamordowany w pewnym hotelu naszego miasta osobnik, który zameldował się pod nazwiskiem Pilarín Cañete. Jak donoszą oficjalne źródła, Cañete uciekł poprzedniej nocy z sanatorium dla umysłowo chorych nieopodal Barcelony. Choć zwłoki pozbawione były prawej ręki, w pokoju nie zauważono oznak przemocy. Nie znaleziono także dokumentów, pieniędzy ani przedmiotów wartościowych, z czego może wynikać, iż powodem zabójstwa był rabunek. Módlmy się, by śmierć ta posłużyła za przestrożę dla tych, którzy nie potrafią przyjąć swej kondycji z chrześcijańską pogodą ducha itd. itp.”

– Złe się pan czuje, młodzieńcze? – zapytał mnie towarzysz podróży, być może dlatego, że od dłuższej chwili machinalnie wbijałem mu łokieć w żebra.

– To wysokość – powiedziałem. – Nie przepadam za lataniem.

Uśmiechnął się z wyższością osoby, która spędziła wiele czasu w powietrzu i opowiedział, że to zupełna pestka w porównaniu z burzą, którą przeżył, lecąc z Alicante do Ponferrady w latach pięćdziesiątych.

– Ach, przyjacielu, cóż za bohaterskie czasy! Za każdym razem, gdy samolot pikował w dół i wydawało się, że już ma się roztrzaskać o skały, my, pasażerowie, odpinaliśmy pasy bezpieczeństwa, stawaliśmy na równe nogi i wołaliśmy jednym głosem: Niech żyje Chrystus Król! A gdy wylądowaliśmy w Ponferradzie, alkad wygłosił przemówienie, którego nigdy nie zapomnę.

Słuchałem go, potakując po każdym zdaniu, i wykorzystałem jego podniecenie, by przejąć kilka tysięcysetowych banknotów, które miał w lewej kieszeni spodni.

Choć miałem zamiar wystawić go do wiatru, zdziwiło mnie, że nie ujrzałem komisarza Floresa oczekującego w barze Punkt Spotkań zgodnie z poleceniem pana ministra. Rozważyłem, co mogła oznaczać jego nieobecność i doszedłem do wniosku, że pewnie przeczytał informację o mojej śmierci i pomyślał, zupełnie słusznie, że nie ma sensu dodawać sobie pracy. Opuściłem więc lotnisko Prat, przemknąwszy uprzednio wspaniałymi korytarzami z twarzą zasłoniętą gazetą, wsiałem do taksówki i powiedziałem kierowcy, żeby mnie zawiózł do Barcelony.

– W którą część Barcelony? – dopytywał się.

– Niech pan nie będzie bezczelny i rusza, powiem po drodze.

Naprawdę jednak nie wiedziałem, dokąd mam je-

chać. Przemknęło mi wówczas przez myśl, zapewne nie po raz pierwszy, że chciałbym mieć wygodny dom z własną łazienką i oczekującą mnie teraz rodzinę zgromadzoną przy stole, na którego środku dymiłaby paella z kawałkami królika i garścią krewetek do smaku. Ja jednak byłem sam jak palec, nie miałem się gdzie podziąć, nic nie jadłem od dwudziestu czterech godzin i właśnie przeczytałem o odnalezieniu mych zwłok. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że to mnie, a nie nie szczęsnego jednorękiego zamierzano zamordować i w porywie współczucia pożałowałem, że zostawiłem biedaka tam, gdzie go zostawiłem, przebranego za mnie, nieprzytomnego i bezbronno; wysączyliśmy wspólnie butelkę pepsi-coli i uważałem go niemal za kompana. Jednakże bardziej jeszcze niż ów zgon opłakiwałem jego bezsens, gdyż albo się myliłem, albo osoby zań odpowiedzialne miały niebawem zdać sobie sprawę z omyłki i postarać się ją naprawić, która to perspektywa nie napawała mnie, jak można było przypuszczać, szczególną radością.

– Proszę pana – usłyszałem głos taksówkarza – widzę, że jest pan głęboko pogrążony w myślach, ale już jesteśmy na Plaza España i nie wiem, czy skręcać na Calvo Sotelo czy do centrum.

Podjąłem szybką decyzję i powiedziałem mu, żeby zawiózł mnie do hotelu, gdzie spotkałem pana ministra, którego zamierzałem poprosić, z całym należnym szacunkiem, o pewne wyjaśnienia. Dojechawszy na miejsce, zapłaciłem za kurs pieniędzmi podprowadzonymi rozmownemu współpasażerowi, odczekałem, aż taksówka zniknie za węglem i prześliznąłem się przez korytarz, którym poprzedniej nocy szliśmy wspólnie, komisarz Flores i uniżony sługa, a który dziś, tak jak i

wówczas, prowadził do hotelowej kuchni, nawiasem mówiąc, pachnącej niebiańsko, i do windy towarowej. Tą ostatnią wjechałem na czwarte piętro, przeszedłem wspaniałym korytarzem po puszystym dywanie, zlokalizowałem drzwi pokoju pana ministra i zapukałem.

Otworzył mi dżentelmen o szlachetnych rysach twarzy, odziany w jedwabny szlafrok. Jako że nie był on panem ministrem, chyba że w ciągu tych kilkudziesięciu godzin doszło do kryzysu rządowego, ani też strój jego nie wskazywał, iż jest on gościem ani tym bardziej przyjaciółką pana ministra, ukloniłem mu się sztywno i oznajmiłem:

– Pralnia hotelowa.

– Nie mam nic do prania – stwierdził dżentelmen z wyższością.

– Polecenie dyrekcji – wyjaśniłem, zniżając głos. – Mieliśmy skargi od innych gości.

Nie odważywszy się protestować, co dobitnie świadczyło, że ma nieczyste sumienie, dżentelmen wrócił do pokoju i jął przeszukiwać walizkę leżącą na podłodze. Biurko i pozostałe meble stały w identycznych pozycjach jak onegdaj, co mnie nie zaskoczyło, gdyż nie spodziewałem się żadnej zmiany dekoracji. Natomiast dziwne wydało mi się to, iż sofa, którą pan minister osobiście rozpruł poprzedniej nocy, by z jej wnętrzości wydobyć walizkę, dziś sprawiała wrażenie nienaruszonej. Już zacząłem się obawiać, że pomyliłem pokoje, gdy dostrzegłem na dywanie biały punkt, który coś mi przypomniał, a poddany baczniejszemu badaniu wzrokowemu okazał się białym piórkiem. Nie popełniłem błędu: stałem we właściwym pokoju, choć zajmował go dziś inny osobnik, który wręczył mi z konsternacją kilka koszul i sztuk bielizny. Znalazłszy się poza

zasięgiem jego wzroku, cisnąłem ubranie w dół schodów, a sam, stwierdziwszy niezbicie, że pan minister ulotnił się, opuściłem hotel via kuchnia, wyszedłem na ulicę i ruszyłem przed siebie, ponownie pod osłoną gazety, która z jednej strony pozwalała mi zachować incognito, a z drugiej sprawiała, że bez przerwy wpadałem na innych przechodniów lub na barierki otaczające drzewa i klomby, co znacznie utrudniało i spowalniało mój marsz.

Nie był on zresztą zbyt długi, gdyż zakończył się w pierwszej napotkanej budce telefonicznej, gdzie posługując się monetami, które wydał mi taksówkarz, zadzwoniłem do biura komisarza Floresa. Nieznany głos poinformował mnie, że komisarz jest zajęty.

– Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Pilarín Cañete – powiedziałem.

– Starymi wariatkami zajmuje się porucznik Lentejuelas – odrzekł głos z jawną pogardą.

– Niech pan nie będzie taki mądry i poprosi komisarza, bo może pan później pożałować.

Coś w moim tonie musiało wyrzucić na nim wrażliwość, bo po drugiej stronie kabła nastąpiła cisza, którą przerwał dopiero głos komisarza Floresa.

– Cholera! To ty?

– Jak pan słyszy, panie komisarzu.

– Byłem pewien, że gryziesz ziemię. Zadzwonili do mnie z Madrytu i powiedzieli, że... No dobrze, ty sam lepiej wiesz, czy żyjesz czy nie. Co zrobiłeś z pieniędzmi?

– Są dobrze zabezpieczone – zełgałem, aby zyskać na czasie. – Obawiam się jednak, że w całej tej sprawie kryje się coś dziwnego.

– Jeśli mam być szczery, ja też. Ale powiedz mi jed-

ną rzecz: jeśli to nie ty jesteś trupem, to kto nim jest?

– Pewien biedny jednoręki kelner, który nic złego nikomu nie zrobił, o ile wiem, i który pewnie miał rodzinę i dom...

– Dobra, dobra, nie rozklejaj się. Żyjesz? To się nie skarż, człowieku.

– Panie komisarzu, ktoś próbował mnie zamordować i mam podstawy, by podejrzewać, że na tym nie poprzestanie. Udałem się z wizytą do pana ministra, a on już nie mieszka w hotelu.

– Może wyjechał.

– Czy jest pan pewien, że faktycznie mieliśmy do czynienia z ministrem?

– Człowieku, nie wiem, co ci powiedzieć. Dzwoni do mnie jakiś typ, mówi, że jest ministrem i że chce się ze mną zobaczyć w hotelu, to co u diabła mam zrobić: przecież nie mogę go wylegitymować, nie? Rozumiem, że jesteś zdenerwowany z powodu morderstwa i tak dalej, ale nie powinieneś przesadzać. Być może ktoś rzeczywiście nabija nas w butelkę. Na wolności jest ostatnio sporo ekscentryków. Ja bym się tak znów nie przejmował. Na twoim miejscu wróciłbym do wariatkowa. Powiesz doktorowi Sugrañesowi, że uciekłeś, bo chciałeś iść do kina, i po kłopotcie.

Milczałem przez chwilę, jakbym się zastanawiał, po czym stwierdziłem:

– Panie komisarzu, rozważywszy pana rozumne słowa, jestem przekonany, iż ma pan całkowitą słuszność. Udam się do czubków, nie zwlekając. Życzę miłego dnia.

Usłyszałem, że coś wykrzykuje, być może dlatego, że wątpił w mą szczerość, lecz nie przejąłem się tym ani odrobinę. Odłożyłem słuchawkę, rozpostarłem

periodyk na całą szerokość i ponownie ruszyłem w niebezpieczny rejs ulicami miasta. Tajemnicze zniknięcie pana ministra i podejrzenia, jakie zaczynałem żywić co do jego tożsamości, wzmocniły me przekonanie, iż matactwo, w które mnie wplątano, jest misternie uknute, a ci, którzy już raz spróbowali mnie zlikwidować, na tym jednym razie nie poprzestaną. Sądziłem też, iż niegodziwcy ci nie odważą się napaść na mnie w świetle dnia, na ulicy pełnej ludzi, lecz że będą usiłowali zwabić mnie w bardziej ustronne miejsce i tam dopuścić się niecznych czynów. Musiałem zatem unikać samotności i nocy. To pierwsze zdało mi się stosunkowo łatwe, a to drugie całkowicie niemożliwe, chyba że zdarzyłby się cud, na co jednak ani moje przekonania, ani zachowanie w przeszłości nie pozwalały liczyć.

Mając przed sobą tak mroczne perspektywy i nie wiedząc, dokąd pójść i kogo prosić o pomoc, kluczyłem najbardziej zatłoczonymi alejami, spoglądając z ukosa, gdyż gazeta zasłaniała mi widok z przodu, na eleganckie wystawy sklepów, prowokacyjne witryny restauracji i krzykliwe reklamy kin. Gdy tak wędrowałem, pogrążony w smutnych rozmyślaniach o tym, jak dobrze jest mieć pieniądze i zdrowie potrzebne do ich wydawania, na wewnętrznym ekranie mej pamięci pojawił się z całą ostrością pewien obraz: obraz pana ministra przywołującego ruchem ręki komisarza Floresa i mnie. Nadmieniałem już w stosownym miejscu, iż gest ów i towarzyszący mu dobrotliwy uśmiech wydały mi się znajome. Dlaczegoż nagle...? W tym momencie zaświeciło się w mym mózgu światółko, podczas gdy wokół mnie, nad dachami i drzewami, gasły ostatnie zorze dnia.

Rozdział piąty

Wielki świat filmu

Kartki gazety pozółkły, a wkoło panowała głucha noc, kiedy zlokalizowałem moją siostrę. Stała oparta o latarnię w oczekiwaniu, aż zainteresuje się nią jakiś klient, co nie wydawało się zbyt prawdopodobne, gdyż nawet najbardziej zatwardziali dziwkarze na jej widok przechodzili roztropnie na drugą stronę ulicy. Bezpański pies podbiegł do niej i obwąchał jej rajstopy, po czym uciekł, skowycząc, w dół ulicy. Zbliżyłem się do niej od tyłu, nadal pod osłoną gazety, i szepnąłem do ucha:

– Nie odwracaj się i nie okazuj zdziwienia, Cándida. To ja.

Słyszając mój głos, podskoczyła, wrzasnęła i upuściła torebkę w sam środek kałuży. Na szczęście zachowanie to nie tylko nie przyciągnęło uwagi przechodniów, lecz wręcz przeciwnie, sprawiło, że przyśpieszyli kroku i cuchnąca uliczka wkrótce opustoszała. Cándida odzyskała równowagę, choć zachowała pewną sztywność.

– Powiedziano mi, że cię zabili – wycedziła, wykrzywiając niemiłosiernie usta w próżnym wysiłku zwrócenia ich w moją stronę, nie odwracając jednocześnie głowy. – Że znaleźli cię w hotelu w Madrycie, bez

jednej ręki. Wydało mi się to nieco dziwne, ale znając cię... Jeszcze dziś po południu mówiłam Luisie Cebulej, no, wiesz której, no więc mówiłam jej...

– Cándida, nie mam czasu do stracenia. Szukają mnie, chcą mnie zabić, musisz mi pomóc.

– Teraz nie mogę, jestem w pracy – powiedziała sucho, dając do zrozumienia, że zamyka kurek z siostrzanymi uczuciami, którym dotychczas dawała upust.

– Pamiętasz, Cándida – ciągnąłem, udając, że nie rozumiem aluzji – hiszpański film, bardzo ładny, który oglądaliśmy razem wieki temu, kiedy byliśmy mali? Jego akcja toczyła się w lasach Japonii.

– *Tarzan i Hotentoci!* – odpowiedziała bez zająknięcia Cándida, która zawsze szalała za konkursami radiowymi i nie była w stanie pozostawić żadnego pytania bez natychmiastowej odpowiedzi.

– Pomyśl, zanim otworzysz usta! – skarciłem ją. – Powiedziałem przecież, że chodzi o film hiszpański. Podam ci więcej danych: opowiadał o życiu świętego misjonarza, który porzucił wszystko, w tym dziewczynę z dobrej rodziny, i wyjechał nawracać niewiernych. Na końcu następuje trzęsienie ziemi i cała wioska wali się w gruzy, z wyjątkiem kaplicy, którą zbudował misjonarz z pomocą pewnej grzesznicy...

– *Morze dusz?*

– Właśnie! Ależ ty masz pamięć, Cándida! – wykrzyknąłem z podziwem, a moja biedna siostra wykonała grymas, będący oznaką głębokiego zadowolenia. – A teraz skup się i spróbuj przypomnieć sobie przystojnego aktora, który grał tubylca.

– Antonio Vilar.

– Nie, oślisko, Vilar grał misjonarza. Mam na myśli tego, co był synem kacyka. Nawrócił się na wiarę

chrześcijańską i ukazała mu się Matka Boska...

– I poniósł męczeńską śmierć z rąk własnego ojca?

– Brawo, Cándida! Jak się nazywał ten aktor?

– Oj, braciszku, nie wiem. Pamiętam go, ale nazwisko umknęło mi z pamięci. Czy to nie ten, który grał narzeczonego córki w *Upierdliwej teściowej*?

– Cándida, jesteś chodzącą encyklopedią. Ale nie osiadaj na laurach i posłuchaj mnie uważnie. Szukam pewnego człowieka i jestem pewien, że człowiek ten i aktor, o którym mówimy, to jedna i ta sama osoba. Na początku nie rozpoznałem go, minęło przecież tyle lat, ale teraz nie mam najmniejszej wątpliwości. Wszystko wskazuje na to, że mieszka w Barcelonie, nadal jest w jakiś sposób powiązany ze światem aktorskim i nie ma pracy, bo w przeciwnym razie nie przyjąłby tak delikatnego zlecenia, jak udawanie ministra. Muszę go bezzwłocznie odnaleźć, ale po pierwsze, nie wiem jak, a po drugie, nie powinienem pokazywać się publicznie. Wynika z tego niezbitcie, że musisz mi pomóc.

– Nie bardzo widzę, z czego wyciągasz taki wniosek – zauważyła Cándida.

– Przede wszystkim z niezbitego faktu, że posiadasz wielu znajomych i wielbicieli w świecie aktorskim...

– Milcz, na Boga.

Cándida nie lubiła mówić o epoce, kiedy próbowała odnieść sukces jako śpiewaczka. Przez jej włosy, grubo przerzedzone, prześwitywały jeszcze wgniecenia i szwy po butelkach z czasów, gdy obrzucała ją nimi publiczność niegrzesząca nadmiarem miłości bliźniego, lecz niepozbawiona zmysłu słuchu. Od małego ćwiczyła całymi godzinami, z łańcuchem od spłuczki w rączce zamiast mikrofonu, nieczuła na lanie, jakie sprawiał jej ojciec, na poły po to, by odwieść ją od marzeń o chwa-

le, a na poły, by móc spokojnie drzemać podczas sjesty. W wieku trzydziestu lat, Bóg jeden wie za jaką cenę, Cándida podpisała swój pierwszy kontrakt, lecz jej efemeryczna kariera stanowiła nieprzerwane pasmo podróży ze sceny do kliniki. Nic nie zasmucało jej tak mocno jak wspomnienie owych czasów entuzjazmu i rozczarowania. Zaczęła popłakiwać i poklepałem ją czule po ramionach.

– Zrób to dla mnie, Cándida – poprosiłem głosem słodkim jak miód.

– No dobrze już, dobrze – chlipnęła. – Ale musisz mi przyrzec, że to będzie ostatni...

– Kiedy ty będziesz prowadzić śledztwo, ja pójdę do ciebie, bo byłoby nieroztropnie, gdybym szwendał się po ulicach. Dalej mieszkasz w tym uroczym mieszkanku?

Wręczyła mi niechętnie klucz i, wyjaśniewszy jej, że po powrocie powinna zapukać w drzwi dwa razy, a po chwili jeszcze trzykrotnie, żebym wiedział, że to ona, choć bez większej nadziei, że zrozumiała i że zapamięta, ruszyłem z kopyta i cały drżący, gdyż ulice całkiem już opustoszały, a dzielnica, w którą się zapuszczałem, raczej nie zasługiwała na miano eleganckiej i bezpiecznej.

Zbiorowa mogiła Starego Cmentarza sprawia wrażenie przytulniejszej niż rudera, gdzie mieszka moja siostra. W korytarzu musiałem przebrnąć przez oleistą kałużę, która coś mamrotała, choć nie odważyłem się sprawdzić dlaczego. W jedynym pomieszczeniu, które stanowiło rezydencję Cándidy, mieścił się wyłącznie siennik i jeden mebel. Z właściwym sobie zmysłem praktycznym siostra moja postanowiła, że meblem tym będzie toaletka. Zamknąłem drzwi na klucz, zabaryka-

dowałem je toaletką, a jako że pokój nie miał ani okna, ani żadnego otworu wentylacyjnego, poczułem się w miarę bezpiecznie. Poszukałem czegoś do jedzenia, bez skutku, i wyciągnąłem się na sienniku. Z zasłużonego snu wyrwało mnie walenie w drzwi. Przerażony chwyciłem pierwszy przedmiot, jaki wpadł mi w rękę, z zamiarem użycia go jako broni – był to stanik najeżony fiszbinami – i zapytałem, kto to.

– To ja – powiedziała Cándida, która najwyraźniej zapomniała o hasle. – Otwieraj.

Odciągnąłem toaletkę i otworzyłem drzwi. Gdy weszła, zamknąłem je i ponownie zastawiłem meblem.

– Co ty wyprawiasz z moim buduałem? – zapytała głupolica.

– Gimnastykuję się. Dowiedziałaś się czegoś?

– Chyba tak – wyjęła z za dekoltu papier zmięty w kulę, rozprostowała go na blacie toaletki, nadzwyczaj powoli przeczytała notatki i wyrecytowała: – Toribio Pisuerga. Miejsce i data urodzenia nieznane. Zawodowy aktor. Debiutował w czterdziestym ósmym w *Ranach i wrzodach*, w drobnej rólce trędownatego, niemej. Pracował dla kina do pięćdziesiątego siódmego, zawsze w drugorzędnych rolach. Wypadł z obiegu z nieznanych przyczyn i pojawił się dopiero w sześćdziesiątym drugim. W grudniu sześćdziesiątego drugiego domy towarowe El Águila zatrudniły go jako króla Melchiora. Rok później musieli go wyrzucić z powodu narkotyków.

– Dawał sobie w żyłę?

– I to przy dzieciach, wyobraź sobie – powiedziała moja siostra, okazując purytanizm tak charakterystyczny dla naszej rodziny.

– Co jeszcze?

– I tu ślad znowu urywa się aż do roku siedemdziesiątego, w którym pojawia się pod pseudonimem Muscle Power. Próbował bez powodzenia odnieść sukces w studiach Esplugues i bez przerwy zaciągał długi. Ktoś wprowadził go w reklamę, nakręcił filmik, tak bez nadziejny, że nigdy nie został wyemitowany. W siedemdziesiątym piątym nakręcił spot dla telewizji. Zarobił na tym jakieś pieniądze i widywano go w towarzystwie kobiety znacznie młodszej od niego. Kiedy forsa się skończyła, znowu zniknął.

– Dalej ćpał?

– Nie wiem. Ale raczej nie, ponieważ o takich rzeczach się słyszy, chyba że ktoś ma mnóstwo kasy, by to ukryć.

– A dziewczyna?

– Nikt nie potrafił mi powiedzieć. Myślę, że to jakaś głupiotka fanka. To ważne?

– Być może. Co jeszcze?

– Nic więcej. Nie wystarczy ci?

– Brakuje mi najważniejszej informacji: gdzie go znaleźć.

– Ach, oczywiście, ależ jestem roztargniona – wykrzyknęła Cándida, klepiąc się w czoło i wkładając sobie przy tym mały palec do oka. – Oto jego adres: ulica Gazociągowa 15.

– Cándida, jesteś najpiękniejszą i najinteligentniejszą kobietą pod słońcem.

– Co chcesz zrobić?

– Złożyć wizytę panu ministrowi. Potem zobaczymy.

– Nie jesteś głodny? Kupiłam ci coś do jedzenia w barze na rogu. Ceny mają złodziejskie, ale o tej godzinie...

- Nie musiałaś narażać się na koszty, kobieto.
- Prawdę mówiąc, byłam w parafii i zwrócili mi część pieniędzy, które im dałam.
- Od kiedy to dajesz pieniądze księżom?
- Zamówiłam kilka mszy za ciebie... No wiesz, kiedy mi powiedziano, że...

Aby nie popaść w sentymentalny nastrój, zacząłem grzebać w jej torebce, aż natknąłem się na zatłuszczony pakunek i butelkę pepsi-coli. Pochłonąłem delikates jednym kłapnięciem, a boski nektar jednym haustem i spojrzałem na zegarek. Było wpół do drugiej.

– Powiniennem się zbierać. Cándida, użyż mi swego sprzętu do makijażu. Muszę zmienić wygląd. Otworzyła szufladkę toaletki i podała mi słoiczek.

– Jest za zimno, żeby się golić – wyjaśniła. – Używam tylko błyszczczyka.

– Maść cynobrowa? – zapytałem, przeczytawszy etykietę.

– Jest trwalsza, tańsza i dobra na wypryski.

Nałożyłem sobie na usta karmazynowy specyfik, po czym ze sztucznych rzęs, które zabrałem Cándidzie, sporządziłem śliczny wąsik. Następnie posmarowałem włosy tłuszczem z kanapki, który mi został na rękach.

– I jak? – zapytałem.

– Nie pasuje ci strój kelnera.

– Jeszcze gorzej bym wyglądał nago, idiotko. Pytałem o kamuflaż.

– Ach, w porządku. Kiedy mi oddasz rzęsy? Są mi niezbędne do pracy.

– Kiedy już ich nie będę potrzebował. A ty zostań w domu. Przyzwoite dziewczęta nie wałęsają się po ulicach o tej porze.

Podczas tej wymiany zdań wykonałem wytrych z

fiszbinu wyjętego ze stanika. Nie pogardziłbym pistoletem, jako że nie wiedziałem, czemu i komu będę musiał stawić czoło w niedalekiej przyszłości, lecz zdobycie tego przedmiotu, jak pewnie domyślają się czytelnicy, leżało poza zasięgiem moich możliwości. Wsunąłem wytrych do kieszeni, pożegnałem się z Cándidą, odsunąłem toaletkę, otworzyłem drzwi, zbiegłem po schodach i wyszedłem na pustą i ponurą uliczkę. Takówki ani śladu.

Ulica Gazociągowa nie nazywała się tak przez kaprys władz miejskich czy też kogoś innego odpowiedzialnego za nadawanie nazw ulicom; nigdy nie miałem pełnej jasności w tej kwestii. Na murach widniały wielkie drukowane litery: PALENIE WZBRONIONE. Chodnik zdobyły grupki martwych szczurów. Bez trudu znalazłem numer piętnasty, a czytając nazwiska na skrzynkach na listy w bramie, dowiedziałem się, że eksminister mieszka w drugim mieszkaniu na drugim piętrze. Z zadowoleniem odkryłem, że kamienica ma windę, lecz nadzieje me rozwiały się na widok kabli zwisających ze skrzynki jak bezduszny makaron. Wspiąłem się po schodach i nacisnąłem dzwonek. Brak odpowiedzi zmusił mnie do użycia wytrycha. Drzwi zaskrzypiały w zawiasach, a ja wśliznąłem się do mieszkania gwiazdora.

Mieszkanie to składało się z prostokątnego pomieszczenia z nieposłanym łóżkiem w głębi. Ściany pokrywały fotografie aktora, na których natychmiast rozpoznałem samozwańczego ministra. Na największym zdjęciu, elegancko ubrany, wpatrywał się z uwielbieniem w tubkę maści. Ogromny napis u dołu głosił:

A HEMOROIDY ODEJDĄ W PRZESZŁOŚĆ

Mniejsze fotografie przedstawiały tę samą osobę w różnym wieku i różnie ucharakteryzowaną: na legionistę, wieśniaka, apostoła oraz inne postaci, których nie potrafiłem zidentyfikować. Powołanie ich właściciela nie budziło wątpliwości, gdyż o ile po dywanie walały się śmieci, o tyle na zdjęciach nie uświadczyłbyś ani drobiniki kurzu. Jedynie czas poczercił i pofałdował najstarsze. Jąłem rozmyślać nad próżnością oraz innymi zawitymi cechami ludzkiej natury i z całą pewnością doszedłbym do ciekawych wniosków, gdyby nie słaby jęk, dochodzący z przeciwległego końca mieszkania. Podszedłem tam ostrożnie i ujrzałem, że w ścianie znajduje się zamek, a to, co wziąłem za rysę, jest szparą przy futrynie drzwi wykonanych przez niezbyt sumiennego murarza. Przyłożyłem do niej ucho i usłyszałem pomruk. Bez większego trudu otworzyłem drzwiczki i ujrzałem szafę wnękową, pełną zakurzonych rupieci. Jako że to spomiędzy nich dochodziła żalosa skarga, zacząłem rozgarniać je rękami i po chwili natknąłem się na aktora spoczywającego na podłodze w pozycji rolady.

– Don Muscle! – nie potrafiłem powstrzymać okrzyku zdziwienia. – Co pan tu robi?

Jako że nie odpowiadał, chwyciłem go za kostkę i wywlokłem z szafy. Był korpulentny i ważył swoje. Spostrzegłem, że jest bardzo blady i ledwie oddycha. Na lewym ramieniu ujrzałem świeże nakłucie, otoczne wieloma starymi, już zabliznionymi. Wydedukowałem, że dzięki wynagrodzeniu za odegranie roli mini-stra powrócił do dawnych nawyków, co mu najwyraźniej nie wyszło na dobre. Dlaczego jednak zamknął się

w szafie, żeby dać sobie w żyłę? Czyżby zrobił to z powodu poczucia winy, nielicującego z jego wiekiem, cechami charakteru i przeszłością? Nie wiedziałem, lecz nie był to najlepszy moment na spekulacje, gdyż biedny aktor umierał. Poszukałem telefonu i znalazłem go, lecz nie mogłem uczynić zeń użytku ze względu na to, że ktoś dla rozrywki powyrywał kable. Nie omieszkałem jednak dostrzec numeru nagryzmołonego na ścianie obok telefonu i zapisać go w myśli, po czym wróciłem do umierającego, który podniósł powieki i spoglądał na mnie z większym zainteresowaniem niż zaskoczeniem.

– Don Muscle, pamięta mnie pan? – zapytałem. Mrugnął kilkakrotnie, co mogło oznaczać potwierdzenie lub cokolwiek innego.

– Kto to zrobił, don Muscle? – zadałem kolejne pytanie.

Z największym wysiłkiem wyartykułował kilka dźwięków, których jednak nie zrozumiałem. Przyłożyłem ucho do jego warg.

– Różowy Rycerz... – usłyszałem albo tak mi się wydawało. – Niech pan odszuka Różowego Rycerza i powie mu... powie mu, że jest łotrem. Niech pan tak mu powie ode mnie... A jeśli spotka pan Emilię, niech pan powie... żeby mi wybaczyła. Niech pan nie pomyli tych dwóch wiadomości...

– Bez obawy. Gdzie mieszka Emilia?

– Ja miałem talent, wie pan? Mogłem zostać gwiazdorem, mieć pieniądze, domy, samochody, jachty, baseny... Nie wiem, co się stało.

– Takie jest życie, don Muscle, niech pan się tym teraz nie gryzie.

– Śni król, że królem jest... takiego życia czekam...

Mam wrażenie, że tym razem rzecz się dzieje na serio – powiedział, zamykając oczy.

Wymierzyłem mu kilka policzków, lecz nie zareagował, wobec czego zostawiłem go na podłodze, wyszedłem z mieszkania, zszedłem cichutko po schodach i sprawdziwszy, czy nikt nie czai się w bramie, wymknąłem się na ulicę. Przyklejając się do ścian, dotarłem do alei, którą pędził nieprzerwany sznur ciężarówek, i znalazłem tam budkę telefoniczną. Zadzwo niłem na policję i powiedziałem, żeby niezwłocznie przyjechali do domu aktora, którego nazwisko i adres podałem. Kiedy kazali mi podać moją własną tożsamość, odrzekłem, że nie mam najmniejszego zamiaru się ujawniać i że dzwonię z budki telefonicznej, lecz to w niczym nie umniejsza wagi ani pilności sprawy, i niech dadzą sobie spokój z głupstwami i robią to, co do nich należy, do diabła. Odwiesiłem słuchawkę, po czym podniosłem ją ponownie i wykręciłem numer, jaki widniał na ścianie mieszkania aktora. Szczęście uśmiechnęło się do mnie i odpowiedziało mi nagranie.

– Tu agencja teatralna La Prótasis. W tym momencie nikt z nas nie może podejść do aparatu. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu, a my oddzwonimy... Pipiripi tu-tu.

W informacji telefonicznej panienka, która być może ze względu na godzinę, a być może z powodów osobistych, których nie miałem czasu z nią przedyskutować, okazała dość cierpki charakter, podała mi adres agencji, która – jak się okazało – mieściła się przy ulicy Pelayo. Zanim jednak skierowałem me kroki ku tej centralnie położonej arterii, wróciłem po własnych śladach na ulicę Gazociągową, aby sprawdzić, czy policja zareagowała na mój rozpaczliwy telefon. Muszę

stwierdzić, aby uspokoić sumienie i oddać hołd prawdzie, że w rzeczy samej stał tam, tuż pod znakiem zakazu zatrzymywania, radiowóz. Nie miałem nic więcej do zrobienia w tym smutnym miejscu. Ruszyłem przed siebie, a gdy przejechała wolna taksówka, zatrzymałem ją i podjechałem do zbiegu ulic Balmes i Pelayo. Firmament pojaśniał już, ze świeżo umytej jezdni parowała woda, ćwierkały ptaszki na Ramblach i krążyły pierwsze autobusy. Na balkonie jednego z wznoszących się przede mną gmachów widniał wielki napis:

AGENCJA TEATRALNA LA PRÓTASIS
KURSY DYKCJI, RECYTACJI I ŚPIEWU
KURSY KORESPONDENCYJNE

Portiernia była zamknięta na cztery spusty, lecz fasadę budynku pokrywały reliefy i dekoracje, które umożliwiały i ułatwiały wspinaczkę. Ruszyłem zatem w górę, podczas gdy nieliczni o tej porze przechodnie nie okazywali szczególnego zdziwienia na widok człowieka-pająka w akcji o tak wczesnej godzinie. Z pewnością uznali mnie za rąbniętego czyściciela szyb, zazdrosnego męża szukającego dowodów lub jakąś inną postać z marginesu, niegodną zainteresowania osób, które bladym świtem ruszają do swoich zajęć.

Powiadają, że bliźni oglądani z wysokości zdają się mrówkami, a owo złudzenie optyczne wywołuje w patrzącym wrażenie wszechwładzy, choć logika podpowiada, że powinien on raczej czuć strach na myśl, że jest jedyną normalną istotą w świecie odrażających insektów. Ja jednak niezmiernie daleki byłem od tak wyrafinowanych i sprzecznych uczuć w momencie, gdy chwyciłem za poręcz balkonu agencji. Podciągną-

łem się na rękach, przełożyłem nogę przez barierkę, odetchnąłem i otarłem pot, który perlił mi czoło i inne, mniej szlachetne, części mego ciała. Warstwa brudu na szybach, choć gruba, pozwoliła mi stwierdzić, że w agencji nie ma żywej duszy i że mieści się ona w jednym pomieszczeniu, dość sporym, spartańsko umeblowanym dwoma stołami i biurkiem, kilkoma krzesłami, ławką stojącą pod ścianą i trzema metalowymi szafkami. Sforsowałem zamek i wszedłem do lokalu. Zlekceważyłem stoły i zająłem się szafkami zawierającymi, jak można było przypuszczać, teczki reprezentowanych aktorów. Liczba ich nie przekraczała pięćdziesięciu, a zdjęcia znajdujące się w każdej teczce dawały pewne wyobrażenie o talentach każdego z nich. Przejrzałem je pośpiesznie: Abdul-al-Cañiz, fakir, śpiewak ludowy, adres zamieszkania: przytulisko Mundet, dzwonić między trzecią a piątą po południu; profesor Mariposa, hipnotyzer, ceny promocyjne, zostawić wiadomość w pasmanterii La Esperanza; Tontin, król radości i dobrego humoru, adres czasowy: Szpital San Pablo, Oddział Urologiczny; Pulguita i jej tresowane szczeniaki, zakład karny, data zwolnienia: 1984; ekwilibryści Oscar i Aníbal, sp. z o.o., obecnie tylko Oscar, Aníbal zmarł w roku 1975; Carmen Cueros, humor dla dorosłych, wyłącznie weekendy, w dni robocze krawcowa; Leonor Cabrera, opera, mówi po francusku, rozbiera się za dodatkową opłatą; Monsieur Tonene, telepata, z podwieczorkiem zniżka itd.

Słońce zalewało agencję, gdy skończyłem przeglądać ów katalog triumfatorów, nie znalazłszy nic, co wydałoby mi się istotne. Musiałem się pośpieszyć, jeśli nie chciałem, by ktoś zaskoczył mnie na tym zajęciu. Zacząłem przeszukiwać stoły. Pierwszy, usytuowany strategicznie obok drzwi, należał z pewnością do sekretarki, ponieważ w szufladach mieścił się papier listowy z nadrukiem agencji, koperty, znaczki, notesy do stenografowania, obgryzione ołówki i mocno podniszczona powieść pod tytułem Niewolnica wezyra. Drugi stół, nieco większy i stojący obok balkonu, a zatem należący do szefa, przyniósł znacznie ciekawsze znalezisko, to jest album fotograficzny w czerwonych plastikowych okładkach, z etykietą głoszącą: NOWE WALORY, przez którego strony defilowała łechtająca me zmysły kolekcja wdzięcznych chłopców i ponętnych dziewcząt. Te ostatnie pozowały na kanapach, dywanach lub klombach, przykryte przezroczystymi tiulami albo wręcz niczym, jakby zaskoczone w momencie oferowania swych wdzięków dagerotypowi. Panowie mieli na sobie skąpe slipki, a ich postawa i wyraz twarzy dobitnie wskazywały na to, że dokonują wyczerpującego wysiłku muskulatury, a zarazem niewymownie cierpią na zaparcie. Będąc raczej prostym w materii erotycznej, porzuciłem dział męski i skoncentrowałem się na ulewie piersi, która spadła mi z nieba. Gdyby było nieco wcześniej, zabawiłbym nad albumem dłużej i, kto wie, być może oddał się nawet melancholijnym marzeniom, lecz pora nie pozwalała na rozrywkę, w związku z czym przejrzałem wszystkie zdjęcia ekspresowo, zamknąłem album i już żegnałem się z rajskim ogrodem, gdy nagle głos wewnętrzny, który niekiedy nas ostrzega, a przez większość czasu beszta, łąja i

przeklina, sprawił, że ponownie otworzyłem album i wróciłem na ostatnie strony, na których młoda dziewczyna uśmiechała się z brogu do kogoś, kto najwyraźniej ukradł jej majteczki. Mimo makijażu i czerwonej peruki bez większego wysiłku rozpoznałem w niej hostessę subretkę, której z takim wysiłkiem wręczyłem tegoż poranka, w Madrycie, nieszczęsną walizkę. Pod zdjęciem znajdował się podpis wykonany na maszynie: SUZANNA TRASH, Dama de Elche 12, poddasze, słaby angielski i włoski, podstawy tańca, jazdy konnej i karate, kino, teatr, telewizja, mimika, prowizja dwadzieścia pięć procent.

Dźwięk windy w korytarzu sprawił, że podskoczyłem. Zamknąłem album, wrzuciłem go do szuflady, podbiegłem do drzwi balkonowych, otworzyłem je i zamknąłem w momencie, gdy otwierały się drzwi do agencji. Cały drżący przesadziłem barierkę i złapałem za kabel biegnący wzdłuż fasady budynku. Przebiegło mi przez głowę podejrzenie, że jest to piorunochron i spojrzałem przerażony na niebo w poszukiwaniu czarnych chmur, lecz zobaczyłem tylko ów błękitny płaszcz, który w pogodne poranki okrywa nasze ukochane miasto i morze. Ulica była dość zatłoczona i uznałem, że nie powinienem zwracać na siebie uwagi, więc wszedłem przez balkon do sali, która okazała się należeć do akademii kroju i szycia. Korpulentna dama wycinała szablon na blacie stojącym na kozłach, a trzy panienki patrzyły jej na ręce z jawną odrazą. Wszystkie cztery odwróciły się w stronę balkonu, słysząc, że wchodzę w tak niekonwencjonalny sposób, a gruba dama wykonała gest przest్రachu.

– Montuję antenę telewizyjną – powiedziałem pośpiesznie. – Gdzie jest gniazdko?

Gruba dama wskazała mi otwór w listwie przyściennej, do którego zacząłem wsuwać palec.

– Idę po wkrętak – oznajmiłem po chwili. – Proszę niczego nie ruszać, żeby nie kopnął pań prąd.

Zszedłem po schodach jak panisko i wmieszałem się w tłum.

Rozdział szósty

Zbytek higieny...

Autobus prychnął, jakby jednocześnie uszło mu powietrze z wszystkich opon, a miał ich wiele. Konduktor obudził mnie, potrząsając i oznajmiając, że dojechaliśmy do końca trasy. Byliśmy jedynymi osobami w pojeździe.

– Najmocniej przepraszam – przeprosiłem. – Zdrzemnąłem się niechcący.

– Coraz więcej żebraków jest w tym mieście – stwierdził sentencjonalnie konduktor, wkładając wykałaczkę za ucho.

Wysiadłem na placyku obsadzonym drzewami, gdzie na kamiennych ławkach wygrzewali się w słońcu emeryci. Jeden z nich wyjaśnił mi, że do Dama de Elche muszę podejść spory kawałek jedną z krętych ulic wybiegających z placyku. Oddałbym wiele za śniadanie, choćby najskromniejsze, lecz dochodziła dwunasta i choć wiem, że ludzie teatru nie wstają o świcie, nie chciałem ryzykować, że umknie mi Suzanna Trash. Obmyłem sobie twarz przy fontannie i ruszyłem w drogę. Nigdy wcześniej nie byłem w tej dzielnicy, która – sądząc po architekturze – była niegdyś podmiejską wioską. Stało tu jeszcze kilka niskich i ubogich chatek,

lecz większość z nich znajdowała się w trakcie rozbiórki lub została już wyburzona i zastąpiona blokami mieszkalnymi. Wszędzie wznosiły się tablice reklamowe zachęcające:

INWESTUJ W PRZYSZŁOŚĆ
SUPERLUKSUSOWE MIESZKANIA
ZA SUPERŚMIESZNĄ CENĘ

W miarę jak wspinałem się na wzgórze, u moich stóp rozlewała się panorama metropolii; powoli zakrywała ją bura mgła. Dysząc, dotarłem na wykarczowaną polanę ze stojącą pośrodku budką, którą wziąłem najpierw za punkt sprzedaży pieczonych kasztanów. Gdy podszedłem do niej, by sprawdzić, czy rzeczywiście jestem tak zagubiony, jak sądzę, na ścianie budki przeczytałem:

ODWIEDŹ JUŻ DZIŚ NASZE WZORCOWE
MIESZKANIE

Na taborecie przed budką siedział staruszek w berecie. Na mój widok podniósł z ziemi skrzynkę otwartą z jednego boku; wewnątrz znajdowały się miniaturowe meble i figurki ludzkie. Początkowo pomyślałem, że pokazuje mi szopkę, choć pora roku nie wydawała się najwłaściwsza.

– To jest salon z jadalnią – powiedział. – To pokój służącej, z własną toaletą. I proszę spojrzeć, jaka przestronna kuchnia: mieści się zmywarka, pralka automatyczna, suszarka, piekarnik... A szafy? Niech pan sam policzy. Małżonka... czy narzeczona, jeśli szczęśliwy moment jeszcze nie nastąpił, będzie wprost zachwyco-

na.

Odstawił skrzynkę na ziemię i podniósł drugą, znacznie mniejszą i całkowicie pustą.

– A to jest miejsce parkingowe. Wyłącznie dla pana. Czy myślał już pan o źródłach finansowania?

Zanim zdążyłem rozczarować go co do moich intencji, dostał silnego ataku kaszlu i przykrył sobie usta chusteczką poplamioną zakrzepłą krwią.

– Pylica – skomentował, tocząc pianę do wnętrza makiety. – Okropność. Nie sądzę, żebym dożył wiosny.

– Ja tylko chciałem zapytać – zagadnąłem, korzystając z przerwy – czy dobrze idę do Dama de Elche.

– Niech pan idzie prosto, aż dojdzie do baru. Za barem druga w lewo. Nie ma pan przypadkiem papieroska? Lekarze zabronili mi palić, więc nie kupuję. Przedtem mi nie zabraniali pracować w kopalni, a teraz zabronili mi palić. Co pan na to?

– Niech pan się nimi nie przejmuje – poradziłem mu, żeby powiedzieć cokolwiek. – Zdrowie jest najważniejsze.

Bez dalszych przeszkód zlokalizowałem ulicę i numer, a stanąwszy przed szklanymi drzwiami bez portiera, które okazały się zamknięte, nacisnąłem na chybił trafił jeden z szeregu różnokolorowych przycisków. Z mikroskopijnego, lecz pełnego zapału głośniczka dobył się niezrozumiały szum.

– Panna Trash? – zapytałem bez większych nadziei.

– To nie tu – ryknął nieznamy rozmówca. – Dzwonź pan na poddasze.

– A czy byłby pan tak uprzejmy i wyjaśnił, jak to zrobić?

– Lewy przycisk na samej górze.

– Ogromnie dziękuję i przepraszam za kłopot.

Wypełniłem co do joty otrzymane polecenie i od-
czekałem dobre dwie minuty, po których usłyszałem
szczęk zamka. Pchnąłem drzwi i wszedłem do holu
pachnącego środkiem odkażającym. Windą wjechałem
na poddasze. W korytarzu nikt nie czekał, lecz jedne z
drzwi były uchylone. Zapukałem nieśmiało, na co da-
leki kobiecy głos zawołał:

– Wejdz, jestem pod prysznicem!

Wszedłem, przekonany, że się przesłyszałem, i zna-
lażem się w maleńkim przedpokoiku. Zamknąłem za
sobą drzwi i stanąłem w miejscu, nie wiedząc, co robić,
Gdzieś w głębi mieszkania lała się woda. Podejrzewa-
jąc, że za każdym meblem, zasłoną lub węglem może
czaić się złoczyńca uzbrojony w siekierę, kosę lub to-
pór, ustaliłem, nie bez żalu i wzruszenia, hierarchię
ważności części składowych mego ciała i rozpocząłem
eksplorację mieszkania, wysuwając stale do przodu
lewą stopę. Tym bojaźliwym sposobem dotarłem do
saloniku, gdzie wpadało radosne słońce południa. De-
koracja była skąpa, lecz przyjemna dla oka gościa i za-
pewne wygodna dla użytkownika. Z drugiej strony
salonu znajdowało się dwoje drzwi. Zajrzałem przez
pierwsze i stwierdziłem, że prowadzą do sypialni zaję-
tej prawie w całości przez wielkie, nieposłane łoże. Na
ziemi pierzyna. Na stoliku nocnym, stojącym po prawej
stronie łóżka, popielniczka pełna niedopałków.
Wszystkie były tej samej marki i zostały doprowadzone
do obecnego stanu przez jedną i tę samą osobę, jeśli
sądzić po śladach na filtrach. Wróciłem do saloniku i
spróbowałem pchnąć drugie drzwi. Ten sam kobiecy
głos ponaglił mnie:

– Wchodźże, człowieku, nie stercz tam.

Posłuchałem i znalazłem się w łazience. Wypełnia-

jąca ją para zasłoniła mi widok, choć nie na tyle, bym nie dostrzegł za plastikową, półprzeźroczystą zasłoną nagiego ciała kobiety. Zdezorientowany wobec takiej oznaki poufałości, której – nawiasem mówiąc – zaznałem po raz pierwszy w życiu, gdyż zazwyczaj etap ten osiągałem po tytanicznych wysiłkach i znacznych wydatkach, postanowiłem powstrzymać naturalny odruch i zapytałem z najwyższym szacunkiem:

– Panna Trash?

W odpowiedzi na te uprzejme słowa plastikowa zasłona odsunęła się nieco, po czym silny strumień szamponu trysnął mi, bez uprzedzenia, prosto w oczy. Oślepiiony, cofnąłem się, potknąłem o niezidentyfikowany przedmiot użytku sanitarnego i runąłem na wznak. Zanim zdążyłem wykonać jakikolwiek ruch, czyjeś kolano wbiło mi się w pierś, a mokra ręka chwyciła mnie za gardło. Wymachując po omacku rękami, natrafiłem na kawałek ciała, śliski i dość twardy.

– Ręce przy sobie – ostrzegł mnie napastnik. – Celuję w ciebie lakierem w spreju. Nie wiem, czy jest toksyczny, ale jeśli spryskam ci twarz, zostaniesz rzeźbą do końca swych dni.

– Poddaję się – powiedziałem.

– Coś ty za jeden?

– Przyjaciel. I bardzo proszę nie połamać mi żeber. I pozwolić, żebym wypłukał mydło z oczu, bo okrutnie mnie pieką.

– Po coś przyszedł?

– Aby odbyć z panią cywilizowaną wymianę zdań. Przesyła mnie don Muscle Power.

– Dlaczego nie przyszedł osobiście?

Rozważyłem w myśli stosowność łgarstwa i odrzuciłem pokusę.

– Nie żyje – wyjaśniłem. – Zamordowali go. Odpowiedziała długa cisza.

– Nie mogę udowodnić – dodałem – że to, co mówię, jest prawdą. Ale gdy pani zważy me słowa, sama wyciągnie wniosek, że lepiej będzie mi uwierzyć. Ta sytuacja nie może ciągnąć się *ad infinitum*, a pani życiu grozi niebezpieczeństwo. Proszę wreszcie pomyśleć, że gdybym przyszedł tu w niecnym zamiarach, nie zadzwoniłbym trzy razy do drzwi i nie zdałbym się tak głupio na łaskę pani kosmetyków.

Ucisk na piersi ustąpił i mogłem swobodnie odechnąć. Podniosłem się i poczułem, że kąpiąca się wkłada mi w dłoń suchy ręcznik, który podniosłem do oczu.

– Wyjdź stąd – rozkazała. – I poczekaj, aż się ubiorę. Wymacałem drzwi, wróciłem do saloniku i zacząłem trzeć oczy, aż usunąłem z nich wprawdzie nie szczypanie, lecz przynajmniej jego przyczynę, czyli szampon. Gdy zakończyłem operację, dołączyła do mnie Suzanna Trash. Miała na sobie biały szlafrok kąpielowy i wycierała włosy ręcznikiem. Jako że wychodziła prosto spod prysznic, z trudem rozpoznałem w niej dziewczynę z albumu, aczkolwiek z łatwością tę z madryckiej kawiarni. W życiu bywa zwykle tak, że pewne osoby wychodzą na zdjęciach lepiej niż w rzeczywistości, podczas gdy inne wprost przeciwnie, przy czym ja, niestety, należę do tej ostatniej kategorii: w licznych okazjach, kiedy musiałem pozować *en face* i z profilu, miałem zawsze na zdjęciu wydłużony ryj, ponurą minę, chudy szkielec i ogólnie wyglądałem o wiele mniej sympatycznie niż naprawdę. Suzanna Trash w rzeczywistości miała rysy tak regularne, że aż zdawało się, że ich nie ma. Nawet na bosaka dorównywała mi wzro-

stem, miała kwadratowe ramiona i kształty, przynajmniej jak dla mnie, nieco zbyt toporne. Jej ruchy były szybkie, nerwowe i w przeważającej większości zbędne, a we wzroku mieszały się żywość i skupienie charakterystyczne dla bokserów, którzy jeszcze nie otrzymali wystarczających cięgow. Nie przybyłem wszakże do jej mieszkania, by sporządzić inwentarz bezsprzecznych wad i zalet tej młodej osóбки, lecz by spróbować oczyścić nieco mętną wodę mrocznej studni, do której popchnęły mnie okoliczności, w związku z czym zawiesiłem badanie figury gospodyni i poddałem ją zręcznemu przesłuchaniu, które rozpocząłem następującymi słowami:

– Jest mi ogromnie przykro z powodu pomyłki zaszłej w łazience, za którą zresztą nie ponoszę winy, a także iż to ja jestem tym, który przyniósł tę smutną nowinę...

– Co się stało Toribiowi? – przerwała mi.

– Dziś w nocy przyszedłem do niego i zastałem go umierającego. Przedawkowanie. Nie sądzę, żeby sam sobie zrobił zastrzyk, choć nie wykluczam tej hipotezy. Kabel telefoniczny został wyrwany.

Zamyśliła się nad czymś przez chwilę, lecz nie były to moje słowa.

– Czy myśmy się już kiedyś gdzieś nie widzieli? – zapytała.

– Tak, nie dalej jak wczoraj, w Madrycie – powiedziałem.

Przestała wycierać włosy i wykonała ręką gest pełen rezygnacji, który – choć widziałem go pierwszy raz – wydał mi się znajomy.

– Jasne – stwierdziła głosem, w którym pobrzmiwała wspomniana już rezygnacja. – Jak mnie znalazłeś?

– Przez agencję teatralną La Prótasis. Ale będzie praktyczniej, jeśli wtajemniczę panią w okoliczności, które poprzedziły nasze spotkanie.

Zgodziła się ze mną i opowiedziałem jej pokrótce, prostymi słowy i z przejrzystą składnią, jak zostałem doprowadzony przed oblicze tego, kto w oszukańczy sposób przyznał sobie prerogatywy ministerialne; jak tenże, wykorzystując mą szlachetność, powierzył mi misję polegającą na dostarczeniu do Madrytu walizki, której zawartość wzbudziłaby zawiść nawet w Krezusie; jak w rzeczonym mieście inny zamiast mnie padł ofiarą mordu tym straszliwszego, że został dokonany na osobie przebywającej w objęciach Morfeusza; jak przekazałem w kawiarni jej, Suzannie Trash, walizkę, wróciłem do Barcelony, wytropiłem i odnalazłem nieśczęsnego Muscle Powera i asystowałem, przepelniony litością, przy jego smutnym zgonie; jak dzięki wrodzonej inteligencji dokonałem powiązania między nieodżałowanym nieboszczykiem a agencją teatralną, a następnie między tą ostatnią a nią, Suzanną Trash, i jak – choć tę część historii już znała, lecz kontynuowałem tytułem niezbędnego epilogu – przybyłem do niej z wizytą i zostałem źle przyjęty, nie dawszy ze swej strony żadnego ku temu powodu. Wypowiedziałem całą tę perorę tonem niezbitej szczerości, starając się przedstawić mą osobę w jak najkorzystniejszym świetle i stworzyć wokół siebie atmosferę zaufania, prawości i bezpośredniości. Nie chwaląc się, powiem, iż pożądaný efekt uzyskałem, gdyż ona, Suzanna Trash, rozluźniła stopniowo napięte rysy twarzy, co wyszło na korzyść jej urodzie, porzuciła sztuczną postawę karateki, a w połowie mej opowieści także i mnie, i wyszła do kuchni, zrobić kawę i tosty. Przemysłny czytelnik zauważył

z pewnością, że przemilczałem w mej relacji zrabowanie mi pieniędzy z walizki, wszystko wskazywało bowiem na to, że nie miała nic wspólnego z owym rabunkiem, w przeciwnym razie nie przybyłaby do kawiarni, a podejrzewałem także, co potwierdziło jej późniejsze zachowanie i słowa, że nie otworzyła walizki, wobec czego wolałem, pragnąc pozyskać jej współpracę, by nadal wierzyła, że gra toczy się o astronomiczną stawkę, a nie o smętną rolkę papieru tak nieraz pożądanego, jak prozaicznego zawsze i wszędzie.

Powróciwszy z kuchni z tacą, na której stały dwie filiżanki kawy z mlekiem i talerz z tostami, co oznaczało, że zamierza podzielić się ze mną śniadaniem, a zatem, przez analogię, także i zaufaniem, zapaliła papierosa i powiedziała, żebym zaczął jeść, podczas gdy ona będzie się ubierać. Znikła w sypialni i gdy ja pochłaniałem żarłocznie mój przydział, włożyła na siebie, jak stwierdziłem po jej powrocie do salonu, prostą wiosenną sukieneczkę w błękitnej tonacji, rajstopy i buty na obcasie, dorzucające jeszcze jeden do tysiąca wdzieków. Usiadła przy stole i mieszając cukier, a przy tym rozpryskując zawartość filiżanki w promieniu pół metra, rozpoczęła opowieść, której się spodziewałem, o tym, jak Toribio Pisuerga, bardziej znany pod przydomkiem Muscle Power, wiedząc, iż spora kwota ma przejść z rąk do rąk w określonym miejscu i czasie, zaplanował przejęcie owej kwoty przy udziale jej, to jest Suzanny Trash, wysłanej do Madrytu dwa dni wcześniej z poleceniem stawienia się w kawiarni, wygłoszenia hasła, odebrania walizki i zniknięcia.

– Choć w godzinie prawdy – wyznała – ogarnął mnie strach i chciałam się wycofać. Gdyby nie twój upór, nie byłibyśmy dziś wplątani w to wszystko.

– Świetnie – odrzekłem. – To znaczy teraz ja jestem odpowiedzialny za wasze nieczne pomysły. Nie rozumie pani, że to najprawdopodobniej adresaci przesyłki, rozwścieczeni, próbowali zabić mnie i wystawili paszport w zaświaty Powerowi, niech spoczywa w pokoju? I że lotry te z pewnością nie spoczną, póki nie skończą z nami i nie odzyskają tego, co ich zdaniem do nich należy, nie przebijając w środkach?

Urażona, zapaliła drugiego papierosa, zaciągnęła się dwa razy, wrzuciła go do kawy z mlekiem, gdzie zgąś, zatonął, zabarwił ciecz na kolor sepii, po czym wypłynął na powierzchnię, i spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że Toribio zginął przeze mnie? – zapytała.

– Nie, nie, ależ skądże. Przyjął ryzykowne zlecenie udawania ministra i nie poprzestał na tym; powodowany chciwością, uknuł śmiały plan oszukania oszustów. Nie powiem, gdyż to nie mnie wyrokować w sprawach moralności, że zasłużył sobie na taki koniec, lecz i owszem, że świadomie szukał guza. Tak czy owak, nic już na to nie poradzimy. Możemy za to coś poradzić, a przynajmniej taką żywię nadzieję, na naszą śliską sytuację. Rzuca się w oczy, że powinniśmy zlokalizować już to tych, którzy za pośrednictwem fałszywego ministra powierzyli mi pieniądze, już to tych, dla których były one przeznaczone, i zwrócić je im z gorącymi przeprosinami. A skoro już o tym mówimy, gdzie jest walizka?

– Na lotnisku Prat, w przechowalni bagażu. Zostałam ją tam zgodnie z instrukcjami Toribia. Zamierzaliśmy pojechać po nią za kilka dni. Ja mam kwit. Toribio miał wpaść po niego dziś rano, stąd moja po-

myłka co do ciebie.

– Jakie stosunki was łączyły, don Toribia i panią, jeśli nie jest to niedyskrecja?

– Aby zaoszczędzić na czasie powiem ci, że całe lata temu przeżyliśmy burzliwą idyllę, po której pozostała dobra, choć nieco nudna przyjaźń. Szukamy się, kiedy potrzebujemy pomocy lub towarzystwa, czyli całkiem często. Coś jeszcze?

– Tak. Co to jest lub kto to jest Różowy Rycerz?

– Nie mam najbledszego pojęcia. Dlaczego pytasz?

– Don Toribio wymienił ten przydomek przed śmiercią. A Emilia?

– To już łatwiejsze pytanie. Emilia to ja. Emilia Corrales. Suzanna Trash to pseudonim, który przybrałam za radą Toribia, na potrzeby kina. A teraz, jeśli nie masz już więcej pytań i skoro skończyłeś jeść, proszę cię, byś sobie poszedł, ponieważ mam wiele rzeczy do zrobienia.

Poczułem zakłopotanie, do tej pory sądziłem bowiem, iż porozumienie między nami umacnia się i stoi o krok od nawiązania owocnej współpracy. Suzanna Trash wyczytała rozczarowanie z mej twarzy i dorzuciła, ponownie chroniąc się za nutką zniecierpliwienia, wyczuwalną w jej tonie na początku naszej rozmowy:

– Nie chcę wydać się nieuprzejma; jestem ci bardzo wdzięczna, że przyszedłeś poinformować mnie o stanie spraw i przestrzec przez czyhającymi na mnie niebezpieczeństwami. Jednakże, poczynawszy od tego momentu, będzie lepiej, jeśli każde z nas pójdzie własną drogą. Nie wiem, kim jesteś, skąd się wzięłeś i do czego zmierzasz. Z twojej relacji nie zrozumiałam prawie nic, choć nie jestem tak naiwna, by nie dostrzec, że zach-

wałeś w rękawie połowę z tego, co wiesz. Nie wykluczam, że potrzebujesz pomocy, jak powiadasz, ale nie mogę i nie mam zamiaru nadstawiać własnego karku, by ci tej pomocy udzielić. Pozwól mi mówić, jeszcze nie skończyłam. Możesz mnie uważać za egoistkę, jeśli chcesz. Pragnę zostać aktorką i choć szczęście do dziś nie zapukało do mych drzwi, nie straciłam jeszcze nadziei na przyszłość: jestem zdyscyplinowana i chętna do pracy, niegłupia, a kiedy zadbam o siebie, nie wyglądam najgorzej. Z pewnością popełniłam błąd, przyjmując propozycję Toribia, i wszystko zdaje się wskazywać na to, że wpakowałam się w tarapaty, z których nic mi nie przyjdzie. Potrzebuję pieniędzy i dałam się skusić obietnicą łatwego zysku. Tak czy owak, nie wierzę, by z tej sytuacji nie było wyjścia. Zamierzam postąpić w następujący sposób: natychmiast pojechać po walizkę, wejść do pierwszego z brzegu komisariatu i opowiedzieć o wszystkim policji. Czy masz jakieś zastrzeżenia?

– Żadnych, poza tym, że jeśli pójdziesz na policję z historią o nieistniejących ministrach i narkotyzujących się aktorach nieudacznikach, a na deser zaserwujesz funkcjonariuszom walizkę z całą zawartością, skończysz w ciupie albo, co gorsza, w ośrodku psychiatrycznym, który – o czym wiem z dobrego źródła – nie spodoba ci się ani trochę.

– Dziękuję za radę, ale podjęłam decyzję i jej nie zmienię. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

Wstała od stołu, strącając obie filiżanki, i zrobiła gest świadczący o zamiarze odprowadzenia mnie do drzwi. Nie miałem więcej argumentów, wobec czego postanowiłem uszanować jej wolę i podjąć śledztwo na własny rachunek. Podziękowałem jej za wspinałe

śniadanie i ruszyłem w stronę wyjścia. Stałem już w przedpokoju, gdy rozległ się nagłący dzwonek telefonu. Emilia podskoczyła i spojrzała przestraszonym i wahającym wzrokiem na aparat, a następnie na mnie.

– Co się stało? – zapytałem.

– Nic. Tylko że założyli mi telefon kilka dni temu i dałam mój numer jedynie Toribowi – powiedziała.

– Odbierz – powiedziałem, wracając do salonu.

– A jeśli to oni?

– Przez telefon nic ci nie zrobią. Zachowuj się naturalnie. Nie powinni domyślić się, że tu jestem i że masz się na baczności.

Emilia przeszła przez salonik, podeszła do telefonu, który dzwonił jakby nigdy nic podczas naszego pospiesznego dialogu, i podniosła słuchawkę.

– Halo? Ach tak, *oui, oui, sono io*. – Przykryła mikrofon dłonią i poinformowała mnie szeptem: – Mówi, że jest włoskim producentem.

– Podpuść go, niech mówi dalej – poradziłem *sotto voce*.

– Proszę? Tak, tak, tutto bene. Attendez un minuti.

Po czym, w kolejnym *aparte*:

– Mówi, że chce, żebym przyszła do niego do hotelu, że ma interesującą propozycję, że widział wszystkie moje filmy i sądzi, że mam zadatki na wielką aktorkę. Ale ja nigdy jeszcze nie dostałam żadnej roli w filmie. Co mam mu powiedzieć?

– Że nie możesz wyjść z domu, niech on przyjdzie tutaj. Jak tylko wejdzie, rzucimy się na niego i torturami wydobędziemy wszystko, co wie.

– A jeśli to prawdziwy producent?

– To idź do hotelu.

– A jeśli to morderca?

- Mam się mieszać czy nie mieszać?
- Umówię się z nim w neutralnym miejscu i wysondujemy go, dobrze?
- Dobrze, kobieto, jak tylko chcesz – zgodziłem się, wyczerpany.
- *Senti? Questa sera, oui. Dans un ristorante, dobrze? Nie, nie, wybiera vocé. Oui, oui, lo conodgo ją bene. Za dwa kwadranse dieci? Va bene. Oui, arriverderci!* – odłożyła słuchawkę, odetchnęła głęboko i zapytała: – A teraz, *que cosa facciamo?*
- Po pierwsze, rozmawiamy w ludzkim języku. Po drugie, ulepszymy i wprowadzamy w życie mój plan. Ta historia z producentem może rzucić światło na całą sprawę, jeśli to jest mordercą, ale nie możemy pozwolić, żeby tylko oni wykazywali inicjatywę. Nie zapominajmy, że pieniądze, które mi wręczyli, były przeznaczone na okup za jakąś ważną personę. Chciałbym wiedzieć, czy rzeczywiście ktoś został ostatnio porwany, czy to też jest bujda. Na pewno masz jakiegoś przyjaciela dziennikarza...
- Wielu.
- To wybierz któregoś, zadzwoń do niego i powiedz, że musisz się z nim pilnie zobaczyć. Umów się w miejscu otwartym i pełnym ludzi, na przykład w jakimś barze w centrum.

Rozdział siódmy

... i jej niedostatek

Bar w centrum wspomniany pod koniec rozdziału, który został za nami, mieścił się w pozazdrosczenia godnym miejscu, przy Rambla de Catalunya i, ku ucieśze klienteli, a kalwarii personelu miał stoliki wystawione na bulwar. Przy jednym z nich zasiedliśmy, Emilia i ja, pozostawiwszy uprzednio samochód mojej towarzyszki na parkingu. Między stolikami krążyli żebracy najróżniejszego autoramentu. Zaledwie zajęliśmy miejsca, podszedł do nas jeden w drelichowym ubraniu.

– Jeśli państwo zechcą, mogę przepowiedzieć im przyszłość – zaproponował z pewną beztróską. – I proszę nie sądzić, że jestem zwykłym oszustem: aż do wczoraj, jak to się mówi, byłem doradcą Banku Przemysłowego Ebro BIDESA. Mam chorą żonę i dwójkę dzieci w wieku uniwersyteckim.

Daliśmy mu pięć peset i powiedział nam, że nasz kamień to topaz, szczęśliwy dzień to czwartek i żebyśmy nie kupowali akcji Telefóniki za nic w świecie.

– Nie wiedziałem, że koniunktura jest aż tak marna – zauważyłem, kiedy sobie poszedł.

– Gdzież to bywałeś ostatnio? – zapytała Emilia.

Uznałem, że nie umocni naszego wykluwającego się przymierza informacja o tym, że właśnie wyszedłem z domu wariatów, więc wymamrotałem niewyraźnie kilka słów i odwróciłem głowę. Wykonując ten gest, zauważyłem, że podchodzi do nas coś w rodzaju legionisty płci żeńskiej, którego twarzy nie pozwoliły mi dostrzec przetłuszczone włosiska skrywające czoło i policzki. Istota ta przepychała się między stolikami z większą dozą stanowczości niż celności, tłukąc jednocześnie w głowy klientów zawieszonym na lewym ramieniu tobołkiem, w którym – sądząc po jego rozmiarach – bez trudu zmieściłoby się dziecko, oraz zmiatając z blatów butelki i szklanki. Dotarłszy do naszego stolika, stanęła jak wryta, po czym rzuciła się na Emilię, jednak nie po to, wbrew moim obawom, by jej przyłożyć, lecz by ją objąć, ucałować i uścisnąć ze znacznie większą wylewnością, niż przewidują normy uprzejmości.

– Szlag by to, kurde – wykrzyknęła, opadając na krzesło i wieszając tobołek na oparciu. – Przepraszam za spóźnienie. Właśnie skończyłam wywiad z dyrektorem drezdeńskiej filharmonii. Co za drętwiak! Wiedzieliście, że Rubinsteinowi jeszcze do niedawna nie pozwalano grać w Stanach Zjednoczonych, bo jest Mulatem? Kurwa mać, *establishment* nie odpuszcza! Po coście chcieli się ze mną zobaczyć, kurde?

Niezbita z tropu Emilia przedstawiła mnie energumenowi, który – jak się okazało – nosił słodkie miano Maria Pandora i ścisnął mi rękę tak, że miałem ochotę walnąć go w odpowiedzi kolanem w wątrobę. Po wzajemnej prezentacji Emilia wyjaśniła:

– Potrzebujemy pomocy, a dokładnie pewnej informacji, której tylko ty możesz nam udzielić, Maria.

– Dla ciebie wszystko, serduszko – odrzekł flejtuch.
– Wiem już, że Toribio przedawkował i wykorkował. Bardzo mi przykro, naprawdę. To był straszny tłuk. Wrobił cię w coś?

– Nie o to chodzi, a przynajmniej nie bezpośrednio. Na razie nie mogę ci nic więcej zdradzić. Powiedz nam tylko, czy ostatnio porwano kogoś ważnego.

Zaskoczona pytaniem, którego najwyraźniej się nie spodziewała, dziennikarka podrapała się po głowie, przy czym z włosów jej wypadła wesz, prosto do piwa zamówionego przez Emilię.

– Czy jest możliwe – włączyłem się – żeby doszło do porwania, a władze, z uwagi na bezpieczeństwo publiczne lub z innych względów, wstrzymały wszelkie informacje?

Nadszedł kelner i María Pandora zamówiła kanapkę z sardynkami i podwójny koniak, po czym wyjęła ze swego tłumoka paczkę papierosów, zapalniczkę, notes, długopis i okulary powiązane drutem. Wsunęła je na nos, zajrzała do notesu, zapaliła papierosa, zdjęła okulary i stwierdziła, co następuje:

– Oczywiście mogli byli zmusić gazety do zatajenia wiadomości. Ciągłe tak robią, kurde. Gdyby ludzie wiedzieli, jak naprawdę wygląda sytuacja, nie wiem, co by się stało. Kraj schodzi na psy, kurna. Ale wracając do porwania, sądzę, że w redakcji wiedzielibyśmy o tym. Porwania wymagają zachodu, kuźwa, nikt nie da się porwać ot, tak. Ludzie mają ochronę jak cholera. Poza tym jest jeszcze problem zniknięcia. Trzeba być naprawdę marną płotką, za przeproszeniem obecnych, żeby ulotnić się tak, żeby nikt tego nie zauważył. Jest przecież rodzina, praca, przyjaciele... Tym bardziej jeśli chodzi o kogoś bardzo ważnego... Nie, nie, żadnego

porwania nie było. Chyba że... chyba że nie chodzi o człowieka... Chyba że chodzi o przedmiot, na przykład: dzieło sztuki, cenny znaczek, rzecz trudną do sprzedania, za którą właściciel jest skłonny zapłacić okup. To nie byłby pierwszy taki wypadek. Oczywiście, że gdyby tak się stało, nie byłoby żadnego powodu, żeby ukrywać kradzież przed opinią publiczną. Chyba że chodziłoby o... czy ja wiem... o Matkę Boską z Pilar, na ten przykład... Chociaż nie, to mało przekonujące. A może sekret wojskowy? To już bardziej mi się podoba: szpiegostwo i te rzeczy. Dobrze, wiem, co myślicie: że w tym kraju nie ma co szpiegować, hę? Ja też tak myślę, ale skoro turyści kupują to, co kupują, co dopiero mogą kupować rządy... Co ty na taką hipotezę, serduszko?

– Za pozwoleniem – wtrąciłem. – Chociaż widzę wyraźnie, że to nie mnie się pyta o zdanie, powiem, że pani hipoteza wydaje mi się ogromnie interesująca. Pozwolę sobie jednakowoż na absolutną szczerłość i dodam, że potrzebujemy informacji bardziej konkretnej.

– Ale to wszystko, co mogę wam powiedzieć, kuźwa – stwierdziła María Pandora, pokazując w całej okazałości przeżuwany pokarm. – Poza tym wy też nie wyrażacie się zbyt jasno. – Wychyliła lampkę koniaku jednym haustem. – Jeśli wiecie o czymś ciekawym, byłabym wam niewymownie wdzięczna, gdybyście mnie wtajemniczyli. Cholernie potrzebuję dobrego materiału na reportaż, kurna. W redakcji mają zredukować nas o trzy czwarte i, jak tak dalej pójdzie, w przyszłym miesiącu wyląduję na cholernej ulicy. Co jest grane z tym porwaniem? Bądźcie ludźmi, kuźwa.

Kątem oka dostrzegłem, że Emilia się rozczuła i, za-

nim zaczęła ujawniać szczegóły niezbyt już świeżej historii walizki, powiedziałem pośpiesznie:

– Motywy niezwyklej wagi obligują nas do najściślej dyskrekcji. Jednakże gdy tylko rozwiążemy nasz problem, nie omieszkamy udzielić pani wyczerpujących i wyłącznych informacji. Do tego jednak, rzecz jasna, są nam niezbędne dane, które pani z pewnością jest w stanie zdobyć, nie zwlekając...

– Jeszcze dziś wieczorem. Około piątej ci, co nie pracują na trzech etatach, są już kompletnie zalani, i w redakcji nie ma żywego ducha. Portier ma klucze i mnie wpuści. Kto płaci za konsumpcję?

– My – zapewniłem.

– Przyjdźcie do mnie do domu między siódmą a wpół do ósmej. Na pewno będę coś wiedzieć.

To rzekłszy, zarzuciła toboń na ramię, ponownie zmiażdżyła mi dłoń, ucałowała Emilię tym, co znajdowało się pośrodku splecionej grzywy, a co prawdopodobnie było ustami, choć nie mogę za to ręczyć, i odeszła, siejąc na stolikach zniszczenie. Gdy znikła nam z oczu, Emilia potrząsnęła smutno głową i stwierdziła:

– Biedna Maria! Jest bardzo przygnębiona.

– Zrobiła na mnie raczej inne wrażenie – zaryzykowałem.

– Nigdy nie zrozumiecie kobiet – powiedziała Emilia. – Maria jest niezwykle wrażliwą osobą. Coś jej doskwiera.

– Kłopoty zawodowe? – podpowiedziałem.

– Coś jeszcze – skonkludowała Emilia. – Z pewnością opowie mi, gdy zostaniemy same. Dokąd teraz?

Zegarek pozostawiony mi w spadku przez nieszczęsnego kelnera wskazywał kilka minut po drugiej. Do siódmej mieliśmy czas wolny, grożące nam niebezpie-

czeństwa zdawały się chwilowo zażegnane, a śledztwo nasze szło najwyraźniej dobrym torem, choć oczywiście w każdym momencie mogło ulec wykołajeniu. Przypomniałem sobie, że nie spałem od dwóch nocy, i ogarnęło mnie nieodparte uczucie nasycenia i znużenia.

– Ty rób, co chcesz – powiedziałem Emilii. – Ja idę na najbliższą stację metra i szukam wolnej ławki, żeby się zdrzemnąć.

Zapytała mnie, czy oprócz metra nie mam dokąd pójść, i wyznałem jej, że taka faktycznie jest moja sytuacja. Odrzekła na to, że w jej mieszkaniu stoi wygodna sofa i zaoferowała mi ją ze szczerego serca. Jak można przypuszczać, przyjąłem tę ofertę z pośpiechem równym mej wdzięczności, po czym bez ociągania uiściliśmy zapłatę, odszukaliśmy samochód Emilii na parkingu i podjęliśmy odwrót, ona skupiona na niewdzięcznym zadaniu torowania drogi w ścisku, a ja na rozkosznych marzeniach o miękkim łożu. Nie podejrzewaliśmy, że u kresu podróży będzie nas oczekiwać bulwersująca niespodzianka.

Niespodzianka polegająca ni mniej, ni więcej na tym, że mieszkanie splądrowano i przewrócono do góry nogami w najbardziej barbarzyński sposób, powodując szkody w kilku przypadkach nieodwracalne, na widok czego najpierw oniemieliśmy, następnie wpadliśmy we wściekłość, a w końcu odczuliśmy głębokie strapienie.

– A najgorsze ze wszystkiego – powiedziała Emilia, zakończywszy wylewać z siebie stek przekleństw, złorzeczeń i bluźnierstw właściwszy w ustach nieokrzesanego prostaka takiego jak ja niż panny interesującej się

sztukami – jest to, że hekatomba ta nie zdała się na nic, gdyż w mieszkaniu nie było ani walizki, ani kwitu bagażowego, który w złej godzinie włożyłam do torebki.

– Nie chciałym – zauważyłem, próbując przywrócić ład w krajobrazie po burzy, spowodowany raczej chęcią okazania solidarności niż wiarą w możliwość naprawy szkód – kreślić naszej sytuacji w zbyt czarnych barwach, lecz obawiam się srodze, iż choćby znaleźli to, czego szukali, nie zostawiliby nas w spokoju.

– No to co, u diabła, mamy zrobić – zapytała Emilia, wywracając kopniakiem krzesło, które właśnie podniosłem – żeby skończyć z tym cholernym koszmarem?

– Dotrzeć do sedna sprawy i pokonać naszych wrogów na ich własnym terenie. Wyda ci się to propozycją zbyt śmiałą, dziecienną i pyszałkową, lecz o ile wiem, nie ma innego wyjścia. Nawiasem mówiąc, sądzę, że powinniśmy dokończyć tę miłą rozmowę w innym miejscu, ponieważ póki tu jesteśmy, naszemu życiu grozi niebezpieczeństwo.

Zaledwie wymówiłem ową przestrożę, zabrzmiał dzwonek u drzwi ze stanowczością niewróżącą nic dobrego.

– Już tu są! – wykrzyknęła Emilia.

Podszedłem na palcach do drzwi i wyjrzałem przez wizjer.

– W korytarzu nie ma nikogo – oznajmiłem.

– Dzwonią z ulicy – zauważyła.

– W takim razie to nie mogą być mordercy, gdyż nie sądzę, by popełnili błąd anonsowania swojej wizyty – stwierdziłem.

Jako że niebezpieczeństwo prawdopodobne przeraża bardziej niż rzeczywiste i nie ma hałasu mniej harmonijnego od dźwięku dzwonka, postanowiłem zarea-

gować. W tym celu nacisnąłem przycisk po mojej prawej stronie, zbliżyłem usta do kratki mikrofonu, wsunąłem język w wąską szczelinę i zapytałem:

– Kto tam?

– Przyjaciół panny Trash – odrzekł wysokim tonem aparat. – Chcę tylko państwu pomóc. Rozumiem ich obawy i, aby je rozwiązać, stanę na środku ulicy. Proszę spojrzeć na mnie, a zdadzą sobie państwo sprawę, że sam mój wygląd gwarantuje, że jestem niegroźny.

Z najwyższą ostrożnością, na wypadek gdyby ktoś zamierzał wystrzelić do nas z któregoś tarasu budynku znajdującego się naprzeciw, wyrzuciłem przez okno. Na środku jezdni stał staruszek w piżamie, machając ręką w naszą stronę, głuchy na wyzwiska i klaksony kierowców zmuszonych do zwalniania i objeżdżania go. Upewniwszy się, że obejrzelśmy go do woli, staruszek wrócił na chodnik i zniknął z naszego pola widzenia. Emilia spojrzała na mnie pytająco.

– Wpuścimy go – powiedziałem. – Wygląda niegroźnie i lepiej wiedzieć, czego chce.

Otworzyliśmy bramę i wyszedłem na korytarz. Po krótkiej chwili na piętrze zatrzymała się winda i wynurzył się z niej staruszek. Miał cztery siwe włosy na głowie i asymetryczny wąsik pożółkły od nikotyny. Spojrzał na mnie, wywracając oczy, uklonił się nisko i przemówił:

– Wybaczcie państwo, że odwiedzam ich w tak mało formalnym stroju. Moje ubranie jest w pralni, a buty u szewca. Nie sądziłem, że będę ich dzisiaj potrzebował. Ostatnimi czasy wiodę życie mało towarzyskie. Tak naprawdę wychodzę tylko w czwartki, do biblioteki, i w niedzielę po południu, jeśli gdzieś tańczy się sardanę. Resztę czasu spędzam zakopany w książkach.

Wiktuały przysyłają mi ze sklepu Bilbaína. Wiem, że liczą sobie nader słono, lecz jest to niezwykle wygodne, nie uważa pan?

Nie przerywając perory, wszedł do przedpokoju. Upewniłem się, że faktycznie jest sam, wszedłem za nim i zamknąłem drzwi. Pośrodku salonu oczekiwała nas Emilia, wywijając wielkim kuchennym nożem.

– Proszę porzucić postawę obronną, panno Trash – powiedział starsuszek. – Zapewniam panią, że dążę jedynie do jej dobra. W pierwszych słowach zaś chciałbym wyrazić głębokie zadowolenie z możliwości osobistego poznania pani. Jestem jej wielkim wielbicielem. Chociaż być może powinienem zacząć od przedstawienia się. Nazywam się Plutarquete Pajarell i jestem zawodowym historykiem. Mieszkam po drugiej stronie ulicy. Widzi pani ten taras z niebieskim daszkiem i na wpół uschniętym cyprysem? A może zauważyła pani czarnego kota, który często wygrzewał się w słońcu na balustradzie? Nie? Nie szkodzi, to nieważne. Zdechł mi dwa miesiące temu, biedulek. Ale to wszakże pani nie obchodzi, nieprawdaż? Życie w samotności sprawiło, że stałem się nieco roztargniony. Niegdyś nie byłem taki. Czy powiedziałem państwu, że jestem historykiem?

– Tak, proszę pana – potwierdziłem.

– Już dobrze, już dobrze. W pełni rozumiem niecierpliwość państwa. Będzie lepiej, jeśli przejdę od razu do sedna. A to niełatwe, wie pan? Chodzi o to... chodzi o to, że tu obecna panna Trash, którą tak podziwiam, jak już wyznałem, ma zwyczaj, niech Bóg ją błogosławi, przechadzania się po mieszkaniu odziana bardzo lekko. I dobrze robi, nie uważa pan? Koniec końców, wolność Tomku...

– A pan szpieguje ją z tarasu – ułatwiłem mu wyznanie, które najwyraźniej przychodziło mu wielkim kosztem.

Spąsował jak mak i odruchowo upewnił się, że wszystkie guziki rozporoka są zapięte.

– Jest pan nader bystry – szepnął w końcu. – Kuzyn panienki?

– Przyjaciel. Może wyjaśni nam pan cel swojej wizyty, don Plutarquete?

– To prawda, zabieram państwu czas. Sądziłem jednak, że powinienem zacząć od oczyszczenia sumienia. Proszę nie myśleć, że nie wstydzę się z powodu mej słabości. Być może to, jak niewiele znaczę, zminimalizuje w waszych oczach mój występki... nie wiem. Ja, rzecz jasna, nie mogę odnieść do siebie tej okoliczności łagodzącej. Tak czy owak, nie przyszedłem tu, by wyznawać moje grzeszki, lecz by powiedzieć państwu, że kilka godzin temu, kiedy ustawiałem ostrość w mej lornetce, jak zwykle o tej godzinie, ujrzałem dwóch osobników, którzy buszowali po domu. Początkowo serce mi zamarło, ponieważ pomyślałem, że panna Trash się wyprowadza i Bóg raczy wiedzieć, jaki babsztyl zajmie jej miejsce. Następnie zdałem sobie sprawę, że to nie przeprowadzka, i przestraszyłem się, że chodzi o włamanie. Wiedzą państwo, co się ostatnio dzieje na świecie. Wreszcie doszedłem do wniosku, że osobnicy ci zawzięcie czegoś szukają.

– Nie przyszło panu do głowy, by zawiadomić policję? – zapytała Emilia.

– Gdy sądziłem, że obserwuję włamanie, tak. Kiedy zobaczyłem, że przeszukują dom, ogarnęły mnie wątpliwości. Niekiedy lepiej, by policja pozostała z dala od pewnych spraw... Niczego nie insynuuję, panno Trash,

proszę mnie źle nie zrozumieć.

– Postąpił pan nader rozsądnie, don Plutarquete – wtrąciłem. – Proszę nam opisać, co pan zobaczył.

– Niewiele. Dwóch młodych ludzi. Jeden z nich miał brodę, być może sztuczną. Nie jestem zbyt dobry w opisach.

– Rozpoznałby ich pan, gdyby ich znowu zobaczył?

– Z całą pewnością.

– Czy zauważył pan jakiś znaczący szczegół? Czy przyjechali samochodem? Zapamiętał pan może numer rejestracyjny?

Staruszek poskrobał się w łysinkę i spojrzał na Emilię ze smutkiem.

– Prawdę mówiąc, nie potrafię powiedzieć nic więcej. Chciałem państwu pomóc, lecz widzę, że do niczego się nie przydałem. Osiągnąłem jedynie tyle, że dowiedziała się pani o mnie i już nie będzie chodziła po domu jak dawniej. A nawet gdyby tak, to już nie będzie to samo. No cóż, takie jest życie. Jeśli będą państwo czegoś potrzebowali, wiedzą, gdzie mnie szukać. Do widzenia i przepraszam za kłopot.

Powtórzył serię ukłonów, zamachał rękami na znak, że nie musimy go odprowadzać do drzwi i, zanim zastanowiliśmy się, co uczynić lub powiedzieć, już go nie było. Wyszedłem na korytarz i usłyszałem, jak człapie po schodach najszybciej, jak umie, szeleszcząc pantoflami. Wróciłem do mieszkania.

– I kto by powiedział, że miałam tak wiernego adoratora! – wykrzyknęła Emilia.

– Nie daj się zwieść pochlebstwom – poradziłem jej.
– We mnie ten lubieżny starzec nie budzi ani krzty zaufania.

– Jesteś zazdrosny – stwierdziła Emilia, wybuchając

śmiechem.

Zamilkłem, zakłopotany takim oskarżeniem, po czym postanowiłem odłożyć na bardziej sprzyjający moment rozważenie, czy jest ono uzasadnione czy nie.

– Do której godziny – zapytałem za to – jest czynna agencja teatralna La Prótasis?

– Dla klientów do piątej. Niekiedy ktoś zostaje tam dłużej. Dlaczego?

– A kursy deklamacji?

– Nie odbywają się w salach przy ulicy Pelayo, tylko w magazynie przy ulicy Ramalleras. To dawny magazyn, przerobiony na teatr.

Spojrzałem na zegarek: było piętnaście po piątej.

– Sądzę, że jeszcze raz odwiedzę agencję. Podrzucić mi na róg Balmesi-Pelayo i czekać na mnie w mieszkaniu twojej przyjaciółki dziennikarki Mądralskiej. Nie zabawię długo.

Rozdział ósmy

Oszustwa

Patrzącemu spode łba portierowi powiedziałem, że niosę rachunki do akademii kroju i szycia, a na wypadek, gdyby mnie śledził, wjechałem windą na drugie piętro i wszedłem na następne na piechotę. Otwarcie drzwi zabrało mi ułamek sekundy i tyleż samo upewnienie się, że w środku nie ma nikogo, wślizgnięcie się do sali i zamknięcie za sobą drzwi. Wiedząc, czego szukam, i mając w pamięci inspekcję dokonaną tego ranka, w okamgnieniu odnalazłem album ze zdjęciami, ukryłem go pod marynarką i opuściłem pomieszczenie. Zszedłem po schodach, a na ostatnim półpiętrze zatrzymałem się i kuknąłem, czy droga wolna. Ostrożność owa uchroniła mnie przed niemiłym spotkaniem, gdyż w holu portier rozmawiał z dwoma brysiowatymi osobnikami, których twarze nie widziałem zbyt dobrze w panującym półmroku, lecz których wygląd przyprawił mnie o dreszcze.

– Rachunki do akademii kroju i szycia? – wycedził jeden z osobników. – Ale akademie jest przecież zamknięta, gościu!

– Ja tam nie chcę nic wiedzieć o niczym – usprawiedliwił się portier. – Mój sąsiad próbował być cwa-

ny i dostał lanie, okradli go ze wszystkiego i zmusili do wyrzeczenia się religii katolickiej.

– Jak wyglądał? – zapytał drugi osobnik.

– Wrednie – powiedział portier, wbijając szpilkę w moją próżność. – Tego wzrostu mniej więcej, chudy, z miną przygłupa... bo ja wiem.

– Ty zostań tutaj, na wypadek gdyby zszedł – powiedział jeden z osobników do drugiego. – Ja pójdę się rozejrzeć.

Ruszyłem biegiem w górę schodów w momencie, gdy ten, który wydał polecenie, stawiał stopę na pierwszym stopniu. Na drugim piętrze wpadłem do akademii kroju i szycia i wsunąłem się między ubrania zawieszona na drążku. W wypolerowanej na błysk szybie drzwi zarysowała się sylwetka typa. Uzbroiłem się w drewniany wieszak i wstrzymałem oddech. Typ spróbował przekręcić gałkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte, a lokal pograżony w ciemnościach. To go najwyraźniej uspokoiło, gdyż poszedł dalej. Nie mogłem się jednak czuć bezpiecznie, ponieważ podejrzewałem, że odkryje zniknięcie albumu, zacznie mnie szukać i prędzej czy później znajdzie. Niewiele myśląc, rozebrałem się do naga, zwinąłem moje rzeczy w kłębek i wrzuciłem do pudła ze ścinkami. Następnie włożyłem na siebie pierwszy strój, jaki wpadł mi w rękę. Była to perkalowa podomka w kwiaty, z trójkątnym dekoltem i falbanami przy mankietach, sięgająca mi nieco poniżej kolan. Z kilku motków białej wełny sporządziłem perukę i przytwierdziłem do głowy kawałkiem materiału związanym na kształt chusteczki, a dekoltem wypchałem gałganami, tworząc szczodry biust. W kanciapce wyłożonej flizami, w której oknie brakowało kawałka szyby, znalazłem miotłę, żółte plastikowe wiadro i pusty

pojemnik po ajaksie. Zaopatrzony w ów sprzęt i w owym przemyślnym przebraniu opuściłem akademię i ponownie zszedłem na parter, nucąc pod nosem, z nadzieją, że nikłe oświetlenie holu skryje me nieogolone lica i włochate łydki. Na szczęście portier i osobnik prowadzili zagorzałą dyskusję, w której obaj najwyraźniej zajmowali to samo stanowisko, o tym, jak podrożało życie, o nieuchronnej podwyżce cen benzyny, o tym, jak marnie można dziś zjeść za dwa razy tyle, ile lata temu kosztowała prawdziwa uczta, i zaledwie raczyli mi rzucić pogardliwe spojrzenie. Prześliznęłam się statecznie między nimi i zapiszczałam falsetem:

– Dobranoc panom.

Odburknęli mi coś zgodnie i ciągnęli swe lamenty. Znalazszy się na ulicy i w odpowiedniej odległości od budynku, wrzuciłem do kosza atrybuty skromnego zawodu sprzątaczkę, a także perukę, chusteczkę i fałszywy biust, po czym ruszyłem żwawo w dół ulicy. Musiałem ścierpieć cięte komentarze kilku przechodniów na temat mego stroju, lecz byłem bezpieczny i całkiem zadowolony z siebie, gdyż mimo wszystkich tych utrapień nie porzuciłem albumu ze zdjęciami, który dźwigałem teraz dumnie pod pachą.

Gdy podchodziłem do domu dziennikarki, z baru naprzeciwko wyszła roztrzęsiona Emilia. Zapytana, co tam robi, odrzekła:

– Marfi Pandory nie ma w domu. Dzwoniłam do drzwi ze czterdzieści razy i nic. Boję się, że coś jej się stało. Po co ci ta sukienka?

– Opowiem ci później. Dzwoniłaś do redakcji? Może tam jeszcze jest.

– Dzwoniłam, też nikt nie odpowiada.

– Zaraz zobaczymy – powiedziałem – ale najpierw chciałbym się napić pepsi-coli. Najadłem się tyle strachu, że gardło mam suche jak pieprz.

– Odłóż nałogi na lepszą okazję – sprzeciwiła się Emilia. – Życie biednej Marii jest w niebezpieczeństwie.

– Biednej Marii, biednej Marii... – powtórzyłem, nieco urażony troskliwością okazywaną tamtemu upiorkowi i obcesowym traktowaniem moich uczuć.

Przeszliśmy przez ponury korytarz, nienagabywani przez dozorczynię zaabsorbowaną swymi sprawami, na co wskazywały kłęby dymu i zapach tłuszczu dobiegające z jej kanciapy, i wspięliśmy się na ostatnie piętro. Zadzwoniliśmy i odczekaliśmy chwilę, po czym otworzyłem drzwi wytrychem. Mieszkanko było mikroskopijne i nim upłynęła sekunda, wiedzieliśmy, że jest puste. Jedno z okien było otwarte i wychyliwszy się, stwierdziłem, że wychodzi na dach, gdyż ostatnie piętro zostało dobudowane całkiem niedawno.

– Podejrzewam – powiedziałem, podwijając podomkę i siadając okrakiem na parapecie – że biedna Maria ulotniła się tą samą drogą, jaką ja zamierzam teraz obrać.

Wyszedłem na dach najeżony antenami telewizyjnymi i wyścielony kobiercem ekskrementów utkany przez ptactwo przemierzające nasz firmament w drodze do dalekich krain.

– Przydałoby się trochę tu posprzątać – skomentowała Emilia, dołączając do mnie. – Sądziś, że Maria uciekła, skacząc po dachach?

– Nawet paralytyk potrafiłby to zrobić – stwierdziłem, pokazując szerokim gestem szary i jałowy horyzont, przecięty jedynie ogromną reklamą tabletek

przeciwno katarowi.

– Gdyby tylko miał jakiś powód.

– Tak, i to powód dostatecznie potężny, by zostawić otwarte okno w czasach tak powszechnych wypadków naruszenia własności.

– A jeśli ją porwano...?

– Nie zauważyłem w mieszkaniu oznak przemocy – stwierdziłem – ale wróćmy i przeszukajmy je metodycznie i gruntownie.

W obu nędznych pokoikach składających się na apartament, a także w łazience i kuchni dla pigmejów, panował stosunkowy nieład charakterystyczny dla osób, które mieszkają same i nie czują szczególnego zamiłowania do porządku, lecz mimo starań nie znaleźliśmy śladów krwi, trzewi, odciętych członków ani innych szczegółów, które mogłyby wskazywać na to, że zaszło tu coś złego. Wykluczaliśmy także hipotezę ucieczki z premedytacją, ponieważ odkryliśmy czyste majteczki w szafie w sypialni i brudne na podłodze, szczoteczkę oraz inne przyrządy do utrzymania higieny w łazience i nieco pieniędzy w jednej z szuflad biurka. Dotknąłem żarówek i stwierdziłem, że są zimne, co zresztą niewiele nam powiedziało, zważywszy, że przez otwarte okno wpadały ostatnie promienie słońca. Odkręciłem krany i wypłynęła z nich woda letnia i brunatnawa. Łóżko było nieposłane, lecz nie pachniało ludzkim ciałem. Na szafce nocnej leżało czasopismo z nagimi panienkami na okładce. Zacząłem je łapczywie przeglądać, podczas gdy w głowie rodziło mi się pewne podejrzenie. Powiedziałem jednak sobie, że będąc zawodową dziennikarką, María Pandora pisuje do szerokiego wachlarza czasopism, i że to, co myślę, jest z pewnością bezzasadne. Z sąsiedniego pokoju do-

biegi mnie głos Emilii przeglądającej sterty papierów na biurku; pytała, czy znalazłem coś godnego wzmianki. Zawstydzony traceniem czasu na tak prymitywne rozrywki, odrzekłem pośpiesznie, że nie, i wrzuciłem czasopismo do szuflady szafki. W tym momencie dostrzegłem, że spod stosika chusteczek wystaje róg posrebrzanej ramki. Wyjąłem ją, spodziewając się, że zawiera portret nieobecnego członka rodziny lub nieśatego narzeczonego, którego wspomnienie budzi w Marii Pandorze ambiwalentne uczucia. Jakież było zatem moje zdziwienie, gdy ujrzałem zdjęcie nieszczęsnego Muscle Powera, uwiecznionego dla potomności *en trois-quarts*, z półuśmiechem, jedną brwią podniesioną, a drugą zmarszczoną, w koszuli rozpiętej aż po pas, z wygiętym prętem w rękach. W prawym dolnym rogu zdjęcia widniała nagryzmołona dedykacja: „Wielkiej miłości mego życia, z żarliwą namiętnością. M.P.”.

Jeśli lubieżne czasopismo rzuciło mnie na ścieżkę najśmielszych fantazji, cóż dopiero owo niespodziane znalezisko?! W zasadzie nic dziwnego nie ma w tym, że dziewczyna pieczołowicie przechowuje zadedykowane jej zdjęcie swego idola, lecz dlaczego w ramce? Dlaczego pieczołowicie ukryte w szufladzie szafki nocnej? I jak należy rozumieć tę dedykację, równie niezwykłą jak kompromitującą?

Odgłos kroków ostrzegł mnie, że nadchodzi Emilia. Wrzuciłem zdjęcie do szuflady i zamknąłem ją, zanim weszła do sypialni.

– Tu nic nie ma – powiedziałem szybko, czując, że policzki mi płoną. – Nic, co by nas mogło zainteresować. A ty coś znalazłaś?

Odpowiedziała, że nie, po czym dodała:

– Uporządkowanie tego oceanu papierzysk trwałoby

z miesiąc. Zastanawiam się zresztą, czy siedząc tutaj, nie podejmujemy zbędnego ryzyka. Nieobecność Marii może być po prostu wynikiem najzwyczajszego przypadku. Myślę, że możemy zebrać manatki i sobie pójść. Co ty na to?

– Całkowicie się z tobą zgadzam – oznajmiłem, ogarnięty niepohamowanym pragnieniem opuszczenia tego mieszkania. – Idziemy.

Kierowaliśmy się w stronę wyjścia, gdy usłyszeliśmy chrobot klucza w zamku, drzwi otworzyły się i weszła kobieta w nieokreślonym wieku, wysoka i niewiarygodnie chuda, o rękach i nogach jak odnóża langusty, która na mój widok wydała pisk i przeżegnała się zamasyście jak muszkieter.

– O Jezu! – wykrzyknęła, pokazując na mnie – Zbochnieć!

– Kim pani jest? – zapytała Emilia świszczącym głosem, świadczącym o niedawnym przestraszeniu.

– Azucena Remojos, pomywaczka, do usług.

– Myślałam, że pomoce domowe pracują tylko rano – zauważyła Emilia inkwizytorskim tonem.

– A jakże, a wieczorami schodzimy się wszystkie i gramy w brydża – zareplikowała sprzątaczką. – Widać, że pani nie zarabia na życie robotą.

– Skąd ma pani klucz do mieszkania? – zapytałem.

– Panienska mi dała. Jej prawie nigdy nie ma, a ja cudzego nie tknę za Boga.

– Nie wątpię. Od kiedy tu pani pracuje?

– O, już będą ze dwa lata. A państwo kłóście są i jakżeście weszli, jeśli można spytać?

– Jesteśmy przyjaciółmi panienki Marii, ale proszę sobie nie przeszkadzać, już wychodzimy i zostawiamy panią w spokoju.

Wychodząc, jakby nigdy nic wzięłem z wieszaka prochowiec i zarzuciłem sobie na ramiona, nie ze względu na aurę, która była nader sprzyjająca, lecz by ukryć niestosowność mego stroju. Gdy schodziliśmy po schodach, Emilia powiedziała mi z miną, jakby chodziło o wielki sekret:

– To oszustka. Ta pomywaczka to oszustka.

– Skąd wiesz?

– Maria Pandora i ja mieszkaliśmy tu razem w ubiegłym roku, zanim znalazłam moje mieszkanie. Nigdy nie miała pomocy domowej i, biorąc pod uwagę jej specyficzny charakter, nie sądzę, żeby kiedykolwiek coś z tego wyszło. Co robimy?

– Poczekamy, aż wyjdzie i podążymy skrycie za nią.

Zostawiłem Emilię na czatach w bramie, a sam wszedłem do baru. Opróżniłem do połowy butelkę pepsi-coli i czułem zawrót głowy, jaki zawsze wywołuje we mnie spożycie tak wybornego nektaru, gdy Emilia zajrzała, by powiedzieć, że pomywaczka właśnie wyszła. Dopilem pośpiesznie resztę trunku, zapłaciłem i wybiegłem za Emilią. Fałszywa pomywaczka dotarła tymczasem do rogu ulicy i wywijiała młynki torebką. Wkrótce pojawiła się czarna limuzyna, pomywaczka wsiadła do niej, a my zostaliśmy na lodzie.

– A niech to! – wykrzyknąłem. – Powinniśmy byli przewidzieć taką ewentualność. Gdzie masz samochód?

– Tu zaraz, chodź.

Los w swym nieprzewidzianym kaprysie lub strażnik miejski wypełniający co do joty swą powinność założył blokadę na koło samochodu Emilii. Podczas gdy ta ostatnia złorzeczyła, sięgnąłem po wytrych. Jako że nigdy jeszcze nie mierzyłem się z blokadą, wynalazkiem zupełnie mi nieznanym, pokonanie jej zabrało mi

ponad pół godziny. Gdy operacja dobiegła końca, tłumek gapiów urządził owację, a wielu z nich poprosiło mnie o adres i numer telefonu. Oczywiście po pomywacze nie było już ani śladu.

– Zmarnowaliśmy wspaniałą okazję – powiedziałem z ubolewaniem.

– Nie trać ducha, Tintin – pocieszyła mnie Emilia. – Zapamiętałam numer rejestracyjny czarnego samochodu.

– A to nam po co?

– Mam przyjaciela w wydziale komunikacji. Co teraz?

Spojrzałem na zegarek i przypomniałem jej o spotkaniu z domniemanym włoskim producentem. Jak można się było spodziewać, nie ucieszyła się ani trochę, i musiałem przyrzec, że z nią pójdę, żeby się nie wycofała. Zapytana, gdzie się umówili, powiedziała:

– W chińskiej restauracji Dwie Gardenie, w okolicach Mitre-Muntaner, znasz ją?

– Nie, ale mam nadzieję, że porcje będą szczodre, bo umieram z głodu – odrzekłem.

Rozdział dziewiąty

Mniam, mniam

Gdy tylko przekroczyliśmy próg restauracji, powitał nas Chińczyk równie ugrzeczniomy co perfidny na twarzy, który zaczął od nalegania, bym pozbył się za piętego pod samą szyję prochowca, oddając go do szatni. Odmówiłem pod pretekstem, że jestem z natury zmarzluchem.

- Restauracja być jak piekarnik – nalegał Chińczyk.
- Uniżony sługa mieć koszula przyklejona do ciała.

Co powiedziawszy, zdjął mundurek i pokazał nam wilgotne plamy pod pachami. Aby nie zaczynać wieczoru od kłótni, zdjąłem prochowiec i położyłem go na ladzie szatni. Twarz Chińczyka na widok mego stroju pozostała nieodgadniona, lecz nie uszło mej uwagi, że trącił dyskretnie łokciem przechodzącego kolegę, Emilia zaś zaczęła kontemplować pstrokatą dekorację lokalu, udając, że mnie nie zna. Gdy Chińczyk wręczał mi kwit, zapytałem go, czy przybył już Włoch, na co odrzekł, gnąc się w ukłonach:

- Słynny producent czekać w saloniku. Czekać długo. Chodzić po ścianach.

Poprowadził nas ciemnym korytarzem prowadzącym do jadalni, w której zasiadało kilku biesiadników o

zaniedbanym wyglądzie, a następnie do salki mieszczącej się w głębi, obok kuchni, oddzielonej od pozostałej części restauracji parawanami z czegoś podobnego do kalki technicznej. Salonik przypominał nieco boks dla byków, ze stolikiem pośrodku, od którego ktoś, Bóg raczy wiedzieć w jakich zamiarach, oderznął cztery nogi. Na macie pokrywającej podłogę siedział osobnik lat około pięćdziesięciu, o wyglądzie arystokraty, nie-nagannie ubrany, z białą hiszpańską bródką kontrastującą z czupryną koloru szafranu. Na nasz widok producent, gdyż to z nim niewątpliwie mieliśmy do czynienia, wykonał gest, jakby chciał się podnieść, lecz jako że spędził w tej pozycji dłuższy czas, wydobyl z siebie tylko przeciągłe pierdnięcie i opadł na matę.

– *Mi excusi* – zwrócił się do Emilii, pokazując na krocze. – *Le gambe tumefacte. Ah, vedo que la signiorina vieni colla sua tieta, mi piace, mi piace.*

Udałem, że nie dosłyszałem, iż nazwano mnie ciotką, i przedstawiłem się.

– Jestem agentem panny Trash. Czy włada pan naszym językiem?

– Owszem, władam, i to całkiem płynnie – stwierdził Włoch. – Nie bez kozery mówią o mnie *il poliglota di Cinecittà*. Może zamówimy? Kiszki mi już marsza grają. Ej ty, Fumanczú, chodź no tutaj!

Chińczyk, który przystanął przed drzwiami, wsunął głowę do saloniku, jeszcze bardziej ponury niż dotychczas.

– Słuchaj – powiedział mu producent. – Przynieś nam trochę tego i trochę tamtego, tak żebyśmy spróbowali wszystkiego. Do picia ja chcę butelkę czerwonego domowego wina, panience przynieś wodę mineralną bez gazu, a ochroniarzowi pepsi-colę.

Chińczyk odszedł bezgłośnie, zasuwając za sobą drzwi i pozostawiając w saloniku naszą trójkę, nie bardzo wiedzącą, co powiedzieć. Ciszę przerwała Emilia, i to w sposób wysoce zaskakujący.

– Proszę posłuchać, proszę pana – powiedziała producentowi. – Nie wiem, kim pan jest i czego ode mnie chce, ale mogę pana zapewnić, że farsa ta jest niepotrzebna, ponieważ nie mam nic wspólnego z tą całą aferą. Zostałam w nią wplątana wbrew mojej woli i z powodu mej trzpiotowatości. Pragnę tylko żyć w spokoju i przestać się bać. Sądzę, że szuka pan walizki, którą ukradłam w Madrycie. Walizka ta znajduje się w przechowalni bagażu na lotnisku. Może pan zabrać ją, kiedy pan zechce, i oby przyniosła panu szczęście. Co do mojej dyskrecji, może pan na nią liczyć: nic nie wiem, a nawet gdybym wiedziała, nie poszłabym na policję. Jedyne, o co pana proszę w zamian, to by nie mieszał się pan więcej w moje życie, a przy okazji, by nie uczynił pan nic złego mojemu koledze, którego nie porzucę w tarapatkach. Oto kwit bagażowy. Nie sądzą, byśmy mieli sobie coś jeszcze do powiedzenia.

Pogrzebała w torebce, wyjęła pomięty kwit i wręczyła go producentowi, który schował go do górnej kieszonki marynarki. Nie wiedziałem, jak się zachować.

– *Carissima signorina* – rzekł producent ojcowskim tonem. – Nie wiem, o czym pani mówi, lecz słowa jej trafiły mi prosto do serca. Jestem pewien, że uczynię z pani gwiazdę. Jednakże zanim zaczniemy mówić o interesach, jeśli państwo pozwolą, pójdę umyć ręce. Zaraz wracam.

Wymachując rękami i przy wtórze trzasku stawów, producent podniósł się i opuścił salonik, zasuwając za

sobą drzwi. Gdy zostaliśmy sami, dałem upust memu słusznemu gniewowi następującymi twardymi słowy:

– Coś uczyniła, głupia kobieto?

– To, co mi podyktował zdrowy rozsądek. Moje życie jest moim życiem i robię z nim to, na co mam ochotę. Chcą walizki? No to niech ją sobie wezmą, do licha.

– Jaka sprytna. A kto ci zagwarantuje, że po odzyskaniu walizki nie spróbują pozbyć się nas, żeby usunąć wszystkie ślady swych łotrstw? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że dopóki mieliśmy walizkę, byliśmy bezpieczni, bo zabicie nas oznaczało jej bezpowrotną utratę? Myślisz, że gdyby naprawdę chcieli cię ukatrupić, nie zrobiliby tego już wcześniej i nie patyczkując się? Walizka była naszym jedynym glejtem, oślico.

Siła i słusność mych argumentów przygniotła ją.

– Mam wrażenie, że popełniłam głupstwo – przyznała.

– Oczywiście, że tak. A teraz zmywajmy się stąd, zanim capną nas Chińczycy, którzy są z pewnością przebiegłymi łotrami.

Podniosłem się, zaplåtując w sukienkę, do której wciąż nie mogłem się przyzwyczaić, a Emilia uczyniła to samo. Gdyby na stole były widelce i noże, uzbroiłbym się w nie, lecz leżały tam tylko pałeczki, które nie nadawały się nawet do podłubania w nosie. Najostrożniej jak umiałem odsunąłem papierowy parawan i wpadłem na tego samego Chińczyka, któremu tym razem towarzyszyło dwóch kolegów. Pomyślałem, że zaraz zaczną praktykować na mnie sztuki walki, które tyle splendoru przydały ich kinematografii, więc zasłoniłem głowę i inne wrażliwe części ciała, wzywając zarazem głośno pomocy. Chińczyk przemówił:

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Zauważyłem, że

porzucił słodki ton i mówił z prozaicznym akcentem z Sants. – Pan, który był z państwem, wiedzą państwo, o kim mówię, no więc znaleźliśmy go w toalecie. Jest niedysponowany.

– Niedysponowany? – powtórzyłem.

– Leży na ziemi – wyjaśnił Chińczyk. – Gdyby zechcieli państwo podejść. Ja tam nie chcę problemów.

Pobiegliśmy za Chińczykiem i zatrzymaliśmy się przed drzwiami z napisem: PANOWIE. Chińczyk wszedł, a my za nim. Na podłodze leżał producent. Pochyliłem się nad nim i stwierdziłem, że oddycha normalnie.

– Tylko stracił przytomność. Polejmy go wodą.

Zawlekliśmy go pod ubikację, włożyliśmy głowę do muszli i pociągnęliśmy za łańcuch. Strumień wody zerwał perukę w kolorze blond i odsłonił łysą czaszkę.

– Już reaguje – szepnął Chińczyk. – Dzięki Bogu.

Samozwańczy producent wrócił do siebie, kaszląc, wymiotując i złorzeczając.

– Kurwa jego mać! – brzmiały jego pierwsze słowa.

– Kto śmiał podnieść na mnie rękę?

Wymierzył Chińczykowi stojącemu najbliżej siarczysty policzek, który posłał go pod umywalkę. Widząc, że uśmierzyło to nieco jego gniew, odważyłem się podejść.

– Zasłużył pan sobie na to – wytknąłem uprzejmie, pomagając mu jednocześnie usunąć sztuczną bródkę z otworów nosowych. – Zasłużył pan, nie ufając mi i uciekając się do takich niskich chwytów, panie komisarzu.

– A ty co do jasnej cholery tu robisz? – ryknął komisarz Flores. – Czy nie odesłałem cię z powrotem do wariatkowa?

– Sądzę, że wszyscy jesteście sobie winni szczegółowe wyjaśnienia, panie komisarzu. A jako że zamówiliśmy smakowitą kolację, czy nie moglibyśmy pogawędzić, napełniając kałduny?

Komisarz nie słuchał mnie jednak i, być może po to, by raz poczuć się kimś innym, zrewidował sam siebie.

– Ukradli mi kwit bagażowy – warknął. – Sądzę, że tego właśnie szukali. Gdzie jest jakiś telefon?

– Tu zaraz, przed toaletami – pośpieszył z odpowiedzią Chińczyk, wyjmując zarazem z kieszeni trzy monety, by komisarz nie musiał ponosić kosztów.

Komisarz połączył się z policją lotniskową i rozkazał, by roztoczono ścisły i stały nadzór nad przechowaniem bagażu. Osobę, która zgłosił się po walizkę, zatrzymał *in situ*. Odwieszając słuchawkę, sprawiał wrażenie zadowolonego z własnej skuteczności.

– Rychło wpadną w sidła – oznajmił, po czym zwrócił się do wpatzonego weń Chińczyka: – Przygrzmocili mi zdrowo. Przynieś mi coś na ból głowy i powiedz, żeby podali kolację.

Wróciliśmy do saloniku, komisarz, Emilia i ja, a po krótkiej chwili pojawił się Chińczyk z dwiema tabletkami, flakonikiem maści i ścierką. Podczas gdy komisarz łykał tabletki. Chińczyk wtarł maść w łysą czaszkę. Następnie usiadł z nami, i naciskając sobie nos zręcznie kciukiem i palcem wskazującym, wydał dźwięk do złudzenia przypominający dźwięk gongu, na co do saloniku wkroczyło dwóch kelnerów i zastawiło stół różnymi i egzotycznymi potrawami, na które rzuciliśmy się, komisarz, Chińczyk i ja, walcząc kułakami i łokciami o największe kawałki. Gdy półmiski zostały wyczyszczone i wypolerowane, komisarz wydał z siebie głębokie westchnienie, wyjął z wewnętrznej

kieszonki marynarki cygaro, zapalił je, pociągnął kilka razy i ją objaśniać nas tymi słowy:

– Po rozmowie telefonicznej, którą odbyłem z tym tu transwestytą – rozpoczął, pokazując na mnie i zwracając się do wszystkich w ogólności, a do nikogo w szczególności, choć przez cały czas nie odrywał oczu od okrągłych atrybutów Emilii – pośpieszyłem sprawdzić, czy pan minister, z którym rozmawialiśmy w hotelu, był prawdziwy, stwierdziłem, że nie, i doszedłem do wniosku, iż padliśmy ofiarą oszustwa. Potrafiłem jednak przedłożyć nad logiczną furię zimną trzeźwość umysłu, tak dla mnie charakterystyczną, i zacząłem się zastanawiać, co kryje się za tak perfidnym fortem. Natychmiast stanął mi przed oczami obraz walizki pełnej pieniędzy, notabene, nietrudno mi go było przywołać, gdyż rozkoszowałem się nim w bezsennych godzinach, które w miarę upływu lat i przybywania problemów stają się coraz częstsze i dłuższe. No cóż, moim zdaniem, i nie należy tego rozumieć jako katastroficznej wizji naszej gospodarki, w dzisiejszych czasach rzecz, za którą płaci się gotówką i w jednej racie, musi być nielegalna. Zawrzała we mnie krew psa gończego, i nie zwlekając, rozpocząłem śledztwo przeciw skurwielowi, który podał się za pana ministra. Nasze wszystkożerne archiwa ujawniły, że chodzi o niejakiego Toribia i coś tam dalej, *alias* Muscle Power, notowanego jako narkoman i pedofil, o czym informuję obecną tu śliczną panienkę, aby w przyszłości lepiej dobierała sobie przyjaciół.

Udałem, że nie zauważam aluzji. Komisarz przesunął dłonią po twarzy, jakby morzył go sen, ziewnął, zaciągnął się dwa razy i kontynuował:

– Przed południem śledztwo było na jak najlepszej

drodze i wasz uniżony sługa, lekceważąc zew lunchu, kawusi z koniakiem i partyjki remika, stawiał się osobiście w miejscu zamieszkania denata z zamiarem przesłuchania go. Nie udało mi się jednak zrealizować mego zamiaru, ponieważ rzeczony denat wyciągnął kopyta kilka godzin wcześniej. Za owoc swych matactw nabył podwójną działkę heroiny, dał sobie w żyłę i przedawkował. Zamykamy akta Muscle Powera i szukamy dalej. A jako że nie na darmo powiadają, że gdy Bóg zamyka jedne drzwi, to otwiera okno, i że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, natknąłem się w archiwach na szczegółowy opis tej oto treściwej panny, której dane figurowały obok biografii zmarłego, wraz z kilkoma subiektywnymi głosami dorzuconymi dla rozrywki przez wieprza, który sporządzał notatki. Wówczas opracowałem genialny plan podania się za producenta filmowego, po części, by wysondować sytuację, nie płosząc zwierzyny, a po części, ponieważ zawsze marzyłem skrycie o takim zajęciu, a poza tym słyszałem wiele historii o producentach i aktorkach i nie zamierzałem przepuścić takiej okazji. Jakaż była ma radość, a zarazem, po cóż zaprzeczać, frustracja, gdy panna spontanicznie wyznała swą winę i wręczyła mi dowód, za przeproszeniem, namacalny i ostateczny. Wyszedłem stąd pośpiesznie, jak zapewne państwo pamiętają, by wydać odpowiednie rozkazy agentom czekającym na ulicy, i gdy przechodziłem korytarzem, umyślnie nieoświetlonym i fantasmagorycznym, nie wiem, czy po to, by stworzyć koloryt lokalny, czy po to, by ukryć szczury i karaluchy, które z pewnością mają swoje królestwo w tej norze, zostałem napadnięty i ogłuszony. Resztę państwo znają.

Komisarz zduślił niedopałek cygara na macie, Chiń-

czyk rozplynął się w przeprosinach, a ja pogrzyżyłem w medytacji nad tym, co usłyszałem. Po tym krótkim antrakcie odważyłem się zapytać komisarza, czy przypadkiem nie zarządził rewizji w domu Emilii.

– Rewizji? – zapytał, najwyraźniej zdziwiony. – Nie, dlaczego pytasz? Była u ciebie jakaś rewizja, złotko?

– Nie, nie, panie komisarzu, ależ skądże – odpowiedziałem pośpiesznie. – Pytam tylko z wrodzonej skłonności do kwestii proceduralnych.

– Twoja wrodzona skłonność do wyrastania tam, gdzie nikt cię nie posiał, przyprawia mnie o zgryzotę – stwierdził komisarz, spoglądając na mnie wzrokiem nie tyle rozjuszonym, ile błędnym. – Zaraz osobiście zawiozę cię do domu wariatów i zapewniam cię... zapewniam cię... zapewniam cię...

Kiwnął kilka razy głową i zwałił się na stół. Przestraszyłem się nieco, ale wkrótce zobaczyłem, że chrapie w najlepsze. Chińczyk uśmiechał się, zadowolony.

– Co mu pan podał? – zapytałem.

– Środki nasenne – odrzekł. – Zaraz gdy wszedł, zdałem sobie sprawę, że jest to człowiek przytłoczony nawałem obowiązków i frenetycznym rytmem współczesnego życia. Potrzebuje odpoczynku i spokoju duchowego. Przezorny szczygieł nie buduje gniazda w sitowiu. Gdy się obudzi, będzie mi wdzięczny.

Powstrzymałem się od wyrażenia odmiennej opinii, gdyż szalenciec ten wyświadczył mi nieświadomie sporą przysługę. Zapytałem, czy nie mógłby pożyczyć mi jakiegoś ubrania, by zastąpić perkalową podomkę, w której nie mogłem przechadzać się po świecie, nie narażając się na szykany i zmarznięcie, a Chińczyk, po krótkiej, lecz głębokiej medytacji, powiedział, że poszuka. Gdy zostaliśmy sami, zapytała Emilia:

– Myślisz, że to całe szaleństwo wreszcie się skończyło?

– Nie – brzmiała moja zniechęcająca odpowiedź. – Policja, jak właśnie usłyszeliśmy, nic nie wie.

– Ale zatrzymają ludzi, którzy pójdą po walizkę, prawda?

– Nie sądzę, żeby ktoś starał się odzyskać walizkę.

– Dlaczego? Mają kwit bagażowy.

– Mają tylko kwit na mój prochowiec. Kiedy zobaczyłem, że pękasz, zamieniłem je dyskretnie. Zrozum, że będzie lepiej...

Nie pozwoliła mi skończyć. Rzuciła we mnie imbrykiem, celując w głowę. Uchyliłem się w ostatniej chwili, a imbryk uderzył w ścianę i rozbił się w drobny mak.

– Uspokój się, kobieto. Policja nam nie pomoże. Po pierwsze, komisarz Flores sądzi, że Toribio zmarł z przedawkowania i że sam sobie wstrzyknął narkotyk. My wiemy, że został zamordowany, ale komisarz nie należy do tych, którzy przyznają się do błędu. Po drugie, znikła twoja przyjaciółka María Pandora. Jak powiedzieć im o tym, nie pakując nas samych, a być może także i jej, w tarapaty? Po trzecie... Ach, jest Chińczyk.

W rzeczy samej osobnik określony tym mianem wszedł niespostrzeżenie do saloniku, dyskretnie zamiół skorupy imbryka i podał mi dziwną szatę.

– To mandaryńskie kimono, w które ubieram się w Nowy Rok – wyjaśnił, podczas gdy wkładałem je na siebie. – Oryginalne są z karmazynowego jedwabiu, ale ja wołałem granatowy tergal, bardziej wytrzymały i łatwiejszy do prasowania. Proszę zwrócić uwagę, panno, na wspianały haft na plecach i rękawach. Szkoda, że jest na pana nieco za ciasne.

Nalegał, bym przytroczył też sobie warkoczyk związany sznureczkiem, i musiałem ulec, by go nie obrazić. Był to nader sympatyczny Chińczyk. Opowiedział nam, że jego ojciec pochodzi z Kantonu, a matka z La Bisbal, że nazywa się Aureli Ching Gratacós i jest członkiem F.C. Barcelona od 1952 roku. Restauracja przynosi mu dość dobre dochody, choć odczuwa kryzys, jak każdy. Nie wie, dokąd to wszystko doprowadzi, ale nie skarży się, ponieważ są tacy, którym powodzi się gorzej.

– Mnie się ten europejski socjalizm całkiem podoba
– powiedział na pożegnanie.

Rozdział dziesiąty

I inne podstępny

Zaparkowaliśmy samochód na placyku, gdzie tegoż ranka wysadził mnie autobus i skąd wybiegały w górę kręte i rozwidlające się uliczki dzielnicy Emilii. Okolica nie grzeszyła nadmiarem oświetlenia. Na bezchmurnym firmamencie migotały gwiazdy, ulice były bezлюдne, na placach budowy drzemały koparki, a wiosenny wietrzyk niósł z pobliskiego parku zapach ziemi. Noc, jak widać, wymarzona, by oddać się czynom lubieżnym, lecz pozwolić sobie na to mógł tylko ktoś, kto nie miał za sobą czterdziestu ośmiu godzin bez zmruczenia oka i dwóch band zawziętych morderców depczących po piętach.

Na szczycie wzgórza jarzył się, niby latarnia morska na skalistym brzegu lub anioł zwiastujący dobrą nowinę, żółty neon, który sławił zalety napojów firmy Kas i wskazywał wędrowcowi drogę do baru. Wstąpiliśmy tam, Emilia i ja, i znaleźliśmy jedynie posiwiątego dżentelmena z brzuszkiem wycierającego bar wilgotną ścierką. Nie przyświecał nam inny cel prócz chęci skorzystania z telefonu, lecz człowiek ze ścierką, który okazał się właścicielem baru, jął nalegać, byśmy skosztowali flaczków po madrycku.

– Sprzedam je państwu za połowę ceny – zaproponował, wskazując na zawieszoną na ścianie tablicę z jadłospisem dnia – ponieważ już nabierają zielonego koloru i będę je musiał wyrzucić.

– Właśnie zjedliśmy kolację – wyznałem – ale chętnie napiłbym się zimniutkiej pepsi-coli.

Właściciel zarzucił ścierkę na ramię, zanurzył się po pas w lodówce, a po chwili poinformował, że skończyły mu się zapasy. Sprawiał wrażenie, jakby za moment miał wybuchnąć płaczem, i Emilia, w porywie współczucia, zgodziła się na lampkę białego wermutu. Właściciel nalał jej, po czym przyssał się do butelki i wyłopał sporą część jej zawartości.

– Kiedy otworzyłem bar – opowiadał głosem przezywany czkawką – w okolicy nie mieszkał pies z kulawą nogą, a teraz, kiedy zrobiło się miasto, ludzie nie wychodzą nocami, bo boją się napadów i gwałtów. W sumie, pełna ruina. – Przetarł sobie twarz wilgotną ścierką, jakby chciał wymazać czarną perspektywę, jaką zdawała się gotować mu przyszłość. – Włożyłem w ten interes oszczędności całego życia i nie wiem, co zrobię, jeśli trzeba będzie go zamknąć. Rzeczywiście nie chcą państwo porcji flaczków?

– Chcemy tylko zadzwonić – powiedzieliśmy.

– Tak naprawdę chciałem otworzyć przydrożny bar z panienkami i wódą. W zeszłym roku zatrudniłem nawet pewnego kurwizona, ale w końcu ożeniłem się z nim, a teraz nie chce pracować. W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Z zalepca dobiegł kobiecy głos o wysokim diapazynie:

– Mauricio, co tam robisz?

– Nic, słoneczko, gawędzę z klientelą – odkrzyknął

właściciel głosem słodkim jak miód.

– Powiedz im, żeby spadali, bo już zamknięte.

– Stała się ogromnie zgryźliwa – powiedział nam cicho właściciel, wzdychając z rezygnacją. – Telefon jest tam, obok szczalnicy.

Odszukałem w książce telefonicznej numer don Plutarquete’a Pajarella i wykręciłem go. Po krótkiej chwili odezwał się starczy i grzeczny głos uprzejmego erudyty.

– Don Plutarquete?

– To ja, kto mówi?

– Nie wiem, czy pan mnie pamięta: jestem przyjacielem panny Trash. Przepraszam, że niepokoję pana o tak późnej godzinie.

– Pamiętam pana doskonale i nie musi pan przeproszać, nigdy nie kładę się wcześniej. W czym mogę pomóc?

– Panna Trash, która stoi obok mnie, i ja sam chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Chodzi o rewizję, której był pan świadkiem tego ranka. Wpadło mi w ręce kilka zdjęć i chciałbym, by rzucił pan na nie okiem.

– Zrobię to z ogromną przyjemnością, ale uprzedzam pana, że pod moim domem stoi od dawna samochód z dwójką typów, którzy nie wyglądają przyjaźnie.

– Sądzi pan, że pana śledzą?

– Mnie nie; sądzę, że obserwują dom panny Trash.

– No cóż, trudno. Będziemy musieli odłożyć rozmowę na sposobniejszą chwilę.

– Nie, nie, proszę poczekać. Skąd pan dzwoni?

– Z baru na rogu.

– Wiem, z którego. Jeśli właściciel zaoferuje wam flaczki po madrycku, nie zgódźcie się. I proszę dokładnie wypełnić moje polecenia: odczekajcie pięć minut,

następnie podejdźcie ostrożnie pod mój dom, a kiedy samochód odjedzie, podbiegnijcie szybko do bramy. Otworzę wam z góry. Zrozumiał pan?

– Don Plutarquete, proszę być bardzo ostrożnym: to niebezpieczni ludzie.

– Wiem. Pięć minut.

Po upływie czasu wskazanego przez staruszka poze- gnaliśmy się z właścicielem baru, życząc mu sukcesów gospodarczych i gratulując z okazji ślubu, i ruszyliśmy na poszukiwanie miejsca, skąd moglibyśmy śledzić ruchy pasażerów samochodu, sami nie będąc widziani. Pomimo odległości oraz ciemności i choć wzrok mój nie jest już tak bystry jak niegdyś, zauważyłem, że obaj mężczyźni wyglądają na osiłków i że najwyraźniej nie są zawodowcami, gdyż mają otwarte okna i radio włączone na cały regulator. Zapytałem Emilię, czy jest w stanie odczytać numer na tablicy rejestracyjnej, a jeśli tak, czy odpowiada on numerowi, który zapamiętała dzisiejszego popołudnia, na co odrzekła, że jeśli chodzi o pierwsze, to tak, a o drugie – nie. W tym momencie zobaczyliśmy, nie bez zdziwienia, że samochód rusza i znika u wylotu ulicy. Chwyciłem Emilię za przegub i pobiegliśmy do bramy, gdzie oczekiwał nas dumny i zdyszany sprytny ramol. Gdy weszliśmy, zamknął drzwi, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku, i powiedział:

– Szybko, do windy, zaraz będą z powrotem. Pod swoimi drzwiami złożył nam kilka dworskich ukłonów i zaprosił do środka, przeprasząc z góry za nieporządek. Mieszkanie było małe, niewiele różniące się od mieszkania Emilii, umeblowane po spartańsku. Ściany były zastawione książkami, które leżały także na krzesłach i na podłodze. Na wszystkim zalegała gruba war-

stwa kurzu.

– Proszę mi dać swój płaszcz – powiedział staruszek. Wręczyłem mu okrycie, a on zagwizdał z uznaniem na widok mego chińskiego stroju. Sam miał na sobie tę samą pizamę co rano. Gdy zapytałem, jak udało mu się pozbyć szpiegowskiego samochodu, don Plutarquete zrobił szelmowską minę.

– Wziąłem gumowy wąż do podlewania kwiatów na tarasie, spuściłem go aż pod ich otwarte okno i podłączyłem do gazu. Nie poczuli państwo zapachu gazu, przechodząc tamtędy?

– Tak – potwierdziłem. – Ale pomyślałem, że to z gazociągu.

– To samo z pewnością pomyśleli oni i pojechali poszukać innego punktu obserwacyjnego. A miałem nadzieję, że zapalą papierosa i wylecą w powietrze. Bum! Bum! Ale ostrzegł ich ten aromat zjełczałych wiatrów, którym dostawca gazu uszlachetnia swój produkt. Co za pech. Ach, proszę spojrzeć, już wracają. Wciągnę wąż, zanim go zauważą, i zakręcę kurek, bo rachunek przyjdzie jak za zboże. A skoro już jestem w kuchni, czy mogę państwa czymś poczęstować? Mój zapas wiktuałów jest skąpy, a pijam tylko wodę z kranu, lecz jeśli doskwiera wam głód...

– Bardzo dziękujemy, don Plutarquete, właśnie zjeśliśmy sutą wieczerzę. I tak już zbyt wiele kłopotu sprawiliśmy, przychodząc o takiej godzinie.

– Ależ żaden kłopot. Noce poświęcam studiom. W dzień jest duży hałas, tyle się buduje, tyle jeździ samochodów... Czytałem właśnie te oto dzieła, które przysłano mi niedawno. – Wskazał kilka opasłych tomów, wieńczących piramidę książek wznoszącą się na biurku. – Czy wiedzieli państwo, że Filip II miał kuzyna,

który także nazywał się Filip, i pisywał do niego co tydzień? Pewien amerykański uniwersytet opublikował faksymilowe wydanie ich listów. Niezwykła korespondencja! Ale państwo przynieśli zdjęcia, jeśli dobrze zrozumiałem.

– Tak jest. Gdyby był pan taki dobry... – powiedziałem, wyjmując z przepastnej kieszeni prochowca album ze zdjęciami, który buchnąłem z agencji teatralnej, i podając go staruszkowi. Historyk wygoszparował nieco miejsca na biurku, włożył okulary i jął studiować album z wielką uwagą.

– Cóż za kolekcja dziewcząt! – wykrzyknął na widok fotografii kandydatek. – Czy to te zdjęcia mam oglądać?

– Nie. Proszę się skupić na części poświęconej mężczyznom – powiedziałem mu. – Później, jeśli pan zechce, możemy zostawić panu album, by mógł nacieszyć się nim do woli.

Nadał się, lecz zrobił to, o co go poprosiłem, a po krótkiej chwili wykrzyknął:

– Oto jeden z nich! Jeden z wandal, którzy obrócili w perzynę dom panny Trash!

– Jest pan pewien? – zapytałem, spoglądając z niedowierzaniem na grube szkła jego okularów.

– Nie sądzi pan chyba – oznajmił, odgadując me myśli – że szpieguję panienkę moimi biednymi zmęczonymi oczami. – Z szuflady biurka wyjął ogromną lornetkę i wręczył mi ją. – Niemiecka, powojenna. Nic dzięki niej nie umknie, powiadam panu.

Spojrzałem przez lornetkę na drugą stronę ulicy i zobaczyłem kobietę myjącą naczynia. Emilia tymczasem podeszła do biurka i oglądała zdjęcie domniemanego wandala.

– Enrique – odczytała na głos. – Enrique Rodríguez, *alias* Boborowsky. Znam go z agencji. Chyba zajmuje się teatrzykiem dziecięcym, gatunkiem, do którego natura poskąpiła mi talentów. Moja publiczność rekrutuje się raczej spośród osobników, którzy już osiągnęli dojrzałość płciową.

– Teatrzyk dziecięcy? – powtórzyłem. – Komisarz Flores powiedział nam, że Toribio był pedofilem.

– Nie uważasz, że posuwasz się nieco zbyt daleko? – zapytała Emilia, która najeżała się zawsze, gdy ktoś mówił źle o jej eks, bo zmarłym przyjacielu.

– Czy nie uważacie, że moglibyście wtajemniczyć mnie w szczegóły sprawy? – wtrącił się starszek.

– To prawda – uznała Emilia. – Wpakowaliśmy pana w tarapaty, nie informując nawet, na czym polegają.

– Co gorsza – dodałem – nie możemy panu wiele wyjaśnić, bo wciąż wiemy równie niewiele, co na początku. Dlatego właśnie przyszliśmy tutaj. Być może z pańską cenną pomocą uda nam się rzucić nieco światła na tę ciemną sprawę. Proszę więc obejrzeć resztę zdjęć, don Plutarquete, gdyż jestem pewien, że znajdzie pan i drugiego łotra.

Proroctwo moje spełniło się trzy strony dalej. Emilia stwierdziła, że nie zna tego typu, lecz pod zdjęciem figurowało nazwisko, Hans Fórceps, i adres w Cornellà.

– Myślisz, że to Enrique i Hans porwali Marię Pandorę? – zapytała Emilia.

– Być może – odrzekłem – choć w to wątpię. Po pierwsze, nie mamy pewności, czy twoja przyjaciółka została porwana. Po drugie, skłaniam się raczej ku hipotezie, że te dwie perły zaskoczyły mnie dzisiejszego popołudnia w agencji teatralnej, a jeśli tak, to nie mogą mieć nic wspólnego ze zniknięciem, o którym rozma-

wiamy. Jeśli mam być szczery, zaczynam powoli rozumieć, co się tu dzieje, chociaż pozostają tysiące luźnych wątków.

Weteran erudycji zachęcił mnie wówczas, bym wprowadził go wreszcie w szczegóły sprawy, co uczyniłem z największą ochotą, gdyż biedaczysko stokrotnie sobie na to zasłużył. Gdy zakończyłem streszczenie naszych perypetii, mimo mego naturalnego i legendarnego talentu do syntezy zrobiło się bardzo późno i wszyscy troje padaliśmy na nos. Podszedłem do okna i stwierdziłem, że samochód nadal stoi przy chodniku, a jego pasażerowie czuwają.

– Musimy wymyślić jakiś sposób, by stąd wyjść – oznajmiłem.

– I dokąd pójdziemy? – zapytała Emilia żalonym głosem i z na wpół przymkniętymi oczami.

– Donikąd – wykrzyknął z nagłą energią szacowny historyk. – Spędzą państwo noc tutaj. Nikt nie widział, że tu wchodzić, i nie sądzę, by ktoś mnie podejrzewał. W tym domu jesteście bezpieczni. Nie mogę zaoferować wam wielkich wygod, lecz panna Trash może spać w moim łóżku, a mandaryn i ja jakoś sobie poradzimy. I proszę mi nie dziękować – dodał, ucinając zdecydowanym gestem nasze protesty. – To ja jestem wam wdzięczny za towarzystwo. Każdego wieczoru kładę się spać z coraz większym strachem, że nie mam nikogo, kto by mi pomógł, gdyby... Takie obsesje starości. Samotność nigdy nie jest dobrą przyprawą życia, a w moim wieku wszystko, czego dotknie, zamienia w lód. Proszę wybaczyć, że staję się sentymentalny, a przede wszystkim, że sięgam po tak wyświechtane figury literackie: żyję zanurzony w moich lekturach i nie pamiętam już, jak mówią ludzie.

– Nie ma pan rodziny, don Plutarquete? – zapytała Emilia.

– Nie... – odrzekł staruszek sucho.

Wyczuliśmy, że była w jego przeszłości jakaś historia miłosna i że uczony gaduła cały płonie z chęci opowiedzenia jej nam, lecz już to dlatego, że umieraliśmy z senności, już to z nieśmiałości, już to z innego powodu ani Emilia, ani ja nie zadaliśmy pytania, które dałoby początek długiej opowieści. Ograniczyliśmy się do okazania mu radości i wdzięczności za oferowaną gościnność, choć Emilia nie zgodziła się na odebranie łóżka uprzejmemu profesorowi, co wywołało kurtuazyjną wymianę zdań zakończoną postanowieniem, że staruszek będzie spał w swoim łóżku, Emilia w salonie, na dwóch zsuniętych fotelach, a ja, dla odmiany, na gołej ziemi. Odwiedziliśmy po kolei łazienkę, po czym zajęliśmy wyznaczone miejsca. Złożyłem głowę na opalonym tomie historii średniowiecznej i już miałem zapadnąć w głęboki sen, gdy usłyszałem głos Emilii, która najwyraźniej miała ochotę na pogawędkę.

– Spisz?

– Próbuję. O co chodzi? – mruknąłem szorstko.

– Myślałam właśnie, że nie rozumiem mężczyzn – powiedziała.

– Jeśli to cię pocieszy, ja też nie.

– Nie o to mi chodzi – odparła. – Nie udawaj głupiego, dobrze wiesz, co mam na myśli.

Nie wiedziałem, ale powstrzymałem się od wyjawienia mej niewiedzy i spróbowałem na własną rękę rozszyfrować tajemnicze zdanie. Zanim jednak doszedłem do jakiegokolwiek wniosku, zasnąłem jak kamień. Miałem sen, w którym przechadzałem się po ogrodzie domu wariatów pewnego pogodnego zimo-

wego poranka. Dochodząc do załomu ścieżki, która tak naprawdę nie prowadzi donikąd, tylko biegnie wzdłuż muru i kończy się pod tylną furtką służącą do wyładunku towarów i dyskretnej ewakuacji katatoników, zauważyłem nie bez zdumienia, że ścieżka rozwidla się, a jej prawa odnoga wiedzie do zakątka oddzielonego od reszty ogrodu szpalerem przyciętych cyprysów. Pośrodku skweru znajdował się staw o wodach ciemnych i przejrzystych, na którego dnie mogłem dostrzec zdeformowany kształt przypominający walizkę. Gdy podwijałem rękawy, by spróbować wydobyć to coś z wody, don Plutarquete, który zmaterializował się w pobliżu w niewytłumaczony sposób, powiedział mi: „Nigdy nie uda ci się wydobyć walizki, jeśli przedtem nie rozwiążesz tajemnicy dziewczynki, która utopiła się w tym stawie dwa lata temu”. Tyle pamiętam z owego snu i to jeszcze, że po przebudzeniu ogarnął mnie dziwny niepokój.

Mimo problemów wspólnych wszystkim i tych dręczących każdego z osobna, z racji płci, wieku lub innych okoliczności, noc przyniosła nam kojący sen i brzask dnia zastał nas wypoczętych, pełnych odwagi i w niezłych nastrojach. Z czarnych grudek zeskrobanych z dna słoja i gorącej wody zaparzyliśmy kawę, a don Plutarquete wygrzebał z szafy pełnej książek kawalek placka, który po namoczeniu okazał się jadalny, choć mało apetyczny. Po spożyciu śniadania uczony osiemdziesięcioletek, który nagle powrócił do wieku szczenięcego, począł opowiadać nam niespójną historię, która – sądząc po śmiechu, spojrzeniach i żarcikach, jakimi ją okraszał – musiała być nieco swawolna i, jeśli dobrze zrozumiałem, toczyła się w pewnym burdelu w Vic u zarania wieku. Musiałem mu jednak

przerwać, przypominając Emilii, że wzywają nas pilne sprawy, za co zostałem obrzucony urażonymi spojrzeniami. Ustaliliśmy, nie bez ulgi, że samochód zniknęła, lecz nie uznaliśmy za stosowne, by Emilia, mimo jej nalegań, wróciła do siebie po czystą odzież. Po krótkiej dyskusji na ten temat wyłuszczyłem im, lakonicznym wojskowym stylem, plan, który opracowałem na ten dzień, i choć nie wzbudził on w słuchaczach podziwu, na jaki moim zdaniem zasługiwał, został przyjęty jednogłośnie i bez poprawek.

Kończyły nam się pieniądze, a samochodowi Emilii paliwo. Wielkoduszny staruszek pożyczył nam wszystko, co miał w mieszkaniu. Założyłem warkoczyk, który zostawiłem na noc na wieszaku, i wyszliśmy na ulicę. Poinstruowałem Emilię, jak dojechać na lotnisko. Do tarłszy na dworzec lotniczy, poddałem lustracji kłębiący się tłum i wkrótce wyłuskałem dwóch osobników ze znaczkiem Realu w klapie, udających, że czytają gazety w języku niemieckim, i niespuszczających wzroku z przechowalni bagażu. Zapytałem Emilii, czy widziała ich kiedyś w agencji teatralnej, a gdy zaprzeczyła, uznałem, że są to policjanci, których komisarz Flores wysłał tu poprzedniej nocy, ewentualnie ich zmiennicy. Przekonany, że w pobliżu czają się tylko siły porządkowe, a nie nieczyste, udałem się do męskiej toalety i, ku sporemu zakłopotaniu osób, które pozbywały się w tym przybytku produktów metabolizmu, wyjąłem z rękawa kimona trzy jajka nabyte po drodze i rozbiłem je sobie na twarz z zamiarem nadania mej cerze odcienia bardziej licującego z moim strojem. Po zakończeniu operacji ruszyłem zdecydowanym krokiem w stronę przechowalni bagażu, okazałem kwit i poczekałem, aż wydadzą mi walizkę. Nie uszedł mej

uwagi znak, który pracownik przechowalni dał policjantom, ani to, że zamienili oni swe gazety na pistolety. Pracownik przechowalni położył walizkę na ladzie i poszedł schować się między bagażami na wypadek, gdyby doszło do strzelaniny. Kątem oka dostrzegłem, że policjanci podchodzą do mnie i poczułem na żebrach twardy dotyk przedmiotów, które uznałem za broń. Udałem gniew i dezorientację, po czym wydałem z siebie serię gardłowych dźwięków mogących przypominać język chiński.

– Jest pan zatrzymany, a pańska walizka skonfiskowana – powiedział jeden z policjantów. – Ma pan prawo zadzwonić do swojego adwokata, a jeśli sobie życzy, także do tłumacza, wiedząc wszelako, że państwo hiszpańskie nie pokrywa żadnych kosztów związanych z powyższym. Ruszaj tyłek, zółty, idziemy.

Zaprowadzili mnie do małego pokoiku, posadzili na taborecie i skierowali na me nieprzeniknione oblicze silny reflektor, który już po trzech sekundach wysadził korki na całym lotnisku.

– Imię, nazwiska, adres i zawód – rzucił jeden z policjantów.

– Pío Clip, ulica Matki Boskiej Miłosiernej, Chiny, import-eksport – wyrecytowałem bez wahania.

– Cel podróży?

– Interesy.

– Ta walizka należy do pana?

– Tak.

– Co zawiera?

– Próbki towarów.

– Proszę ją otworzyć.

– Zostawiłem klucz w Chinach. Mogą panowie wyłamać zamek.

Nie kazali sobie powtarzać zachęty. Podnieśli pokrywę i popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Było oczywiste, że spodziewali się znaleźć co innego.

– Co to?

– Papier ryżowy – powiedziałem.

– Wygląda jak toaletowy.

– Proszę go dotknąć, a zauważą panowie delikatną fakturę. Niezwykle ceniony przez artystów z całego świata.

– A to przypadkiem nie papier na skręty?

– Niech mnie Pan Bóg broni.

Policjanci odeszli w kąt i zaczęli dyskutować przyciszonymi głosami. Po krótkiej chwili wrócili i powiedzieli mi, żebym spadał i nie zakłócał więcej porządku publicznego, jeśli nie chcę dostać za swoje.

– Mogę zabrać towar? – zapytałem.

Pozwolili i wyszedłem z walizką, niezmiernie zadowolony. Na ulicy w samochodzie z włączonym silnikiem czekała Emilia.

– Wszystko poszło jak po maśle – oświadczyłem. – Spływamy.

Sprytny profesor, skrutujący horyzont z wysokości tarasu, wykonał umówiony gest, oznaczający: „przed domem czysto” i/lub „naprzód”. W mieszkaniu, podczas gdy ja namydlałem sobie twarz, usiłując uwolnić się od jajka, które zestaliło się w skorupę i przywarło lojalnie do mej skóry, Emilia streściła epizod lotniskowy naszemu amfitrionowi, który za całą odpowiedź wzruszył ramionami, zacisnął usta i prychnął, jakby nie znajdował w moim wyczynie żadnej zasługi. Gdy wychodząc z łazienki ze zdartą skórą, zobaczyłem jego reakcję, odczułem pokusę przyłożenia mu w okulary, lecz powstrzymałem się, gdyż pomijając wyraźną awer-

sję, jaką do mnie odczuwał, biedny starowinka trakto-
wał nas w sposób godny najwyższej pochwały, a po-
nadto nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by drobne
waśnie, jakie pociąga za sobą kohabitacja, zepchnęły
nas z raz obranej drogi. Udałem zatem, że niczego nie
zauważyłem, i poleciłem Emilii, by zadzwoniła do
przyjaciela z wydziału komunikacji i spróbowała usta-
lić coś na temat czarnego samochodu, którym umknęła
nam samozwańcza pomywaczka. Rieczony funkcyjna-
riusz początkowo okazał się oporny, już to z powodu
wyrzutów sumienia, już to z obawy przed czujnym
okiem nowych władz miejskich, już to z innych przy-
czyn równej wagi, lecz gdy Emilia przypomniła mu
pewien weekend w Baqueiera-Beret, gryzpiórek po-
rzucił swój płaszczyk niepokalanej uczciwości i obiecał
zadzwoić zaraz po zavrzeniu do stosownych archi-
wów.

Zrobił to prawie natychmiast i poinformował nas,
że czarny samochód jest zarejestrowany na firmę Na-
dziewane Oliwki El Fandanguillo, o której nie potrafił
nam nic powiedzieć, gdyż ów podmiot gospodarczy nie
podlegał jego jurysdykcji. Emilia podziękowała mu
wylewnie za uprzejmość, z największym trudem odpa-
rowała propozycje, które napłynęły do niej z drugiego
końca kabla, odłożyła słuchawkę i przekazała nam to
wszystko, co właśnie opisałem. Rzecz jasna, szczegóły
ten nie wnosił wiele, by nie rzec wprost, że nic, do
naszej sprawy.

– Chociaż warto by było – stwierdziłem – powęszyc
trochę w tej firmie, kiedy zakończymy to, co zamie-
rzam niebawem uczynić.

Zapytali mnie, co mam na myśli, na co odrzekłem:

– Po pierwsze, pozyskać strój mniej przykuwający

uwagę. Po drugie, odwiedzić po raz trzeci, mam nadzieję że ostatni, agencję teatralną. Z walizką.

– Czy to nie będzie niebezpieczne? – zapytała z troską w głosie Emilia.

– Oczywiście, że tak – odrzekłem – ale trzeba to zrobić. Zamierzam zresztą podjąć wszelkie niezbędne środki ostrożności. Na razie zajmijmy się szukaniem stroju.

– Dziś rano – wtrącił się don Plutarquete – odebrałem z pralni mój garnitur. Nie wiem, czy będzie na pana pasował, ale jeśli tak, pożyczę go panu z największą przyjemnością.

– Ależ to nie wchodzi w grę, panie profesorze – powiedziałem wzruszony. – Nie mogę się zgodzić na podobne poświęcenie...

– Niech pan przestanie się krygować, człowiecze. Mnie ten garnitur na nic się nie przyda, tym bardziej że niebawem nadejdzie lato, a jestem pewien, że będzie pan dbał o niego, jakby należał do pana. Zaraz, zaraz, gdzie ja go położyłem...

Garnitur odnalazł się w szafie pełnej książek i profesor wręczył mi go z dumą. Był wełniany, koloru perłowego, wytarty na łokciach i tyłku, miał wystrzępione rękawy i nogawki, lecz i tak uznałem go za najlepszy, i to zdecydowanie, jaki kiedykolwiek posiadałem w całym moim życiu i jakiego prawdopodobnie, biorąc pod uwagę, jak miewają się sprawy, nigdy nie posiadę na własność. Włożyłem go z najwyższą troskliwością, żeby go nie pomiąć, i pobiegłem do łazienki, przejrzeć się w lustrze. Don Plutarquete nie dorównywał mi wzrostem, a znacznie przewyższał średnicą, lecz w ogólnym zarysie – i jako że, bez fałszywej skromności, nie mogę narzekać na figurę – leżał na mnie zupełnie

dobrze, chociaż nie posiadałem koszuli, krawata i innych dodatków, które – choć nie nieodzowne – dodałyby mi nieco splendoru. Wróciłem do salonu, czując się innym człowiekiem.

– I jak? – zapytałem, rumieniąc się.

– Pierwsza klasa – pochwalił mnie szczodry erudyta. – Ale niech pan podciągnie sobie spodnie, bo już opadły panu do kolan.

Emilia, wykazując zmysł praktyczny, który tak zdołała kobiety, poszukała sznurka i sporządziła zeń prowizoryczny pasek. Don Plutarquete zaoferował mi swoje buty, lecz nie zmieściłem się w nie. Jako że skarpetki miałem czarne, uznałem, że nikt nie zauważy braku obuwia. Chwyciłem teczkę i przez kilka sekund wyobrażałem sobie, że jestem menedżerem, który opuszcza swe ognisko domowe i rusza w stronę banku, by pracować nad wzrostem dobrobytu narodu. Jaka szkoda, powiedziałem sobie, że okoliczności zawsze były przeciwne, bo trzeba przyznać, że talentu mi nie brak!

Rozdział jedenasty

Sen i rozum

U zbiegu ulic Balmes i Pelayo udzieliłem Emilii ostatnich instrukcji:

– Pamiętaj, co powiedziałem: kiedy zobaczysz, że wychodzę, idź za mną tak, by nikt cię nie widział. Gdy upuszczę na ziemię tę oto białą chusteczkę do nosa, którą znalazłem w kieszeni spodni, a której, nawiasem mówiąc, nie znaleźli ci z pralni, bo jest cała obślizgła, podejdź do pierwszego telefonu, jaki znajdziesz, i zadzwoń do komisarza Floresa. Ale dopiero, gdy upuszczę chusteczkę. Nie wcześniej. Rozumiesz?

– Ależ tak, człowieku, ależ tak.

Zostawiłem ją w samochodzie, znoszącą dzielnie stek wyzwisk, którymi obrzucali ją pozostali kierowcy za zajęcie połowy jezdni, i nie bez pewnego pietra wszedłem do budynku, pozdrowiłem portiera, który mnie nie rozpoznał, i wjechałem windą do agencji. Drzwi były zamknięte, lecz przez wypucowaną szybę dostrzegłem ruszających się ludzi. Otworzyłem drzwi i wśliznąłem się do lokalu. Przy biurku w głębi sali siedział osobnik o suchej twarzy i kręconych włosach, ubrany w marynarkę w czarno-białą kratę, a przed nim niemalże leżał młody chłopiec i coś wyjaśniał. Czło-

wiek zza biurka otwierał usta do odpowiedzi, gdy jego wzrok padł na moją szacowną sylwetkę.

– Spokój! – krzyknął.

Udałem, że nie dosłyszałem, obróciłem się we wszystkie strony, wymachując walizką, by każdy zainteresowany mógł ją wyraźnie zobaczyć. Młodziutka sekretarka o przetłuszczonych włosach i mało przyjemnych rysach zapytała, czego sobie życzę. Przybrałem bystry wyraz twarzy i oznajmiłem, że chcę zostać gwiazdą siódmej muzy, że polecono mi tę agencję i niech zaprowadzi mnie przed oblicze dyrektora. Sekretarka poprosiła, bym zechciał poczekać, i wskazała mi stojącą pod ścianą ławeczkę, na której oczekiwali już: dama w średnim wieku i szczodrym makijażu oraz karzeł. Karzeł zabawiał się, kręcąc laseczką, a dama, robiąc smutne miny. Aby nawiązać rozmowę, zapytałem, kto jest ostatni. Dama wskazała na siebie, a następnie na karła.

– Jesteśmy razem – powiedziała i zaczęła szlochać. Karzeł zadał jej laseczką cios oburącz. Nadeszła sekretarka, oświadczając, że pan dyrektor jest gotów mnie przyjąć. Skłoniłem się oczekującej parze i ruszyłem w stronę biurka kraciastej marynarki. Młodziak przeszedł przez salę i stanął przy drzwiach. Wspiąłem się na palce, by zobaczyć przez balkon, czy samochód Emilii stoi jeszcze przed gmachem, lecz nie udało mi się go wyłowić z magmy pojazdów sunących aleją w rytmie konduktu żałobnego. Pan dyrektor podał mi rękę galaretowatą i zimną, którą uścisnąłem jowialnie.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

Przywołałem na twarz mój najpiękniejszy uśmiech i rzuciłem walizkę, z głupia frant, na biurko.

– Chcę święcić triumfy na scenie – oznajmiłem.

– Ma pan doświadczenie?

– Nie, mój panie, lecz jestem pełen dobrej woli.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Nie wyglądało na to, by zwrócił uwagę na walizkę, ale jeśli tak, świetnie to ukrywał.

– Co pan potrafi robić?

– Śpiewać i reklamować.

– Solfeż?

– Nie.

– Posłuchaj, chłopcze... Pozwolisz, że będę mówił do ciebie ty? – Powiedziałem mu, że będzie to dla mnie zaszczyt, więc ciągnął: – Posłuchaj, chłopcze, będę rozmawiał z tobą absolutnie szczerze, tak, jak bym rozmawiał z moim synem, gdybym go miał i gdyby powiedział mi to, co mi właśnie powiedziałaś: ten zawód to ciężki kawałek chleba. Garstce udaje się odnieść sukces, lecz większość utyka w połowie drogi. Mógłbym opowiedzieć ci wstrząsające historie. Nie zrobię tego, gdyż wiem, że to próżny trud. Gdy w wasze żyły wsączy się jad świata sceny, nic nie przemówi wam do rozumu, nic was nie powstrzyma. Wiem o tym z doświadczenia: byłem żonaty z kuplecistką. Małżeństwo nasze było piekłem. Na szczęście nie mieliśmy dzieci. Teraz mówią mi, że żyje z jakimś ebenistą z ulicy Pino. Nie żywię do niej urazy, ale leczyłem się przez osiem lat. Kosztowało mnie to fortunę i nic: rany duszy nie zablizniają się nigdy. Byłbyś skłonny grać na prowincji?

Powiedziałem, że jestem skłonny zrobić wszystko. Wykonał gest wyrażający bezradność i wstał. Zobaczyłem, że ma jedną nogę krótszą niż drugą i że chodzi w bucie ortopedycznym.

– Chodź ze mną – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Przeprowadzimy próbę. Nie denerwuj się. W tym zawodzie nie mamy prawa się denerwować. Jak mawiają Amerykanie: *szal must go on*.

Przeszliśmy przez salę, dyrektor utykając i ja też, ponieważ nie mogę opanować pokusy mimetyzmu, gdy idę w towarzystwie chromego. Młodziak pilnujący drzwi otworzył je przed nami. Do tego momentu nie miałem okazji spojrzeć mu z bliska w twarz, lecz gdy się nadarzyła, zorientowałem się, że to nie kto inny, jak Hans Fórceps, którego don Plutarquete zidentyfikował jako jednego z włamywaczy. Przed wyjściem pan dyrektor zwrócił się do tłustowłosej sekretarki:

– Malutka, wychodzę na momencik. Jeśli ktoś zadzwoni, powiedz, że zaraz wracam. – Następnie przemówił do młodzika: – Hans, chodź ze mną, pomożesz mi ze światłami. – I do mnie: – Mamy tu niedaleko teatrzyk, który służy nam za miejsce prób i kursów wieczorowych. Zawsze wolę robić próby w teatrze, a nie tutaj, przed wszystkimi. Lubię pracować na poważnie. Na pewno słyszałeś mnóstwo opowieści o ludziach ze świata teatru, zwłaszcza łózkowych, no wiesz, co mam na myśli. Ja nie jestem z takich. Ja, od czasu, gdy otworzyłem ten interes, piętnaście lat temu, nie miałem ani jednej dupy. Żebyś wiedział, że jestem poważny. Hans, kurna, zawołaj windę!

Winda przyjechała i wsiedliśmy we trzech do tego, co zgodnie z napisem nazywa się „kabiną”, chociaż ja powiedziałbym po prostu „winda”. Na parterze o mało nie przewróciłem się z radości, gdyż dostrzegłem przed budynkiem samochód Emilii, która najwyraźniej zawróciła i zaparkowała jeszcze raz w drugim rzędzie samochodów, co natychmiast spowodowało wielki korek. Jednakże euforia ma nie trwać zbyt długo, gdyż

ledwie uczyniłem pierwszy krok w stronę ulicy, poczułem na ramieniu łapę Hansa i usłyszałem głos kulawego:

– Tędy nie, szanowny panie. Pójdziemy na skróty: będzie szybciej i dyskretniej.

Zagłębiliśmy się w mroczną czeluść bramy i przez otwór, przez który trzeba było przejść niemal na czworakach, dotarliśmy do czegoś w rodzaju komory. Strop pomieszczenia przecinały popękane rury, a ściany pokrywały szeregi liczników wody, gazu i prądu; znajdowały się tu także silniki, które uznałem za silniki windy, oraz mnóstwo rupieci i czarnych worków ze śmieciami. Następnie wspięliśmy się po schodach śliskich i wąskich, po czym wyszliśmy przez małe drzwiczki na podwórze zamieszkane przez legion kotów, które umknęły przed nami, miauczając przeraźliwie. Wychodziły tu z pewnością odpływy wszystkich pralek z sąsiedztwa, gdyż musieliśmy przebyć kałuże pokryte pianą w kolorze ochry, wydzielające silny zapach rozkładających się detergentów. Chromy otworzył teraz zardzewiałą żelazną bramę i weszliśmy do garażu, gdzie stała ciężarówka bez kół i szereg motocykli w różnych stadiach okaleczenia. Po drugiej stronie owego emporium techniki znajdowały się kolejne drzwiczki, którymi wyszliśmy na ulicę Tallers, a tym samym na światło dzienne.

Gdy byliśmy już na ulicy, Hans ścisnął mocniej moje ramię, a chromy chwycił mnie za drugie, wobec czego musiałem porzucić wszelki projekt ucieczki, jaki tylko zrodziłby się w mojej głowie. W tej konfiguracji dotarliśmy do ulicy Ramalleras i przystanęliśmy przed czymś, co wyglądało na bramę magazynu, a w co zapukał chromy czubkiem buta. W bramie otworzyło się

okienko, przez które wyjrzała ludzka twarz. Spróbowałem uwolnić się z uścisku dwóch par rąk, oświadczając:

– Ależ proszę nie tracić na mnie czasu. Zrozumiałem właśnie, że nie mam ani powołania, ani talentu.

Rzecz jasna, nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Człowiek, który dokonał oględzin przez okienko, wpuścił nas i zamknął za nami bramę. Nie było już żadnego powodu, by przeciągać komedię, i trzech łotrów wybuchło szaleńczym śmiechem. Spróbowałem kopnąć chromego w zdrową nogę, żeby zobaczyć, czy się przewróci, ale trzymali mnie w taki sposób, że nie mogłem uczynić większej szkody na ich ciałach niż złorzeczenia me na ich umysłach, to jest niewiele, sądząc po radości, z jaką je przyjmowali. W pewnym momencie władczy głos dyrektora agencji przebił się przez ogólną wrzawę.

– Enrique – nakazał bez dodatkowych wyjaśnień. – Dźgnij go.

Pomyślałem o zimnym żelazie, które za chwilę przebije me wnętrzności, i wrzasnąłem na całe gardło. Chromy skwitował to lekceważąco:

– Krzycz sobie, krzycz, nikt się tym nie przejmie. Żebyś wiedział, jakie sztuki tu wystawiamy: sam ryk i beczenie. Mnie osobiście cała ta gadka o nowoczesnym teatrze wydaje się oszustwem. Ale co mamy zrobić? Tego chce od nas młoda publiczność. Moim zdaniem, przy tym, co pisał Benavente, niech schowają się wszyscy inni. Tam dopiero były sceny! Enrique, kurna, dźgniesz go wreszcie czy nie?!

Enrique wydobył zza pazuchy nóż o ostrzu na półtora dłoni i podszedł do mnie od tyłu. Zamknąłem oczy, a w pamięci stanęły mi, jak to zwykle bywa w takich razach, oderwane wspomnienia z dzieciństwa.

Nawet to jednak nie wzbudziło we mnie ochoty na przejście do innej dzielnicy. Krzyknąłem jeszcze raz. Enrique przeciął sznurek podtrzymujący spodnie od garnituru pożyczone przez don Plutarquete'a, a te opadły bez życia do mych stóp. Czyż było zapisane w niebie, że przed śmiercią miałem ścierpieć jeszcze takie kpiny? Poczułem ukłucie w lewy pośladek. Nie ukłucie noża, lecz igły. Ogarnęło mnie nieodparte uczucie błogości i senności. Usłyszałem w głębi czaszki szum fal i straciłem przytomność.

Uznałem, że jestem martwy, a mój szkielet, osłonięty jeszcze materią organiczną, trafił na łąkę pełną polnych kwiatów, wśród których szemrały strumyki o krętym biegu i kryształowej wodzie. Jak przez mgłę przypominam sobie, że zastanawiałem się, czy ów rajski zakątek nie skrywa przyjemności innego rodzaju oprócz wizualnych, gdy zobaczyłem, za całą odpowiedź, białego osiołka, który szedł w moją stronę, brykając, a na jego grzbiecie trzy dziewczynki niemające razem więcej niż trzydzieści lat. Szczegół ów wzbudził we mnie podejrzenie, że nie przekroczyłem jeszcze progów tamtego świata, gdyż nie wątpię, że ten, kto tam na mnie czeka, zna me najskrytsze pragnienia, lecz niezmiernie by mnie zdziwiło, gdyby pałał chęcią ich zaspokojenia. Zebrałem zatem wszystkie siły w śmiałej próbie odrzucenia tego, co najwyraźniej było halucynacją, i powrotu, nie bez niejakiego wstrętu, do świata doczesnego, do którego, wbrew wszystkiemu i choć zawsze okazywał mi niewdzięczność, czuję przywiązanie graniczące z obsesją. Jakież było moje rozczarowanie, gdy uchylając powieki, zobaczyłem tuż przed moim nosem twarz kobiety, która zdała mi się niezwykle

piękna i która obserwowała mnie z wyrazem troski.

– Tym razem – wyszeptałem – jestem martwy jak nic.

Jednakże zaledwie uczyniłem ową gorzką uwagę, właścicielka wdzięcznego oblicza wymierzyła mi siarczysty policzek, który obudził we mnie nadzieję, że jednak żyję. Dwie wielkie łzy szczęścia spłynęły po moich policzkach i wsiąkły w igliwie brody, podczas gdy znany mi głos prosił:

– Tylko nie zaśnij znowu, do jasnej.

Stopniowo rysy Emilii nabrały ostrości, górna część jej ciała i delikatna rączka, podniesiona do kolejnego ciosu.

– Nie bij mnie więcej – wydusiłem. – Już jestem z powrotem.

– Aleś mnie przestraszył – powiedziała. – Cucę cię od godziny.

– Miałem bardzo dziwny sen.

– Nie musisz mi go opowiadać, dość wstydu najałdłem się, słuchając tego, co bredziłeś. Naprawdę jesteś taki zdegenerowany?

– Nie, kobieto – odrzekłem, by sprawdzić, czy da się nabrać. – Podali mi narkotyk. Gdzie jestem?

– W teatrze przy ulicy Ramalleras. Czekałam na ciebie przed agencją, jak mi kazałeś, ale kiedy zobaczyłam, że czas mija, a ty nie wychodzisz, postanowiłam zajrzeć tutaj. Brama była zamknięta i musiałam wezwać ślusarza i naopowiadać mu bredni, żeby mi otworzył. Myślałam, że nie uwierzył w ani jedno moje słowo, bo zażądał bajońskiej kwoty za pięć minut pracy. Co ci się stało?

Opowiedziałem jej i zobaczyłem na jej twarzy zakłopotanie.

– Nie rozumiem – oznajmiła.

– Czego nie rozumiesz?

– Że uciekli się do przemocy, ale nie ukradli ci walizki. – Mówiąc te słowa, pokazała fotel stojący obok tego, który zajmowałem ja. W rzeczy samej leżał na nim rzeczony przedmiot.

– To cię nie powinno dziwić – powiedziałem, sięgając po walizkę i kładąc ją sobie na kolanach. – Ludzie z agencji nigdy nie chcieli jej ukraść. Rozumowanie moje było, jak zwykle słuszne, i jeśli wykażesz szczyptę cierpliwości, wszystko ci wyjaśnię. Na razie pozwól, że coś sprawdzę.

Otworzyłem walizkę. Zgodnie z moimi przewidywaniami, wypełniały ją szczelnie banknoty pozostające w obiegu, tak jak w dniu, w którym wręczył mi ją niegdyś tryskający zdrowiem pan minister, obecnie siny trup. Na plikach banknotów leżała koperta bez adresu ani znaczka, z nagłówkiem agencji teatralnej w lewym górnym rogu. Otworzyłem ją i wyjąłem list, który zawierał następującą treść:

Szanowny przyjacielu,

mam nadzieję, iż otwierając ten list znajduje się pan w dobrym zdrowiu. Ja także. Do widzenia. Dziękuję. Do listu załączamy pieniądze. Niech pan je przeliczy a zobaczy pan, że nie brakuje ani centyma nigdy nie mieliśmy zamiaru zatrzymać ich sobie. Przechodzimy jednak – a któż nie? – dość ciężki okres i dlatego pozwoliliśmy sobie nadużyć pańskiego zaufania i zabrać rzeczoną sumę tytułem pożyczki żeby zapłacić ratę której termin spłaty właśnie upływał. Nasz wspólny przyjaciel Muscle Power którego miał pan przyjemność poznać i zabić powiedział nam że panu to nie przeszkodzi to była pomyłka a całą winę ponosi Muscle Power. Cieszy-

my się z tego co mu się przydarzyło postąpił pan bardzo słusznie nie igra się z cudzymi pieniędzmi. Mamy nadzieję że teraz kiedy wszystko się wyjaśniło nie będzie pan dłużej gniewał się na nas proszę pomyśleć że nie zrobiliśmy tego dla własnej korzyści lecz dla sztuki scenicznej zawsze tak po macoszemu traktowanej i wymagającej dotacji. No cóż musimy już iść przepraszamy za kłopot i proszę nie żywić urazy. Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła

Zarząd i personel
agencji teatralnej La Prótasis

Podałem list Emilii, a gdy go przeczytała, złożyłem go na pół i wsunąłem do koperty, a kopertę do kieszeni. Wyjąłem z walizki banknot tysiącpesetowy i również schowałem go do kieszeni. Następnie zamknąłem walizkę.

– Dalej nic nie rozumiem – powiedziała Emilia.

– Potem ci wszystko wyjaśnię. Pomóż mi wstać i wyjdźmy stąd jak najszybciej.

Palily się latarnie, a niebo było czarne, gdy wynurzyliśmy się z ponurego teatrzyku, gdzie między kulisami pozostały me najwstydlwsze marzenia. Powietrze stosunkowo czyste i odgłosy miasta przywróciły mi po części naruszony bilans energetyczny. Zmoczyłem sobie głowę przy fontannie i piłem, aż zaspokoilem pragnienie wzbudzone przez środek nasenny.

– Już czuję się dobrze – powiedziałem.

– Co ty tam wiesz – sprzeciwiła się Emilia. – Usiądź na brzegu i poczekaj, aż przyprowadzę samochód. Zawiozę cię do domu.

– Nie, nie. Czuję się dobrze i została nam jeszcze

jedna rzecz do zrobienia. Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Do agencji. Nie bój się, najgorsze mamy już za sobą.

Nie okazując radości, ale też nie kwestionując mego zaproszenia, Emilia ruszyła za mną. Wróciliśmy na ulicę Pelayo i podeszliśmy do gmachu agencji. Portier, który mimo mych stale ponawianych wizyt sprawiał wrażenie, że widzi mnie po raz pierwszy, zapytał, dokąd idziemy.

– Powiedziano nam, że jest lokal do wynajęcia w tej wspaniałej kamienicy – oświadczyłem, wkładając rękę do kieszeni, jakbym zamierzał wręczyć mu napiwek.

– Wieści roznoszą się w lot – skomentował portier, udobruchany. – Dopiero godzinę temu wyprowadzili się poprzedni lokatorzy. Chcą państwo rzucić okiem?

– Tak – powiedziałem – ale nie musi pan fatygować się z nami.

Wziąłem Emilię pod ramię i weszliśmy do windy.

– Mam nadzieję, że opowiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi – powiedziała, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu portiera.

– Cierpliwości – poprosiłem.

Drzwi agencji teatralnej były otwarte na oścież. Na nieskazitelnie czystej szybie, na której widniała jeszcze nazwa firmy, ktoś przykleił kartkę formatu A4 i napisał na niej mazakiem:

LOKAL DO WYNAJĘCIA.
INFORMACJA W PORTIERNI.

Weszliśmy do środka. Pomieszczenie było puste, a po segregatorach, w których tyle złudzeń artystycz-

nych znalazło wieczny odpoczynek, został jedynie jasny kontur na tapecie. Stoły, krzesła i ławeczka także znikły, pozostawiając po sobie tylko brud, zgromadzony pod ich osłoną przez całe lata rzadkiego i niestaranego sprzątania.

– Możemy już iść – powiedziałem Emilii. Przecho-
dząc ponownie obok portiera, wręczyłem mu banknot
tysiącpesetowy.

– Jeśli ktoś będzie pytał o lokal – poprosiłem – niech
pan nie mówi, że tu byliśmy.

Pokiwał dostojnie głową, chowając banknot do
skarpetki, a Emilia i ja opuściliśmy gmach połączeni
żywym pragnieniem oglądania go po raz ostatni. Gdy
wreszcie znaleźliśmy się w samochodzie i ruszyliśmy
ulicami miasta, uznałem, że nadszedł moment, by
udzielić Emilii wyjaśnień, których od kilku godzin się
domagała. Zrobiłem to następującymi słowami:

– Muszę przede wszystkim wyznać, że jak słusznie
się domyśliłaś, historia, którą ci opowiedziałem, gdy się
poznaliśmy, i którą powtarzałem aż do chwili obecnej,
choć nie zasługuje na miano fikcyjnej, była niepełna.
Tak naprawdę w Madrycie zostałem podstępnie obra-
bowany z pieniędzy. Niestety, dopiero niedawno zoba-
czyłem wyraźnie istotę całej sprawy, czyli to, że adre-
saci pieniędzy nie byli sprawcami rabunku, co zresztą
byłoby absurdalne, gdyż wiedzieli, że mam im dorę-
czyć całą kwotę następnego ranka. Kradzieży dokonali
ludzie z agencji. Muscle Power, niech spoczywa w
chwale, wiedząc, że transakcja taka się odbędzie i wta-
jemniczony w szczegóły, poinformował chromego, a
ten wysłał swoich zbirów do Madrytu. Oczywiście ani
Muscle Powerowi, ani jego kompanom, którzy są
drobnymi złodziejaskami, nie wpadło do głowy, by

mnie zamordować, chociaż i owszem, spostrzegli konieczność przeszkodzenia mi, bym po odkryciu rabunku udał się do kawiarni Roncesvalles i poinformował adresatów pieniędzy o ich zniknięciu. W tym celu opracowali plan polegający na...

– Na wysłaniu do kawiarni mnie – dokończyła Emilia, przystając na czerwonym świetle.

– Dokładnie. Ufali, jak tuszę, że po twojej interwencji wrócę do Barcelony w przekonaniu, że wypełniłem zadanie. Twoje milczenie zaś mieli zagwarantowane po części lojalnością, jaką zawsze okazywałaś Muscle Powerowi, którego niech Bóg przyjmie na swe łono, a po części świadomością, że nie jesteś taka głupia, żeby donosić na policję o przestępstwie, którego byłaś współsprawczynią.

– Czyli ten dureń Toribio cały czas robił mnie w konia, tak? – wycedziła Emilia, naciskając na gaz i na hamulec w tym samym momencie.

– Jak wynika z moich podejrzeń, tak było. Adresaci przesyłki, czy też, żeby dać im jakieś imię, Różowy Rycerz, gdyż nie ulega wątpliwości, że to o niego chodzi, przybyli do hotelu w Madrycie, już to nie ufając szczerości mych intencji, już to z innych, nieznanych mi powodów, znaleźli jednorękiego kelnera chrapiącego w najlepsze i odkryli, że walizeczka i pieniądze się ulotniły. Biorąc kelnera za mnie i przypisując mu przywłaszczenie sobie tego, co uważali za swoją własność, wzięli sprawiedliwość w swoje ręce i zamordowali biedaka. Następnie udali się do Barcelony i wyruszyli na poszukiwanie Muscle Powera, niech mu ziemia lekką będzie, którego prawdopodobnie poddali przesłuchaniu, po czym z całą pewnością zdradziecko zabili. Podejrzewam, że to wówczas chromy z agencji

zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z przeciwnikiem, którego brak skrupułów znacznie przekracza jego oczekiwania, i z pochwały godnym rozsądkiem postanowił oddać pieniądze i zniknąć z tej historii.

Zostawiliśmy w tyle ruchliwe ulice i wspinaliśmy się bezludnym zboczem prowadzącym do domu Emilii. Nie tu chciałem jechać, lecz nie miałem żadnego innego pomysłu, więc nie poprosiłem jej, by zmieniła kierunek. Mówiłem dalej:

– Dlatego właśnie zaczął cię śledzić, zauważył, że krążę wokół ciebie, i uznał mnie za agenta Różowego Rycerza. Wykorzystując naszą nieobecność, wysłał swych zbirów, Hansa i Enrique'a, do twojego mieszkania na poszukiwanie walizeczki, polecił im napaść na komisarza Floresa w chińskiej restauracji, a następnie oblegać twój dom. Wszystko to, jak już wiemy, na próżno. Aż wreszcie, kiedy już musieli być na skraju rozpacz, pojawiłem się w agencji z tyle razy wspomnianą walizeczką. Nie zwlekając długo, porwali mnie, podali mi środek nasenny, by zyskać na czasie, podłożyli pieniądze i porzucili raz na zawsze, mam nadzieję, agencję teatralną i szaleńcze marzenia o wzbogaceniu się małym nakładem pracy i ryzyka.

– Nie rozumiem jednak – zauważyła Emilia – dlaczego nie zwrócili samych pieniędzy, bez walizeczki. Czyżby myśleli, że Różowy Rycerz nie daruje im utraty podrabianego samsonite'a, który można kupić za parę peset w Corte Inglés?

– Myślę, że chcieli jasno dać do zrozumienia, że zwracają pieniądze zrabowane w Madrycie. Nie wiedzieli przecież, ani kim jest Różowy Rycerz, ani czy ja rzeczywiście jestem jego agentem. Jedynym sposobem, by zmanifestować swe zamiary i skruchę było podło-

zenie pieniędzy w miejsce, skąd pochodziły, to jest do walizeczki. Tak przynajmniej to sobie wyobrażam.

Wspięliśmy się na ulicę Dama de Elche i Emilia zaparkowała przed domem. Bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności omietliśmy wzrokiem horyzont w poszukiwaniu podejrzanego samochodu. Ciszę zakłócał jedynie chór telewizorów. Emilia zgasiła silnik, oparła dłonie na kierownicy i pobiegła wzrokiem od moich sennych oczu do walizeczki, którą trzymałem na kolanach.

– I co teraz? – zapytała.

– Teraz bierzesz walizeczkę, a jutro dzwonisz do komisarza Floresa, powtarzasz mu to, co ci opowiedziałem, i wręczasz mu walizeczkę i pieniądze. W ten sposób, jeśli się nie mylę, położysz kres owemu niefortunnemu incydentowi.

– A Różowy Rycerz?

– Różowy Rycerz nic o tobie nie wie, więc nie musisz się niczego obawiać z jego strony. A resztą jego interesują tylko pieniądze. Gdy oddasz je komisarzowi, cała sprawa przestanie cię dotyczyć,

– A ty, co zamierzasz zrobić? – zapytała.

Wybiła godzina pożegnania. Odchrząknąłem i powiedziałem:

– Na razie poszukać sobie miejsca, gdzie mógłbym się przespać, a jutro zobaczymy.

– Przypominam ci – powiedziała Emilia, patrząc w drugą stronę, jakby zwracała się do kogoś trzeciego – że w moim domu nadal stoi sofa.

– A ja bardzo ci dziękuję za gościnność, ale nie mogę jej przyjąć. Przez ten cały czas ukrywałem przed tobą nie tylko prawdę o pieniądzach, lecz także o mnie samym i specyficznej sytuacji, w jakiej się znajduję.

Moja zamierzchła przeszłość jest daleka od wzorowej, a niedawna upłynęła w murach domu wariatów. Nie bój się: nie jestem świrem, a nawet gdybym nim był, nie zrobiłbym ci nic złego. Od wielu lat usiłuję przekonać kompetentne władze, że jestem już zrehabilitowany, ale dotychczas nie miałem szczęścia, mimo wysiłku, jaki włożyłem w to przedsięwzięcie. To zresztą nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Liczy się głównie to, że w tym momencie komisarz Flores i spory odsetek sił porządkowych z pewnością mnie szukają, by odesłać do wariatkowa. Jest bardzo możliwe, że skoro ujrzeni mnie u twego boku w chińskiej restauracji, złożą ci wizytę jeszcze tej nocy. Wizyta taka, korzystna dla ciebie, gdyż mogłabyś wręczyć im walizeczkę, unikając tym samym konieczności przejazdu na komendę, dla mnie byłaby fatalna.

– Gdzie się ukryjesz?

– Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów, ale być może zaciągnę się na statek i popłynę do Ameryki. Będę tam mógł rozpocząć nowe życie, a nawet, jeśli los okaże się dla mnie łaskawy, zdobyć szacunek tamtejszych obywateli.

Chcę w tym miejscu wyjaśnić czytelnikowi, że czynione przeze mnie wynurzenia nie były bynajmniej owocem improwizacji, wręcz przeciwnie. Albo źle znałem komisarza Floresa, albo ów będzie próbował wyciągnąć od Emilii, środkami, których skuteczność została udowodniona na znacznie twardszych skórach, informacje na temat mych projektów powierzone jej w zaciszu prywatności, wobec czego pomyślałem, że lepiej, by biedaczka miała coś do wyznania. Wersja obmyślona przeze mnie gwarantowała mi stosunkowe bezpieczeństwo, gdyż nie sądziłem, by komisarz, któ-

remu wszakże niewiele już brakowało do emerytury, zechciał ścigać mnie po odległym i bezkresnym kontynencie.

Po udzieleniu owych wyjaśnień nie pozostało mi nic innego, jak życzyć Emilii dobrej nocy i ruszyć w drogę, w kierunku przeciwnym do obranego przez nią. Mimo że zawsze miałem sentymentalny charakter, z biegiem lat nauczyłem się go obłudnie ukrywać, postanowiłem więc pożegnać się po męsku, podniosłem dłoń, uśmiechnąłem się półgębkiem, otworzyłem drzwi, wysiadłem i ruszyłem w dół stromą ulicą, nie odwracając się. Usłyszałem za sobą trzask drzwiczek zamykanych z niepotrzebną gwałtownością i odgłos stanowczych kroków, oddalających się w górę ulicy.

Rozdział dwunasty

O kapryсах losu

Wędrowałem, wpatrując się w skupieniu pod nogi, po części, by oddalić od mego umysłu smutek wywołany rozstaniem, a po części, by nie potknąć się o kubły ze śmieciami, którymi najeżony był chodnik, gdy przypomniałem sobie, że mam na grzbiecie garnitur pożyczony przez don Plutarquete'a Pajarella. Zatrzymałem się gwałtownie i usiadłem na parapecie okna, tocząc wewnętrzną walkę. Z jednej strony, marzyłem o tym, by jak najprędzej znaleźć miejsce, gdzie mógłbym się zdrzemnąć, gdyż morzyło mnie zmęczenie, a zaaplikowany mi tego popołudnia narkotyk sprawiał, że ledwie mogłem utrzymać postawę pionową. Z drugiej strony jednak, nawet dusza kanalii, jaką obdarzył mnie los, nie mogła znieść świadomości, że oto pozbawiłem jedyne ubrania starca, który okazał mi tak bezinteresowną hojność. Ponieważ zaś gdy na jednej szali złożyłem zew obowiązku, a na drugiej własną wygodę, sumienie przechyliło języczek wagi na korzyść tego pierwszego, odetchnąłem głęboko, by napełnić płuca bogatą w tlen nocną bryzą, podniosłem się i wróciłem na szczyt wzgórza. Nie zamierzałem oczywiście, ze względu na późną porę, budzić starego erudyty ani

powtarzać wyjaśnień jeszcze bardziej zaczerniających i tak już ciemny obraz mojej osoby, w związku z czym otworzyłem drzwi wytrychem, wśliznąłem się do bramy, w słabym świetle wpadającym z ulicy zlokalizowałem skrzynkę na listy don Plutarquete'a, otworzyłem ją, rozebrałem się do slipów i nie bez wysiłku wepchnąłem elegancki strój w ograniczoną przestrzeń. Byłbym też chętnie dołączył liścik z podziękowaniami, lecz nie miałem przy sobie przyborów do pisania, a ponadto nie chciałem, by jakiś bezsenny sąsiad zastał mnie w samej bieliźnie, więc zamknąłem skrzynkę i opuściłem gmach, czując, jak me zmaltretowane ciało przenika nocny chłód. Na szczęście dzielnica nie wyglądała na ruchliwą i prawdopodobieństwo krępującego spotkania z przechodniami było niewielkie, a po dotarciu do centrum planowałem poszukać jakiegoś słabo zabezpieczonego sklepiku i zaopatrzyć się w coś z wystawy. Byłem więc gotów do ponownego wymarszu w dół, gdy zobaczyłem, że otwierają się drzwi domu Emilii, a ona sama wybiega zeń z oznakami największego przestachu na twarzy.

– Emilia! – krzyknąłem z drugiego chodnika. – Co ty tu robisz?

Zauważyła moją obecność, wydała okrzyk zaskoczenia, przebiegła przez ulicę i rzuciła mi się w ramiona. Mimo zakłopotania, w jakie wprawiła mnie ta wylewność, nie omieszkałem zauważyć, że drży od stóp do głów.

– Jeszcze tu jesteś – chlipnęła. – Bogu dzięki. Bogu dzięki.

– Wróciłem oddać garnitur – wyjaśniłem. – Dokąd biegłaś?

– Po pomoc. Stało się coś strasznego. Chodź ze mną.

Chwyciła mnie mocno za rękę i pociągnęła w stronę swego domu. Chciałem jej powiedzieć, że nie powinna mnie dłużej zatrzymywać, że prawdopodobnie zaraz pojawi się tu policja, że gra toczy się o moją wolność, którą stracę, jeśli bezzwłocznie nie wezmę nóg za pas, lecz rozpacz Emilii była tak wyraźna i tak głęboka, iż nie miałem serca odmówić. W takiej konfiguracji, ona we łzach, a ja w slipach, weszliśmy do bramy i wjechaliśmy windą na poddasze. Po drodze próbowałem dowiedzieć się, o co chodzi, i dodać jej otuchy, klepiąc czule po plecach, lecz za jedyną odpowiedź na me słowa i gesty otrzymałem przerywane jęki. Wystarczyło mi jednak przekroczyć próg mieszkania, by zrozumieć powód jej zatroskania. Na podłodze saloniku – nawiasem mówiąc, był przewrócony do góry nogami jak wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni – leżało nieruchome ciało, które natychmiast rozpoznałem jako własność Marii Pandory, niedomytej dziennikarki. Jej puste oczy, ledwie widoczne wśród kołtunu, patrzyły martwo w sufit, a z kącików ust ciekła na podłogę strużka spienionej śliny. Gorzki zapach migdałów unosił się w powietrzu, a jakby dla podkreślenia patosu całej sceny Emilia płakała z głową opartą o futrynę otwartych drzwi. Powiedziałem jej, by je zamknęła, żeby nie zwracać uwagi sąsiadów, a przy okazji zapytałem, czy były otwarte czy zamknięte, gdy weszła, na co odrzekła, że uchylone i co to ma za znaczenie.

– Powiem ci później – odparłem. – Na razie zajmijmy się stanem zdrowia tej nieboraczki.

Poszukałem w fałdach jej ubrania jakiejś powierzchni anatomicznej nadającej się do osłuchania i natrafiwszy na kawałek skóry nadzwyczaj zimnej i lepkiej, przyłożyłem doń ucho i wstrzymałem oddech

w nadziei usłyszenia choćby najbliższej oznaki życia. Gdy nadzieje me okazały się płonne, poleciłem Emilii, by przyniosła lusterko, a gdy znalazło się ono w mych rękach, przyłożyłem je do otworów nosowych niešťczęsnej dziewczyny. Po upływie kilku sekund odniosłem wrażenie, że widzę na jego powierzchni półksiężyc pary. Wytarłem lusterko spódnicą dziennikarki i powtórzyłem operację z identycznym wynikiem.

– Nie chciałbym wydawać zbyt pochopnych sądów – powiedziałem – ale nie jest wykluczone, że jeszcze nie umarła na dobre. Umiesz stosować oddychanie usta-usta?

– Nauczyła mnie na obronie cywilnej pewna dziewczyna z Salamanki, która nawiasem mówiąc...

– Szczegóły, które jak przeczuwam, będą pikantne, opowiesz mi przy innej okazji – przerwałem jej. – Teraz bierz się do dzieła, a ja zadzwonię po pogotowie.

Zostawiłem Emilię pochyloną nad przyjaciółką, odszukałem w książce telefonicznej numer pogotowia i podniosłem słuchawkę. Nie było sygnału. Pociągnąłem za sznur i stwierdziłem, że został czysto i równo przecięty. Wróciłem do Emilii, która podniosła głowę, gdy me prozaiczne łydki znalazły się w jej polu widzenia.

– Przyjadą? – zapytała z nadzieją.

– Nie. Powiedzieli mi, że strajkują – zełgałem, by nie powiększać jej obaw. – Nie przerywaj.

Podszedłem do okna, by sprawdzić, czy policja lub jakieś inne wyspecjalizowane służby nie objeżdżają właśnie dzielnicy, lecz na zewnątrz panował absolutny spokój. Tego samego nie dało się powiedzieć o mieszkaniu, gdyż Emilia przywołała mnie frenetycznymi gestami.

– Już reaguje – powiedziała ciekim głósikiem. W

rzeczy samej, Maria Pandora przymknęła powieki, a z jej gardła dobył się cichutki kaszelek, ledwie zasługujący na miano gulgotu. Ośluchałem ją ponownie i spostrzegłem, że coś dziwnego płynie w miejscu, gdzie powinna znajdować się tchawica.

– Będzie żyła? – zapytała Emilia.

– Nie wiem – odrzekłem.

– Jak myślisz, co jej się stało?

– Myślę, że zażyła truciznę.

Pisk hamulców za oknem sprawił, że podskoczyłem.

– Wykonaj co do joty moje polecenia – powiedziałem pośpiesznie. – Przygotuj coś na wymioty i podaj jej. Kiedy zwymiotuje, podejdź do sąsiada i poproś, żeby ci pozwolił zadzwonić na policję. Chociaż to ostatnie, być może, okaże się niepotrzebne, bo policja, jeśli się nie mylę, zaraz tu przyjedzie, choć nikt jej nie wzywał. Po prostu zadzwoń, żeby formalnościom stało się zadość.

Wydając te instrukcje, szedłem już w stronę drzwi i zastanawiałem się, czy z dachu uda mi się przedostać na sąsiednie budynki i ujść pogoni. Emilia, widząc, dokąd zmierzam, zapytała:

– Jak to, idziesz sobie?

– Bez zwłoki. Jeszcze raz żegnaj i powodzenia.

– Poczekaj! – powiedziała Emilia błagalnym tonem.

– Nie możesz sobie teraz iść, błagam cię na wszystko, co najbardziej kochasz. Nie możesz porzucić mnie w takim momencie. Poza tym myślałam, że... A zresztą, idź do diabła i mam nadzieję, że cię złapią!

Jej złorzeczenia dotarły do mnie, gdy byłem już w korytarzu. Cicho zamknąłem drzwi za sobą. Schody z żelaza nabijanego ozdobnymi gwoździami doprowadziły mnie do następnych drewnianych drzwi, wypaczo-

nych i popękanych od wilgoci. Odsunąłem potężny rygiel i wyszedłem na dach. Program TVE dobiegł bez przeszkód końca i nad dzielnicą zapanowała cisza. Niebo było zachmurzone, lecz owa sinoczerwona i prawdopodobnie cuchnąca poświata, która zawsze unosi się nad naszym miastem, sprawiała, że widziałem otoczenie dość wyraźnie. Na szczęście prawie wszystkie budynki kwartału miały jednakową wysokość. Usiadłem okrakiem na murku i zbadałem teren wzrokiem i słuchem: nic nie zakłócało legendarnego spokoju dachów, nie licząc wiatereczki, który gwizdał między antenami, i szumu wody w zbiornikach spowodowanego ciągłym spuszczeniem wody, poprzedzającym zwykle udanie się rodzin na spoczynek. W dali mrugały uwodzicielsko pomarańczowe światła miasta, którego arteriami płynął, cichy i spokojny z tej odległości, nieprzerwany strumień pojazdów silnikowych. Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny głowę mi zaprzętnęła na kilka sekund myśl, że nadeszła chyba pora, bym spróbował zrobić prawo jazdy. Jestem teraz przekonany, że gdyby nie owo krótkie spięcie mentalne, kontynuowałbym bez wytchnienia mi ucieczkę, zwięńczyłbym ją być może powodzeniem, na które sobie po tych wszystkich perypetiach zasłużyłem, i z całą pewnością nie kreśliłbym dzisiaj, nadużywając pomocy słownika, niniejszych wersów. Jednakże życie pokazało mi, że w jakimś miejscu całkowicie niedostępnym doświadczeniu mam wbudowany mechanizm, który nie pozwala mi działać dla własnej korzyści i zmusza mnie do ulegania najbardziej nierozsądnym impulsom i najbardziej szkodliwym skłonnościom naturalnym... Przekląłem więc me szczęście epitetami, których nie będę tu zamieszczał, opuściłem me obserwatorium, wróciłem na korytarz i

by nie robić kłopotu, wszedłem do mieszkania, posługując się wytrychem. Maria Pandora leżała na sofie przykryta kołdrą puchową. Brzęk garnków oznajmił mi, że Emilia znajduje się w kuchni. Także i ona musiała mnie usłyszeć, ponieważ wysunęła głowę, zobaczyła, że to ja, i powiedziała:

– Popilnuj kawy.

Stanąłem przy czajniczku, a ona weszła do łazienki. Kiedy kawa zabulgotała, zgasilem gaz i poszukałem w żelaznych szafkach filiżanki, spodeczka i łyżeczki. Dodałem do kawy sporą dozę soli, pieprzu, musztardy i syropu wykrztuśnego, którego etykieta obiecywała natychmiastową ulgę w schorzeniach oskrzeli. Starannie zamieszałem zawartość filiżanki i dla większej pewności upiłem łyk, po którym o mało nie zemdląłem. Zadowolony z przepisu udałem się do wezgowia Marii Pandory. Emilia przyniosła ręczniki i butelkę wody kolońskiej. Powiedziałem jej, by posadziła dziennikarkę i poila ją łyżeczką, zatykając usta i nos, by zmusić ją do połknięcia zawartości jamy ustnej. Kiedy znudziła mnie owa powolna i najwyraźniej nieskuteczna operacja, ścisnąłem jej policzki i wlałem w dziób resztę wzbogaconej kawy. Następnie położyliśmy ją i zaczęliśmy obserwować, przygotowani na to, że antidotum już to wywrze pożądany skutek, już to wyśle ją na tamten świat miłosiernie i ekspresowo. Oczekiwanie nasze nie trwało długo, gdyż jak wiadomo, natura wyposaża ludzi we wrodzony dobry smak w kwestiach żywnościowych, choć nie zawsze w środki niezbędne, by go zaspokoić, i stało się tak, że żołądek dziennikarki zbuntował się i uwolnił ją, dość wulgarnym sposobem, od substancji chorobotwórczych, które w nim zalegały. Co zobaczywszy, rzekłem:

– Najgorsze przeszło. Teraz już naprawdę sobie idę.

Nie zwracając uwagi na moje słowa, Emilia wytarła pot perlący się na czole przyjaciółki i powiedziała:

– Ma mokre ubranie. Pomóż mi ją rozebrać.

I tak zrobiliśmy, odsłaniając ciało, do którego kontemplacji nie przygotowały mnie ani skrywające je szmaty, ani zachowanie jego właścicielki. Zauważając moją reakcję, Emilia zapytała, co mi jest, tonem, w którym pobrzmiwała raczej nagana niż ciekawość, na co odparłem, że nic, z pełną świadomością, że moje odzienie, czyli slipy, odbiera wiarygodność moim słowom. Na szczęście ten właśnie moment wybrała Maria Pandora, by wydać z siebie żaloszny jęk, i cała nasza uwaga skoncentrowała się na niej. Przykryliśmy ją kołdrą, żeby nie dostała kataru, i urządziliśmy kilkuminutowe konsylium. Ja byłem zwolennikiem oddania jej w ręce specjalisty, lecz Emilii pomysł ten nie podobał się ani trochę.

– Nie wiemy – powiedziała – co się kryje za tym wszystkim, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że Maria wpakowała się w jakieś straszne tarapaty. Poczekajmy, aż odzyska przytomność i udzieli nam wyjaśnień, i wtedy zdecydujemy.

Zbadałem puls chorej. Był regularny.

– Myślę, że największe niebezpieczeństwo zostało zażegnane – przyznałem – ale jej stan nadal jest ciężki. Ktoś musi ją zbadać. Przypominam ci również, że zaraz wkroczą tu policjanci i chociaż to mnie szukają, zapewne zdziwią się na widok umierającej w mieszkaniu tak mało reprezentacyjnym.

– To prawda – zgodziła się Emilia. – Nie widzę zatem innego wyjścia jak powrót do domu don Plutarquete'a.

– Na miłość boską, Emilia! – zaprotestowałem. – Nie możemy wiecznie mieszać tego biednego starca w nasze sprawy!

– Do licha, człowieku – odrzekła. – Przez całe życie pakujesz bliźnich w tarapaty, a teraz rusza cię sumienie? Zobacz, co zrobili z moim mieszkaniem i z Marią Pandorą, nie mówiąc już o jednorękim kelnerze z Madrytu, o biednym Toribiu i o tych wszystkich, których nie znam, a których z całą pewnością jest legion. Dobra, dobra, przestań udawać świętego i bierz Marię za rękę, a ja ją wezmę za nogi.

Nie kosztowałyby mnie wiele wysiłku wykazać jej nielogiczność tych argumentów, a co dopiero bezzasadność oskarżeń, lecz wolałem zostawić polemikę na lepszy moment i wypełnić jej rozkazy. Czyżbym, mruknąłem do siebie, tak bardzo się postarzał?

Rozdział trzynasty

Któż nie ukrywa przeszłości? Któż nie posiada sekretu?

Przestępczość, która od kilku lat włada naszymi miastami, siejąc niepokój i troskę, musiała wstrzymać owej konkretnej nocy naszych stróżów porządku, gdyż nie zostaliśmy zaskoczeni, czego się obawiałem, podstępnie zwożąc korpus windą, przebiegając z nim chyżo hol i wkradając się chyłkiem do bramy don Plutarquete'a, do którego drzwi zastukaliśmy dyskretnie i stanowczo.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziałem pośpiesznie, gdy erudyta wreszcie otworzył i ujrzałem osłupienie malujące się na jego szlachetnym obliczu. – Garnitur, który mi pan pożyczył, leży cały i nienaruszony w skrzynce na listy. Ponadto przynosimy panu na wpół martwą dziewczynę, ściga nas banda morderców, a policja depcze nam po piętach, ale pan nie ma powodów do obaw. Proszę nas wpuścić i zabarykadować drzwi i okna.

Otrząsnąwszy się z pierwszego, nie najlepszego może wrażenia, uspokojony mą pogodną perorą i niemalże zadowolony z ponownego znalezienia się w towarzy-

stwie Emilii, sędziwy historyk przepuścił nas, a gdy tylko weszliśmy, zasunął wysokiej klasy rygiel, przekształcając tym samym swoją siedzibę w arkę czy też skarbiec zamknięty na cztery spusty.

– Proszę za mną do sypialni – powiedział szeptem. – Poprawię pościel i ułożymy tego nieszczęśnika na łóżku.

– To dziewczyna, don Plutarquete – sprostowałem.

– Jakież to smutne dla kogoś, kto kocha kobiety jak ja! – wykrzyknął wzruszony. – Czyżby przyjaciółka panny Trash?

– Najlepsza przyjaciółka – chlipnęła wyżej wymieniona. – Nazywa się Maria Pandora i jest dziennikarką.

Złożyliśmy na łożu szacownego profesora Marię Pandorę opatuloną w kołdrę i odkryliśmy jej głowę, żeby lepiej jej się oddychało. Don Plutarquete rzucił okiem na sine oblicze dziennikarki, wykrzyknął coś niezrozumiałego i zemdłał.

– Tego nam tylko brakowało – powiedziałem.

– Co mu się mogło stać? – zachodziła w głowę Emilia.

– Nie mam najbledszego pojęcia – odrzekłem. – Opowie nam, kiedy wróci do siebie. Najważniejsze w tym momencie, to nie wypaść z raz obranego kursu. Jestem przekonany, że masz jakiegoś przyjaciela lekarza. Zadzwon do niego, powiedz, żeby przybył tu bez zwłoki, i zaleć mu najwyższą dyskrecję. Ja tymczasem spróbuję ocucić tego przewrażliwionego rupiecia.

Zostawiłem Emilię przeglądającą notes z adresami i zawlokłem don Plutarquete'a do kuchni. Skropiłem mu czaszkę wodą, aż przeszedł ze stanu snu do stanu czuwania, wstał, wytarł twarz ścierką poplamioną pomidorami i ruszył chwiejnie w stronę fotelika, na którym

poprzedniej nocy spała Emilia. Ta ostatnia dołączyła do nas, oznajmiając, że María Pandora spokojnie śpi i że jej przyjaciel lekarz obiecał pojawić się jak najrychlej, uzbrojony w niezbędne narzędzia i wiedzę.

– Znakomicie – stwierdził don Plutarquete. – Skoro wszystko jest w porządku i nie pozostaje nam nic prócz oczekiwania na ofiarnego doktora, państwo pozwolą, że złożę im najszczerze przeprosiny. Miał udzielenia pomocy, przysporzyłem wam tylko trosk moim zemdleniem. Zachowanie me da się jednak wyjaśnić i wyjaśnienia takiego z przyjemnością, nawet pod groźbą zanudzenia was, udzielę. Zechcą państwo usiąść.

Przysunęliśmy dwa krzesła do fotela, na którym rozsiadł się starzec, i przybraliśmy wyraz natężonej uwagi. Don Plutarquete zamknął oczy, splótł palce, odetchnął głęboko kilka razy, odrzucił głowę do tyłu i opowiedział nam, co następuje:

– Nieco ponad dwadzieścia lat temu uzyskałem w placówce szkolnictwa średniego w prowincjonalnym miasteczku, którego nazwę z litości zataję, tymczasową asystenturę w katedrze historii powszechnej. Nigdy wcześniej nie opuściłem Barcelony, będąc charakteru lęklivego i gnuśnego, a choć nie byłem już wówczas młodzikiem, owa spektakularna zmiana spowodowała, że popadłem w stan podniecenia graniczący z obłędem. Być może z tego powodu, a być może, bo tak było zapisane w księdze życia, poznałem kobietę znacznie młodszą od siebie i zakochałem się w niej tak, jak zakochują się jedynie dzieci, starcy i niektóre źle poinformowane nastolatki. Data mego wyjazdu zbliżała się wielkimi krokami i zrozumiałem, że jeśli nie chcę utracić na zawsze obiektu mego szału, nie pozostaje mi nic innego, jak zaproponować jej małżeństwo. Uczyniłem to,

bez ogródek, a ona, z powodów, których nigdy nie udało mi się pojąć, powiedziała „tak”.

Najwyraźniej nie jestem, jak mogłoby czasem sugerować moje zachowanie, niepoprawnym romantykiem, gdyż miłosne przygody sędziwego erudyty nie tylko nie wzbudziły mego zainteresowania, lecz wręcz przeciwnie, wywołały we mnie senność tak nieprzewycięzoną, że oparłem kark o krzesło i zasnąłem jak kamień. Gdy się obudziłem, podrygując gwałtownie, zrozumiałem, że straciłem najważniejszą część opowieści, gdyż nierozważny narrator miał oczy zalane łzami i przemawiał z uczuciem:

– Clotildita wędła na prowincji. Mam, w rzeczy samej, aż zanadto świadomość, że nie jestem człowiekiem interesującym w pożyciu, co nasz przyjaciel potwierdził właśnie swym chrapaniem. Ponadto miejsce, w którym osiedliśmy, nie oferowało kobiecie pełnej żaru i żadnej nowinek rozrywek innych niż doroczny targ nierogacizny i od czasu do czasu jakieś *Te Deum* odśpiewane z większym namaszczeniem niż doskonałością. Zbyteczne jest dodawać, iż me warunki fizyczne nie były takie, by biedaczka mogła umilać sobie dni wspomnieniem ognistych nocy. Na próżno usiłowałem zainteresować ją moimi badaniami, które wówczas dotyczyły fluktuacji cen jęczmienia w szesnastym wieku. Nie będę was zanudzał szczegółami; powiem tylko, że pierwszy rok naszego małżeństwa upłynął w rozpaczliwej monotonii. Ja jednak byłem szczęśliwy...

Choć nienawidzę grubiaństwa, musiałem opuścić towarzystwo, by iść się wysikać, co zresztą wykorzystałem, by chlusnąć sobie kilkakrotnie w twarz zimną wodą, co, jak sądziłem, mogło mi ułatwić wysłuchanie do końca tych nudów, które najwyraźniej miały zająć

całą noc. Gdy wróciłem, opowieść doszła do następującego punktu:

– W połowie drugiej wiosny, gdy ulewne deszcze przekształciły nasz dom w bajoro, w którym zbierały się wszystkie okoliczne ropuchy, publiczny obwoływacz, gdyż skąpe nowiny nie były dostateczną racją, by publikować gazetę czy choćby afisze, oznajmił przybycie trupy teatralnej mającej podczas *tournée* po okolicy i przed oficjalnym debiutem w Fernando Poo przedstawić nam melodramat, którego tytuł postarałem się z powodzeniem zapomnieć. Majątek nasz nie pozwalał na zbytki, lecz żona ma nalegała tak usilnie, a melancholia trawiła ją do tego stopnia, że w końcu uległem jej kaprynowi, zaciągnąłem pożyczkę i kupiłem bilety. Bodajbym nigdy tego nie zrobił! Jeszcze mam przed oczami egzaltację, z jaką Clotildita czyściła i cerowała jedyną sukienkę ze swojego wiana, która zresztą źle zniosła srogość klimatu i wsi. A jak opisać mą boleść, gdy stwierdziłem, że małżonka ma, dotychczas tak powściągliwa, umyła sobie włosy szamponem, zakupionym za Bóg jeden wie jakie środki? Wiem, że odbiegam od tematu: ograniczę się do faktów. Udaliśmy się do lokalu, gdzie miał odbyć się spektakl, to jest obory, którą władze miasteczka przystosowały do tego celu, przenosząc czasowo do ratusza obornik zgromadzony tam na co dzień, i zaczęło się przedstawienie, a z nim mój pech. Nie pamiętam ze sztuki nic, jako że nigdy, do tego momentu, nie byłem w teatrze i wyrosłem już z wieku, w którym mógłbym stać się miłośnikiem sztuk, w związku z czym wziąłem sobie stos klasówek do poprawienia. Rzecz jasna, nie pamiętam też ani jednego aktora, oprócz pewnego galanta, zmanierowanego i nie najmłodszego, który oczarował całą żeńską część

widowni, tak że w połowie drugiego aktu musiał opuścić scenę w ulewie grac i siekier, którymi ciskali weń zazdrośni mężowie, wołając: „Ty zniewieściały mięczaku!”, „Zejdź na widownię, jeśli jesteś mężczyzną!”, i prowokując go innymi słowy, tak że nie pokazał się więcej, z poważnym uszczerbkiem dla intrygi, gdyż grał główną rolę. Ja, zaabsorbowany mym zajęciem, nie zauważyłem incydentu ani też tego, że małżonka ma, pod pretekstem pilnej potrzeby, opuściła swoje miejsce i nie powróciła. Gdy kurtyna opadła, sala opustoszała, a za wzgórzami wstał świt, zacząłem obawiać się, że mojej Clotildzie coś się przytrafiło. Wróciłem do domu i nie zastałem żywej duszy, przebiegłem ulice i pola, pytałem każdego napotkanego człowieka... Wszystko na próżno. Clotildę jakby pochłonięła ziemia. Trzeba było odrzucić na wstępie ewentualność wypadku, o którym z pewnością już rozeszłyby się wieści w tak maleńkiej społeczności, i uznać, choć z największym bólem, że moja uwielbiana żona postanowiła odejść, z sobie tylko wiadomych względów, i nie ma najmniejszego zamiaru powrócić. Niech państwo sami osądzą ogrom mej rozpacz.

A ty, czytelniku, mojej, gdy zrozumiałem, że nudy owe nie dobiegły jeszcze końca. Poczułem, że słabnę: nie jadłem nic przez cały dzień, uspioło mnie, musiałem wskrziesić umarłą, a jakby tego było mało, znosić w samych slipach wilgoć brzasku, który zaczynał się już rysować na bladym niebie. Kątem oka ujrzałem, że Emilia śpi w najlepsze, zwinięta w kłębek na krześle. Zwróciłem profesorowi na to uwagę, mając nadzieję, że odczyta czyn Emilii właściwie, a on uśmiechnął się chytrze i porozumiewawczo.

– Tak nawet lepiej – powiedział. – Moja historia po-

siada aspekt skandalizujący, być może niestosowny dla uszu niewinnej panienki. Między nami mężczyznami mogę mówić bez ogródek.

Potańrł ręce z zadowoleniem, jakby zamierzał zaserwować mi smakowitą potrawę z najbardziej egzotycznych składników, i ciągnął przerwana relację:

– Gdy dobiegł końca rok akademicki, czyli po upływie trzech miesięcy od zniknięcia mojej żony, gdy zaczęły się rozwiewać me nadzieje na jej skrucę i powrót, a ja sam stałem się pośmiewiskiem całej okolicy, złożyłem pisemne wymówienie w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa i wróciłem do Barcelony ze stanowczym postanowieniem pozostania tu do końca mych dni. Upłynęły lata i niedostrzegalna, lecz nieubłagana fala codzienności ukoila me rany, które dziś spoczywają w otchłani pamięci, jednak o odległe od bólu i od zapomnienia.

Wymówiwszy te słowa, staruszek podniósł się bez uprzedzenia i szurając kapciami, podszedł do biurka, otworzył szufladę, przetrząsnął wypełniające ją papiery i wrócił na fotel, niosąc na wyciągniętej dłoni poźółkłą kopertę. Emilia poruszyła się na krześle we śnie. Szacowny historyk wpatrywał się przez chwilę w kopertę, po czym rzekł, nie podnosząc oczu:

– Dziewięć lat po wydarzeniach, które zrelacjonowałem, przyszedł ten list. Został napisany w Algeciras przed dwoma laty i wysłany do placówki, w której siedem lat wcześniej nauczałem. Stamtąd odesłano go do ministerstwa, gdzie uwiązł w Morzu Sargassowym niedbalstwa biurokratów, aż wreszcie pewien funkcjonariusz, sumienniejszy i bardziej współczujący, a może bardziej złośliwy od innych, odszukał mój adres i dostarczył mi list za stosowną opłatą.

Sędziwy kochanek otworzył kopertę, pogłaskał ją opuszkami palców i podał mi kartki zapisane pismem ręcznym i wytarte na krawędzi, wzdłuż której były złożone. Rozłożyłem je ostrożnie, podszedłem do lampki palącej się nadal nad biurkiem, której światło coraz bardziej nikło, w miarę jak pokój zalewała jasność poranka, i przeczytałem:

Ty wstrętny pulpecie,
od momentu, kiedy odeszłam od ciebie, wiodło mi się coraz gorzej, ale ani przez jeden dzień nie przestałam błogosławić godziny, w której cię porzuciłam. Ty pokurczu. Aktorzyna, w którego ramiona rzuciłam się w rozpacz, był kanalią, bez przerwy łoł mi skórę i porzucił mnie, gdy dowiedział się, że jestem w ciąży, mimo to jednak wielbię jego wspomnienie, ponieważ dzięki niemu nie muszę cię więcej oglądać. Ty karaluchu. Pozbawiona czci, ciężarna i bez pesety przy duszy oddałam się prostytutce w toalecie zajazdu dla kierowców ciężarówek, aż urodziła się moja córeczka, którą podrzuciłam w koszyczku u drzwi pewnej pustelni. Oślepiłam na jedno oko, wypadły mi zęby, jestem alkoholiczką i morfinistką, byłam sześć razy w więzieniu i cztery razy w szpitalu dla zakaźnie chorych. I to wszystko przez ciebie. Ty spluwaczko, wycieraczko...

Po czym następowały kolejne strony utrzymane w tym samym stylu. Złożyłem list i podałem go profesorowi, który ucałował go, jakby chodziło o relikwię, schował do koperty i powiedział:

– Proszę wybaczyć jej niestaranną składnię. Gdy byliśmy złączeni świętym węzłem małżeństwa, każdego wieczoru robiłem jej godzinne dyktando, lecz nie udało

mi się sprawić, by opanowała tajniki naszego trudnego języka. To nie o tym jednak, rzecz jasna, chciałem mówić...

Opuścił głowę, by ukryć rumieniec, który czynił jego oblicze podobnym do zorzy poranka, i dodał tonem błagalnym i żalonym:

– Od chwili, gdy zobaczyłem pana po raz pierwszy, zrozumiałem, że jest pan człowiekiem światowym. Z pewnością zna pan kobiety. Proszę mi powiedzieć jedną rzecz z całkowitą szczerością: po przeczytaniu listu, który panu pokazałem, czy wydaje się panu, że mogę jeszcze żywić nadzieję na jej powrót?

– Nikt nie może tego przewidzieć – odpowiedziałem dyplomatycznie. – Ale na pana miejscu postarałbym się na wszelki wypadek o zapas penicyliny. A skoro dotarliśmy do etapu pytań i odpowiedzi, proszę wyjaśnić mi pewien punkt: jaki związek ma owa wzruszająca historia z pańskim wczorajszym już zemdleciem?

Za całą odpowiedź jeszcze raz sięgnął stary ramol do koperty, wyjął z niej wiekową fotografię i podał mi ją.

– Niech pan sam osądzi – powiedział. Było to zdjęcie z polaroidu, zrobione prawdopodobnie przez jakiegoś anonimowego ulicznego fotografa, przedstawiające dwójkę ludzi wykonujących nieprzyzwoity gest na użytek osoby, do której skierowane było memorandum. Szybki rzut oka wystarczył, bym wszystko pojął.

– Niezwykłe podobieństwo – skomentowałem.

– Żywy portret matki – potwierdził profesor.

– A jej towarzysz?

– To ten aktorzyzna... – wycodził staruch. Upewniłem się, że Emilia śpi lub udaje, że śpi. Nie wdając się w wyjaśnienia, wstałem, przeszedłem do łazienki, podarłem zdjęcie na strzępy i wrzuciłem do muszli. Don

Plutarquete dobiegł do mnie, gdy spuszczałem wodę, i obaj spoglądaliśmy w milczeniu, jak wir unosi szczątki przeszłości ku otwartemu morzu.

– Coś uczynił, człowiecze? – wykrzyknął profesor, gdy wreszcie odzyskał głos.

– Może pan mnie uznać za szaleńca, jeśli pan chce. Niewiele osób nie podpisałoby się pod tą diagnozą. Lecz jeśli żywi pan choć odrobinę szacunku dla tych dwóch panien, które spoczywają w pokoju w tych szacownych murach, niech pan nikomu nie mówi, co właśnie zrobiłem, ani nikomu nie powtarza tej przenudnej sagi, którą mi pan zafundował. Na razie nie mogę nic więcej wyjawić. Zrozumiał pan?

– Nie, panie. Nie zrozumiałem nic i domagam się natychmiastowego, szczegółowego i przekonującego wyjaśnienia.

Miast odpowiedzi spojrzałem jeszcze raz w bezkresną czeluść muszli, wspomniałem zdjęcie z dedykacją Muscle Powera, które Maria Pandora ukrywała w szufladzie szafki nocnej, wróciłem pamięcią do tragicznej śmierci aktora i nie mogłem powstrzymać się od medytacji nad zbiegami okoliczności, meandrami i układankami, którymi los przystraja swoje ścieżki i komplikuje nasze. I nie wykluczam, iż z refleksji tej zrodziłaby się nauka pożyteczna dla mnie, a przy okazji dla pana, wierny czytelniku, gdyby biegu mych myśli nie przerwał dzwonek domofonu, na dźwięk którego obaj, starsuszek i ja, podskoczyliśmy.

Wszystko źle, wszystko w porządku

Jak mówiłem, złowieszczy dźwięk dzwonka zmusił nas brutalnie do ponownego powrotu do świata zewnętrznego. Któż to mógł być, o tej godzinie?

– Doktor – powiedział don Plutarquete, jakby czytał w mych myślach.

Odetchnęliśmy z ulgą i wróciliśmy do saloniku, gdzie Emilia, wyrwana gwałtownie ze snu, przenosiła zdezorientowany wzrok z drzwi na nas, którzyśmy nagłe i wspólnie wyszli z łazienki. Profesor, nawiązawszy przez przewód elektryczny kontakt z dzwoniącym i upewniwszy się, że faktycznie chodzi o lekarza, wpuścił tego ostatniego do mieszkania.

Człowiek, któremu powierzono jakże szlachetne zadanie niesienia zdrowia do naszych domostw, okazał się, inaczej niż się spodziewałem, biorąc pod uwagę, że chodzi o przyjaciela Emilii, dystygowanym dżentelmenem w średnim wieku, przysadzistym i rumianym, tęchnącym relaksującym zapachem czosnku i środków odkażających, który przeprosił za spóźnienie, tłumacząc, że jego samochód został ukryty na trzecim piętrze parkingu przez pracownika lekceważącego przywileje profesji. Widząc, że opowieść o jego perypetiach nie

budzi niczyjego zainteresowania, zmienił ton i zapytał, gdzie jest pacjentka. Po uzyskaniu wyjaśnień, poprosił, byśmy zostawili go samego, i zamknął się w sypialni, gdzie leżała pogrążona we śnie Maria Pandora. Po krótkim czasie wyłonił się ze słowami:

– Wszystko w porządku.

– Będzie żyła, panie doktorze? – zapytał don Plutarquete.

– Oczywiście, oczywiście, pod warunkiem, że w przyszłości zachowacie większą ostrożność. Kto jest ojcem dzieciątka?

– Jam jest! – wykrzyknął sędziwy historyk, przyklekając na jedno kolano i uderzając się w pierś prawicą. – Przed Bogiem i ludźmi.

Lekarz spojrzał na niego dobrotliwie, aczkolwiek z niejakim zdziwieniem.

– Życzę pomyślności – powiedział. – Cięża przebiega całkowicie normalnie i nie sądzę, by wystąpiły jakieś problemy, chyba że małżonka pańska znowu połknie cyjanek. Na szczęście wymioty, spowodowane zapewne samoistnie przez organizm pacjentki, nie pozwoliły, by trucizna zaczęła działać. Na razie podałem jej środek uspokajający. Powinna odpocząć. Nie sądzę, by obudziła się przed upływem dwudziestu czterech godzin. Proszę karmić ją białym ryżem i gotowanym kurczakiem. Jeśli coś się wydarzy, Emilia wie, gdzie i jak mnie znaleźć. Czy państwo są gdzieś ubezpieczeni?

Powiedzieliśmy mu, że nie i że w tym momencie nie dysponujemy gotówką, lecz że przyjdziemy mu zapłacić za wizytę najszybciej, jak to będzie możliwe. Z tą obietnicą odszedł.

Zbyteczne jest wyjaśniać, iż ulga, jaką napełniła nas optymistyczna diagnoza, przyćmiła zdumienie spowo-

dowane informacją, że Maria Pandora jest przy nadziei. Zdumieniem tym byłem przejęty szczególnie ja sam, jako jedyny z obecnych, włączając chorą, który znał całą prawdę o jej korzeniach oraz o enigmatycznej i, moim zdaniem, wielopłaszczyznowej roli, jaką odegrał w całej historii zmarły Muscle Power. Nie był to jednakże właściwy moment, by roztrząsać zmienne koleje losu, wobec czego porzuciłem medytacje na rzecz głosu, który zabrałem, zanim jeszcze umilkł na schodach odgłos kroków medyka.

– Jestem przekonany – rzekłem – że zarówno państwo, jak i ja sam zadajemy sobie niezliczone pytania. Niestety, na wiele z nich jedynie Maria Pandora może udzielić odpowiedzi, w związku z czym będziemy musieli poczekać, aż przestanie działać środek nasenny. Co do pozostałych pytań, odpowiedzi mogą nam dać tylko czas i przypadek, a nad żadnym z owych czynników nie mamy władzy. Wobec powyższego uważam, iż powinniśmy odłożyć na później nasze przypuszczenia i skoncentrować się na praktycznym aspekcie sprawy.

Popatrzyłem na słuchaczy i stwierdziłem, że słuchają z najwyższą uwagą moich argumentów, a ma niezmaczona logika i pewność siebie wywarły na nich spore wrażenie, co mogłem sobie poczytać za tym większą zasługę, że stałem przed nimi odziany jedynie w przepaskę biodrową.

– A sytuacja – ciągnąłem – zmieniła się niewiele, za to na gorsze. Zawsze byłem zwolennikiem, nie wiem, czy słusznie czy niesłusznie, samodzielnego rozwiązywania problemów, które fortuna stawiała na mej drodze. Rezultaty są widoczne jak na dłoni. Tym razem jednak ani nie jestem jedynym wciągniętym w tę historię, ani me siły nie są tak wielkie, bym nawet w roje-

niach śmiał zmierzyć je z siłami adwersarza, który za nami podąża, śledzi nas i grozi, i nie odstąpi, dopóki nie dopnie swych niecznych celów lub nie zostanie pokonany na własnym terenie.

Zauważyłem, że don Plutarquete drapie się dyskretnie po tyłku, i postanowiłem skrócić preambułę i przejść od fazy wstępnej do zarządzającej, odzywając się w te słowa:

– Zatem zrobimy, co następuje: po pierwsze, odzyskamy po raz enty walizeczkę, którą w zamieszaniu zostawiliśmy w mieszkaniu Emilii, po drugie, i to bezwzględnie, zadzwonimy na policję, po trzecie, a punkt ten dotyczy wyłącznie mnie, spadam stąd, zanim pojawi się ta ostatnia. Jakies zastrzeżenia lub uwagi?

Nikt nie okazał chęci zgłoszenia ani jednych, ani drugich, w związku z czym, nie zwlekając, skierowałem się ku drzwiom. Emilia przytrzymała mnie, chwytając za ramię, i zapytała, dokąd zmierzam. Powiedziałem, że po walizeczkę, na co odrzekła:

– To bardzo ryzykowne. Być może dom jest pod obserwacją policji albo wroga, albo wszystkich naraz.

– Panna Trash – poparł ją sędziwy gospodarz – ma rację. Jeśli zobaczą, że pan tam wchodzi, po czym wychodzi z walizką, pańskie życie nie będzie warte złamanego szeląga. Ja natomiast, który jestem znany w dzielnicy, z moim wyglądem starego ofermy nie wzbudzę podejrzeń. Pozwólcie mi spróbować, a zobaczycie, że was nie zawiodę.

Niezmiernie mnie wzruszyła oferta starca, lecz musiałem mu odmówić, gdyż nie żywiłem zbytnej wiary w jego skuteczność, choć nie takie powody odmowy mu podałem:

– Pańskie miejsce jest tu, don Plutarquete, u wez-

głowie Marfi Pandory. Ja zaś, wyznaję ze wstydem, mam doświadczenie, którego pan nie posiada, w niepostrzeżonym wchodzeniu i wychodzeniu z domów.

– Jeśli ty idziesz – wtrąciła Emilia – to ja z tobą. Już to z powodu zmęczenia bezsenną nocą, już to dlatego, że nie potrafię odmówić pięknym kobietom, zgodziłem się, po krótkiej debacie, na jej towarzystwo. Co miało konsekwencje, które zaraz przedstawię.

Rozdział piętnasty

O miłości

Było jeszcze wcześniej i ulica świeciła pustkami. Pokonaliśmy ją dwoma susami i wpadliśmy do bramy, niedostrzeżeni przez nikogo. Gdy wjeżdżaliśmy na piętro, pomyślałem, że być może powinienem był ponownie założyć garnitur don Plutarquete'a, gdyż jeśli oczekiwała mnie pewna śmierć, wydało mi się niegodne ponieść ją w tak skąnym odzieniu, lecz było już za późno, by naprawić to niedopatrzenie, a poza tym życie moje zasługiwało na położenie mu kresu w tym haniebnym stroju. Jazda była zbyt krótka, bym mógł snuć dalsze rozważania na ten temat. Obejrzeliśmy z uwagą korytarz, leciutko uchylilem drzwi wejściowe, wsunąłem ostrożnie głowę, upewniłem się, że w przedpokoju i w saloniku nie ma żywego ducha, otworzyłem drzwi szerzej, dałem Emilii znak, by szła za mną, weszliśmy i zamknąłem za nami. Wszystko zdawało się leżeć na swoim miejscu, jeśli tak można określić przeraźliwy bałagan, jaki już od kilku rozdziałów panował w owym niegdyś przykładowym domostwie, a o tym, że wrażenia tego nie zawdzięczamy halucynacjom, świadczyło to, iż dokładnie tam, gdzie porzuciła ją Emilia, to jest na prawo, patrząc od wejścia, stała

walizka. Chwyciłem ją za rączkę i poleciałem:

– Zwijajmy się stąd.

– Nie – powiedziała Emilia. – Chodź ze mną. Podążyłem za nią do sypialni, zastanawiając się raczej, jak by tu najszybciej dać nogę, niż co istotnego dla sprawy może się tam znajdować, lecz oto zaledwie przekroczyłem próg intymnego pomieszczenia, Emilia, z szybkością i koordynacją ruchów, które dzisiaj, oglądając je w bezlitosnym świetle, jakie pamięć rzuca na najodleglejsze, ulotne i w swoim czasie nieuchwytnie momenty z przeszłości, chciałbym przypisać wrodzonemu talentowi, a nie długiej praktyce, zamknęła drzwi obcasem, popchnęła mnie prawą dłonią tak mocno i gwałtownie, że runąłem na łóżko, a lewą pociągnęła za gumkę moich slipów z taką siłą, że owe ineksprymable – co prawda czasy świetności miały daleko za sobą już w dniu, gdy zostały mi podarowane przez pacjenta z sanatorium, który po wypisaniu wspaniałomyślnie rozdzielił między nas wszystkich, cośmy przybyli do bramy, by go pożegnać, swe skąpe dobra i wyszedł nago na ulicę, po czym natychmiast został zatrzymany i internowany ponownie, tracąc tym jednym czynem wolność, majątek i przy okazji wspaniałomyślność – owe ineksprymable, powiadam, pękły niczym żagiel, w który uderza szkwał, pozostawiając mnie nagim, aczkolwiek nie bezbronnym. Jednakże nie zakończył się na tym ów epizod, co zresztą uczyniłoby go niezrozumiałym. Zaledwie bowiem przewróciłem się na plecy, próbując, jeśli nie ustalić przyczynę lub cel agresji, to przynajmniej ją odeprzeć, Emilia, pozbywszy się części swej odzieży z chyżością, którą wciąż wzbraniam się przypisywać przyzwyczajeniu, skoczyła na mnie, ścisnęła mnie ramionami, nie wiem, czy w przypiływie

namiętności czy by powstrzymać ciosy, które zadawałem jej pięściami, przekonany, w mej nieufności i małostkowości, że kobieta rzucająca się na mnie, świadoma mego wyglądu fizycznego i stanu mych finansów, robi to tylko i wyłącznie w najgorszych zamiarach, i przekształciła mnie w przedmiot, początkowo bierny, a następnie czynny, a w obu wypadkach nader głośny, czynów, których nie opiszę, gdyż uważam, że książki powinny uczyć cnót, a ponadto nie sądzę, by czytelnik potrzebował więcej danych, aby zorientować się, co się później wydarzyło, i jestem przekonany, że jeśli do tej pory jeszcze tego nie odkrył, lepiej będzie, jeżeli zamknie ten tom i uda się do przybytku, którego adres mogę mu dostarczyć, gdzie za rozsądną kwotę zaspokoją jego ciekawość i inne, niższe, żądze. Po czym, jako że Emilia znalazła w szufladzie szafki nocnej paczkę papierosów, zapaliliśmy.

– Moja pierwsza miłość – udało mi się wykrztusić po długim milczeniu – rozkwitła tak wiele lat temu, że niekiedy wątpię, czy rzeczywiście się wydarzyła tak, jak to sobie przypominam, czy też jest zaledwie wytworem wyobraźni pragnącej tchnąć życie w przeszłość, która w przeciwnym razie wyglądałaby jak rozdział z podręcznika socjologii.

Odłożyłem papierosa na popielniczkę, ponieważ potok śliny, który nie przestawał spływać z mych ust, zwilżył i groził rozmoczeniem papieru, który nadawał temu pierwszemu kształt, sens i treść, zamknąłem oczy i ciągnąłem, lub też tak mi się wydawało:

– Nazywała się Krościuła Gówniarno i była córką kuzyna mojej matki, który przyjechał ze wsi bez uprzedzenia i zamieszkał z nami, nie wiem, czy przyciągnięty blichтром wielkiego miasta, czy może mając nadzie-

ję oszukać tym sposobem wymiar sprawiedliwości poszukujący go za jakiś haniebnny czyn, w osiedlu, gdzie rodziciele moi, prowizorycznie najpierw, a definitywnie później, zapuścili korzenie i wydali na świat mą siostrę i mnie. Był ów kuzyn mej matki chłopem krzepkim, o wyglądzie drwala, rudych włosach, równie rudych brwiach, zawsze zmarszczonych, brodzie gęstej i tak długiej, że wplątywała mu się w sprzączkę paska, szorstkim obejściu, być może z powodu jego północnego pochodzenia, oszczędnym w słowach i do tego stopnia szlachetnym podczas podziału zysków, że nawet w towarzystwie mężczyzn zaczepnych i kłótliwych zyskał sobie wkrótce szacunek graniczący z czcią i przydomkiem, notabene niezrozumiały, don Florian Smarkul, choć miał na nazwisko tak, jak już wspomniałem, a na chrzcie mu dali Tancredo, jeśli mnie pamięć nie zawodzi. Liczyłem sobie pewnie nie więcej niż siedem lub osiem lat, gdy wkroczyła w nasze życie ta wspaniała postać, w towarzystwie córki, bohaterki tej wtrąconej opowieści, oraz wypasionej i niemłodej już świni, do której żywił takie uczucie, że nie miał serca zostawić jej w wiosce, na łasce rzeźnika, i że mimo swej trudnej sytuacji finansowej wykupił dla niej bilet w trzeciej klasie, by nie musiała jechać w wagonie towarowym, z innymi zwierzętami. Sam nieproszony, choć tak oszczędny w słowach, być może powodowany gniewem, opisał nam perypetie podróży, podczas której złamał szczękę mało tolerancyjnemu konduktorowi i wyrzucił przez okno wielu pasażerów, którzy odmawiali siedzenia obok świni.

Powiedziałem już, że mieszkaliśmy wówczas w osiedlu niezastługującym na miano liczącego się. Dodam, że domostwo nasze było barakiem z papy i karto-

nu, złożonym z jednego pomieszczenia o wymiarach dwa na dwa, w związku z czym niezapowiedziane przybycie owych trzech istot wzbudziło w nas więcej zakłopotania niż radości. Czasy nie nastrajały jednak do grymasów i nie powiedzieliśmy nic. Powoli ich obecność stała się czymś powszednim. Mojego ojca nigdy nie było w domu, w związku z czym nie miał powodów do narzekania. Matczyne krzyki i jęki słyszeliśmy kilka razy dziennie, co początkowo nas smuciło, aż odkryliśmy, że powodem czynionej przez nią wrzawy były nie kłótnie, lecz igraszki z kuzynem. Jeśli chodzi o moją siostrę Cándidę, od zawsze cechującą się wielkodusznością, zaraz po przewyciężeniu początkowej nieśmiałości zawarła wielką przyjaźń ze świnią, uczyniła ją powierniczką wszystkich swoich sekretów, zaprowadziła do parafii, by przygotować ją do pierwszej komunii, co wzbudziło słuszny gniew księdza, i zaczęła jej robić na drutach śpioszki, których nie dokończyła z powodów, jakie wyłuszczę w swoim czasie. Nie będę za to zwlekał z opisem mych czułych uczuć.

Nie powiem, że przypominam sobie, lecz że przeżywam ponownie, jakbym nadal był zanurzony w tamtym czasie, lodowate noce zimowe i ciepłe wiosenne, kiedy cała rodzina gromadziła się w miedzianym świetle kaganka w oczekiwaniu, aż pianie koguta przyniesie nam nowy dzień i lepszy los. Ojciec ze spuszczoną głową skręcał papierosy z suchego łąjna; stracił głos, śpiewając poprzedniego dnia *Twarzą do słońca* i inne falangistyczne pieśni przez całe osiem godzin pod drzwiami wydziału robót publicznych w próżnych staraniach zdobycia pracy. Mama, wyczerpana niekończącymi się pracami domowymi, a przede wszystkim wytrwałymi i płomiennymi względami, jakimi obda-

rzał ją kuzyn, lecz zawsze pracowita, łątała i czyściła, w celu późniejszego odsprzedania, zużyte prezerwatywy, które moja kuzynka i ja wyławialiśmy siatką na motyle w miejscu, gdzie do Llobregatu wpadały ścieki. Cándida robiła na drutach, pochrząkiwała świnia przejeżdżona jakimś paskudztwem, a przez ścianę dochodziły rytmiczne beknięcia sąsiada. Ja, wolny od obowiązków i nieprzepadający za lekturą i innymi cichymi sposobami spędzania wolnego czasu, wpatrywałem się w moją kuzynkę.

Krosia, jak wszyscy ją czule nazywaliśmy, miała, i powinna nadal mieć, jeśli jeszcze żyje, dwa lata mniej niż ja. Była nie tyle smukła, ile rachityczna, o ciele suchym jak ość, zakończonym główką ostrzyżoną na jeża podczas tyfusu i przypominającą piłeczkę. Nie była schludna. Urodzona w nader dziwacznym okolicznościach, nigdy nie miała matki i w okresie formacyjnym zaczęła identyfikować się ze świnia, której miny, ruchy i dźwięki naśladowała. Wydzielała specyficzny zapach, który mnie upajał i który przez długie lata nazywałem wonią perfum, aż zdałem sobie sprawę, że nie są to perfumy. Czy ją kochałem? Czy ona mnie kochała? Czy miłość nasza była autentyczna, czy tak nam się tylko zdawało, czy była czymś więcej niż przelotny cień ptaka szybującego nad łąkami zbóż? Nigdy się nie dowiem i nie sądzę, by ona, gdziekolwiek teraz się znajduje, wiedziała więcej ode mnie, jeśli w ogóle pamięta tamtą historię. Wiem tylko, że pewnego dnia, po miesiącach dziecinnych zabaw, zmrok zaskoczył nas w sosnowym lasku, dokąd przychodzili nieomal codziennie najdelikatniejsi mieszkańcy osiedla, za potrzebą, której zaspokojenie w domu, wobec braku jakichkolwiek instalacji sanitarnych, byłoby niehigieniczne i

uciążliwe. Zmęczeni bieganiami i bijatykami, położyliśmy się na ziemi, miękkiej, jak należało oczekiwać w takim miejscu. Nie wiedząc, dlaczego, wzięliśmy się za ręce. Wiatr podwinął spódnicę mojej kuzynki. Przez moment wahałem się między przywaleniem jej w nos kamieniem, co było w owych czasach zwyczajową formą pokazania przez nas, chłopców, że podoba nam się jakaś dziewczynka, a pofolgowaniem innym impulsem, o niejasnym pochodzeniu, lecz jednoznacznych objawach. Sądzę, iż gdyby mogła wyrazić swoje preferencje, kuzynka moja skłoniłaby się raczej ku pierwszej możliwości. Jednakże wówczas, inaczej niż dziś, dziewczynkom wypadało tylko przyzwolić lub bronić się. Kuzynka moja zrobiła wszystko, co mogła, by się obronić...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że jestem w łóżku sam. Zanim jednak zdążyłem zareagować i zaniepokoić się, weszła do pokoju Emilia owinięta ręcznikiem. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– Przestań już się usprawiedliwiać. Zrobiłam to, ponieważ podobają mi się twoje łydki.

– Gdzie byłeś?

– W połowie tej bzdurnej historii zasnąłeś jak kamień, więc poszłam wziąć prysznic.

Spojrzałem przestraszony na zegarek jednorękiego kelnera, który nadal miałem na ręce; było po dziesiątej.

– Popełniamy szaleństwo – stwierdziłem.

– Nie przejmuj się – pocieszyła mnie Emilia, upuszczając ręcznik na ziemię i otwierając szafę, w której wisały jej ubrania. – Skoro nie przyciągnąłeś batalionu wrogów swoimi rykami, nie sądzę, by ktoś tu jeszcze nas szukał. Tak czy owak – dodała, wkładając majteczki

filigranowe, przezroczyście i niepraktyczne pod wszystkimi względami – będzie lepiej, jeśli wrócimy, bo don Plutarquete pewnie się o nas martwi. Proponuję ci zatem, żebyś się już nie podniecał, wziął szybki prysznic, jeśli chcesz, i zostawił na inną okazję tę wzruszającą i piękną historię, którą mnie zanudziłeś na śmierć.

Gdy wyszedłem spod prysznic, kolana miałem miękkie, lecz czułem się nowym człowiekiem. Emilia skończyła się ubierać, a ja, nie mogąc postąpić podobnie i wiedząc, że o tej godzinie na ulicy panuje już spory ruch, postanowiłem owinać się w prześcieradło i zawiązać ręcznik na głowie, jak turban, licząc na to, że ujdę za arabskiego strojnisia. Wychodząc, zabraliśmy walizkę, a stojąc już w drzwiach, rzuciłem ostatnie spojrzenie na mieszkanko, w którym zaznałem tyle szczęścia, ponieważ, choć byłem przekonany, że w przyszłości, kiedy sprawy już się unormują, będę je często odwiedzał, nie mogłem całkiem pozbyć się przecucia, owocu mych doświadczeń i smutków, że być może widzę je po raz ostatni.

Rozdział szesnasty

O przemocy

Dotykając stopami chodnika, odczułem w całym ciele pieszczotę wiosennego słońca, a zarazem przenikliwy głód.

– Co ty na to – zapytała Emilia, wykazując ową zbieżność myśli tak charakterystyczną dla dwojga zakochanych, którzy właśnie stopili swe dwa serca w jedno, a także dla tych, którzy właśnie odbyli pamiętny stosunek – żebym podeszła do sklepu i kupiła coś na śniadanie?

Powiedziałem, że to wspaniały pomysł, i rozstaliśmy się. Wbiegłem po schodach, skacząc po jednym stopniu, bo nie miałem sił na więcej, na piętro, gdzie mieszkał don Plutarquete. Zapukałem, lecz nikt nie odpowiedział. Zapukałem jeszcze raz, bez skutku. Zdjęty niepokojem, wyrwałem jeden z kinkietów oświetlających i zdobiących korytarz i używając wystających zeń drutów jako wytrycha, otworzyłem drzwi.

Salon wyglądał jak pobożowisko. Z biurka, przy którym biedny starzec prowadził swe studia z takim zapalem, pozostały tylko drzazgi, z zasłon – strzępy, z lamp – okruchy, a z książek, które niegodziwi autorzy tego spustoszenia upiekli, by się zabawić, w piekarniku –

popioły. Z tego wszystkiego, co jeszcze kilka godzin temu czyniło życie staruszka, a raczej tę odrobinę życia, która mu została, jeśli nie przyjemnym, to przynajmniej znośnym, nie pozostało absolutnie nic. Odkąd sięgam pamięcią, miałem do czynienia z przemocą. Powiem nawet, że dom mój był jej wyborną szkołą. Pierwszymi moimi zabawkami były baty i pałki, kasty i noże. Nie przypominam sobie miesiąca bez sprawienia komuś cięgow, ani dnia, bym sam ich nie dostał. Nie jestem mięczakiem; takie jest życie. Wyznaję jednak, że w owym momencie do ócz napłynęły mi łzy. Don Plutarquete był starym pierdołą, lecz niczym nie zasłużył sobie na taki los. Ja natomiast wpakowałem go w te tarapaty, a w godzinie prawdy zostawiłem samego. Usiadłem na podłodze i dałem się opanować smutkowi i wyrzutom sumienia. Nie wiem, ile czasu zmitrężyłbym na tę jałową ekspiację, gdyby jęki dochodzące z sypialni nie wyrwały mnie z mrocznej zadumy. Zerwałem się, potykając się o prześcieradło, pobiegłem tam i znalazłem don Plutarquete'a rozciągniętego na ziemi.

Biedny staruszek był bardziej martwy niż żywy, miał piżamę podartą w wielu miejscach i podbite oko, krwawiącą dolną wargę i opuchniętą twarz. Na domiar wszystkiego na mój widok zaniósł się rzewnym płaczem.

– Ach, przyjacielu mój – poskarżył się, wstrząsany czkawką i szlochem – cóż za niepomierne nieszczęście, cóż za potworność!

Ręcznikiem zdjętym z głowy wytarłem mu krew z wargi, a prześcieradło podałem na bandażę, za pomocą których przekształciłem profesora w pokaźny pakunek, wracając zarazem do mej pierwotnej nagości.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało – poprosiłem.

– Gdy tylko państwo sobie poszli – opowiedział historyk drżącym głosem – wróciłem do sypialni, by czuć nad snem mej kochanej córy, jeśli pozwoli mi pan tak ją nazywać, a jej twarzyczka cherubina napełniła mnie taką radością i spokojem, że wkrótce sam zasnąłem jak kamień. Po chwili obudził mnie hałas dochodzący z salonu, którym się specjalnie nie przejąłem, sądząc, że to państwo wrócili. Zawołałem was, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Hałas zaś stawał się coraz głośniejszy. Tknięty podejrzeniem, wstałem i zajrzałem do salonu. Zaledwie jednak wsunąłem tam głowę, pochwyciły mnie herkulesowe ramiona i cisnęły na ziemię. Zobaczyłem, że otacza mnie trzech mężczyzn, których twarze nie widziałem, gdyż mieli kapełusze nasunięte na czoło, kołnierze postawione aż pod nos i oczy zakryte ciemnymi okularami. Pamiętam natomiast, że byli wysocy i barczyści. Nie wspominam o tym, by się usprawiedliwić; jestem stary i cherlawy, karzeł mógłby mnie przewrócić bez trudu. Lecz wracam do rzeczy: niegodziwcy przykucnęli, by pokazać, jak bardzo mnie lekceważą, i zapytali o was. Powiedziałem, że poszliście sobie, nie mówiąc dokąd, i że nie mam bladego pojęcia, kiedy wrócicie, chociaż wydaje mi się, że dopiero wieczorem. Dodałem, by bardziej uwiarygodnić me słowa, że słyszałem, jak mówiliście, że pójdziecie do kina. Następnie chcieli wiedzieć, gdzie jest walizka. Udałem, iż nie wiem, o co chodzi, a to ich rozwścieczyło. Zaczęli mnie kopać i bić, wymyślając od kutasików, pariasów, tłuszciochów, szmatławców, śmieci, blagierów i obdarzając innymi epitetami, których nie zapamiętałem. Obrzucając mnie obelgami, podkreślonymi sardonicznym śmiechem, wyrzucali książki z

pólek z niegodziwym zamiarem potargania ich. Moje nieszczęsne książki... Łkanie przerwało jego patetyczną opowieść.

– Don Plutarquete – powiedziałem – nie musi pan nic więcej mówić. Sam kilkakrotnie znalazłem się w podobnej sytuacji i wiem, jak to wygląda. Różnica między nami polega na tym, że ja po pierwszym ciosie zaczynałem śpiewać jak kanarek, a pan zachował się jak bohater.

– Jestem panu wdzięczny za pochwałę – odrzekł profesor. – Na cóż mi jednak dobre świadectwo, skoro straciliśmy Marię Pandorę?

Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że złoczyńcy zabrali Marię Pandorę, a na dokładkę puchową kołdrę Emilii.

– Proszę się nie trapić – pocieszyłem starszka. – Znajdziemy ją, choćby nie wiem co. I niech mnie dunder świśnie tu i teraz, jeśli nie zemścimy się z nawiązką za wszystko, co uczynili panu i dziewczynie.

Wymawiając te słowa, przetrząsałem sypialnię w poszukiwaniu jakiegoś śladu, który przesiany przez przetak mej nieubłaganej logiki deduktywnej mógłby naprowadzić nas na trop naszych przeciwników. Zbędne jest dodawać, że nie znalazłem żadnego, poza grubą warstwą brudu, jaka nagromadziła się z upływem lat pod łóżkiem niechłujnego historyka. Na tym zajęciu zastała nas Emilia wracająca ze sklepu, objuczona i tak podniecona, że nie zdziwiły jej ani otwarte drzwi, ani zniszczenia, których nawet nie zauważyła.

– O co zakład, że nie zgadniecie, kogo właśnie widziałam? – zapytała, nie witając się z nikim.

Milczenie me, pełne dezaprobaty, oraz wygląd don Plutarquete'a sprawiły, że zauważyła niestosowność

pytania i zadała inne. Złożyliśmy jej wyczerpującą relację z ostatnich wydarzeń, a gdy dobiegła końca, Emilia dołączyła swe lamente do naszych. Pragnąc, by ogólna rozpacz nie pogrążyła nas w marazmie, zapytałem Emilii, kogo widziała w sklepie, spodziewając się, że poda nazwisko znanego prezentera telewizyjnego, lokalnego polityka o magnetyzującej osobowości lub jakiejś innej znanej postaci, która przeszła obok niej obojętnie i z nieobecny spojrzaniem. Emilia jednak odpowiedziała następująco:

– Pomywaczkę, która naszła nas przedwczoraj w mieszkaniu Marii Pandory.

Podskoczyłem, a lądując, zauważyłem, jak każdy mężczyzna, który zechciałby powtórzyć ten eksperyment, że jestem nagi.

– Jesteś pewna? – zapytałem, wkładając prochowiec pożyczony poprzedniego dnia z domu dziennikarki, jako że nie wydawało mi się eleganckie paradowanie nago w obecności Emilii, gdyż po tym, co zaszło między nami nie tak dawno temu, śmiałość moja mogłaby zostać poczytana za oznakę poufałości, od której czułem się jak najdalszy.

– Nigdy się nie mylę w tych sprawach – odrzekła – i mam świetną pamięć do twarzy.

– Gdzie ją spotkałaś?

– Wychodziłam z supermarketu, a ona stała na rogu i jadła frytki z torebki. Co pewien czas podnosiła głowę i rozglądała się po ulicy, jakby na kogoś czekała.

– Widziała cię?

– Wydaje mi się, że nie.

W tym momencie wtrącił się don Plutarquete, prosząc o wyjaśnienia. Wtajemniczyłem go w szczegóły naszej wizyty w domu dziennikarki i zakończyłem:

– Tego, że ta harpia wczoraj była w domu Marii Pandory, a dzisiaj tu, nie można przypisać zwyktemu zbiegowi okoliczności. Jestem przekonany, że jeśli odnajdziemy pomywaczkę, odnajdziemy też Marię. Emilia, pamiętasz, co powiedział twój przyjaciel o właścicielu samochodu, którym ta komedianka nam umknęła?

– Tak: producent nadziewanych oliwek.

– Poszukaj w książce telefonicznej siedziby tej firmy. Szybko.

Zostawiłem ją przy tym zajęciu, otworzyłem paczuszkę, którą przyniosła ze sklepu, i zacząłem pożerać kanapkę łąpczywie i akustycznie.

– Czy nie będzie za późno? – przerwał mi don Plutarquete.

– Mam nadzieję, że nie – odrzekłem, obsypując go okruszynami. – Gdyby chcieli zlikwidować Marię Pandorę, zrobiliby to już tutaj. Wyczuwam, że nie mają najlepszych intencji, lecz przed wprowadzeniem ich w życie będą próbowali odzyskać walizeczkę. Nie zaskoczyłoby mnie nawet, gdyby zaproponowali nam wymianę. Ale – przełknąłem ostatni kęs kanapki i zajrzałem do papierowej torebki, by sprawdzić, czy Emilia pamiętała o pepsi-coli, lecz nie – wyprzedzimy ich. Kto uderza pierwszy, uderza dwa razy. Mam plan. I błagam, dajcie mi szklanekę wody, żebym mógł przełknąć ten klajster.

Emilia wróciła z adresem firmy, bardzo z siebie zadowolona. Nauczyłem się go na pamięć bez wysiłku, zacisnąłem pasek prochowca i wstałem. Zapytali, dokąd się wybieram, i odpowiedziałem, że do firmy nadziewającej oliwki.

– Idę z panem – powiedział dzielny historyk.

– Ja też – dodała Emilia.

Ponownie zaczęliśmy się kłócić, a w końcu postanowiliśmy, że pojedziemy wszyscy troje, przy czym ustaliliśmy, że Emilia poczeka w samochodzie, by ułatwić nam ucieczkę, choć twierdziła, że to niesprawiedliwe, iż jako kobieta zawsze musi czekać w samochodzie, wdychając tlenki węgla i inne szkodliwe wyziewy, podczas gdy my, mężczyźni, rozkoszujemy się elementem epickim, na co odrzekliśmy, że owszem, ma rację, ale tak już jest urządzony świat.

Rozdział siedemnasty

O pieniądzech

W samo południe dotarliśmy do bramy budynku, w którym mieściła się siedziba oliwkowej firmy. Był to czteropiętrowy biurowiec usytuowany u zbiegu Vía Augusta i nie pamiętam już jakiej uliczki w dzielnicy Tres Torres. Fasada, pokryta lustrzanym szkłem i ozdobiona elementami z nierdzewnej stali, przypominała w zetknięciu z promieniami słonecznymi to, co pragnęła symbolizować: pochodnię postępu. Myśląc o wytwórni nadziewanych oliwek, spodziewałem się zobaczyć raczej piwnicę lub chałupę, w pobliżu której będą się pasły baranki, lecz świadom, że mój obraz ojczystej gospodarki zawsze był nieco bukoliczny, nie zdziwiłem się zbyt, gdy rzeczywistość zadała kłam moim anachronicznym rojeniom. Te oraz inne myśli trafnie podsumował zgrzybiały erudyta pytaniem:

– W co my się, u licha, pakujemy, przyjacielu mój?

Na co nie wiedziałem, co odpowiedzieć, nawet sam sobie. Ale odwrót nie wchodził w grę, więc zebraliśmy się obaj na odwagę i podążyliśmy ku pałacowi.

Zanim drzwi budynku rozsunęły się uprzejmie przed nami wprowadzone w ruch fotokomórką, która dzięki swej czujności dostrzegła nas, a dzięki inteligen-

cji wydała polecenie drzwiom, miałem okazję zobaczyć w wypolerowanych taflach odbicie smutnego widoku, jaki prezentowaliśmy. Gdy szykowaliśmy się do wyjścia z domu, don Plutarquete stwierdził, że nie może stanąć przed wrogiem w piżamie podartej na strzępy, nie uchybiając tym swej godności, wobec czego Emilia spróbowała ją pozszywać, z tak niefortunnym skutkiem, iż spodnie ledwie mu teraz sięgały do pół łydki, góra zaś skurczyła się do tego stopnia, że biedny stary musiał trzymać ramiona skrzyżowane na piersi, by guziki z przodu się nie rozpiwały. Ja w moim prochowcu byłem nieco bardziej reprezentacyjny, lecz nawet najmniej spostrzegawczy obserwator zauważyłby, że nic nie zakrywało owłosionego fragmentu moich łydek między skrajem płaszczka a lakierkami wygrzebanymi przez don Plutarquete'a z dna szafy, które poza tym, że całe omszałe i zagrzybione, cisnęły mnie tak mocno, że musiałem stąpać ostrożnie, na krawędziach stóp, krygując się jak baletnica.

Takie zatem nie najlepsze wrażenie wywarliśmy na recepcjonistce obdarzonej monumentalnymi piersiami, których by się w tym momencie pewnie chętnie pozbyła, nie uważając nas za zasługujących na tak zaszczytne powitanie. Kobieta podeszła do nas, kołysząc się w biodrach, krokiem niepozobawionym stanowczości, i wskazała nam jedną ręką wyjście, machając jednocześnie drugą w stronę barczystego strażnika, by wyperswadował nam ewentualny zamiar zlekceważenia jej sugestii. Nie omieszkałem dostrzec spluwy związającej z pasa strażnika i szybko przeniósłem wzrok na apetyczny front recepcjonistki, by wykorzystać na coś miłego być może ostatnie momenty mego życia.

W tym samym czasie odezwałem się do niej tymi

słowy:

– Niech będzie pochwalony. Proszę wybaczyć, że spóźniliśmy się na spotkanie, ale kierowca jest nowy. Będzie pani łaskawa powiadomić właściciela, że już jesteśmy.

Zatrzymała się, zbita z tropu, i podrapała po karku, powodując tym gestem przesunięcie imponujących wzgórz, co zmusiło mnie do spojrzenia na spluwę strażnika, by nie zaprzepaścić od razu na wstępie przemyślnego planu, którego kamieniem węgielnym było udawanie zręczliwej pogardy dla spraw światowych cechującej magnata znużonego hołdami i przyjemnościami.

– Z kim są panowie umówieni? – zapytała po chwili.

– Rada nadzorcza, zebrana na plenarnym posiedzeniu, oczekuje naszej wizyty – powiedziałem z udawaną skromnością. – Proszę nas zaprowadzić do sali obrad, jeśli takowa istnieje.

Recepcjonistka zatrzymała wzrokiem strażnika, który stanął za naszymi plecami i pytał: Mam im przyłożyć?, po czym oznajmiła:

– Jeśli zechcą panowie wręczyć mi wizytówkę, przekażę ją panu sekretarzowi.

– Niestety, jest to niemożliwe – odparłem – gdyż na lotnisku zaginęły nasze bagaże. Śmieję się, rzecz jasna, ze straty materialnej. Najważniejsze, że pozostała w naszym posiadaniu ta oto walizeczka.

Otworzyłem od niechcienia walizkę, pozwoliłem właścicielce biustu nasycić wzrok widokiem zgromadzonych w niej pieniędzy, po czym zamknąłem ją. Gdy cerberka spojrzała na mnie ponownie, zmienił się nie tylko wyraz jej twarzy, lecz także obwód klatki piersiowej.

– Zechcą panowie pójść za mną – wyjąkała.

Wykorzystałem przejazd windą, jak to miałem ostatnio w zwyczaju, na rozmyślanie, jak potężną bronią jest pieniądz, jakież drzwi potrafi otworzyć, jakież łańcuchy zerwać, jakież uczucia zmaćcić, ileż niechęci przekształcić w dusery. Prawda jest taka, że nigdy, podczas tych wszystkich lat szwendania się po ziemskim padole, nie znalazłem się w posiadaniu tego zdrazieckiego metalu, jak nazywają go ci, którzy go nie kochają, wobec czego nie jestem uprawniony do wyrokowania o zabójczych skutkach, jakie przyznają mu ci, którzy go znają. O ambicji i skąpstwie mogę mówić, bom widział je z bliska. O pieniądzach, nie. Jak wiem z doświadczenia, służą do oszczędzania tym, którzy je mają, plugawego kontaktu z tymi, którzy ich nie mają. Z całą uczciwością wyznaję, że tego nie potępiam: my, biedacy, jeśli statystyki mówią prawdę, jesteśmy ludźmi szpetnymi, kłamliwymi, o grubiańskim obejściu, niechlujnym odzieniu, a gdy słońce przygrzeje, ździebko cuchniemy. Mamy, i owszem, pewne powody ku temu, które jednak, moim zdaniem, nie zmieniają faktów. Przy tym wszystkim pracujemy z zapałem i mamy wrodzone skłonności do dowcipu, wielkoduszności, skromności, uprzejmości i przywiązania, a nie do prostactwa, egoizmu i bezczelności, które ujawniłyby się natychmiast, gdyby nasze przeżycie nie zależało tak bardzo od podobania się innym. Myślę wreszcie, że gdybyśmy wszyscy byli bogaci i nie musieli tak tyrać, nie byłoby piłkarzy ani toreadorów, ani szansonistek, ani kurw, ani drobnych złodziejasków, życie byłoby bardziej szare, a nasza planeta smutniejsza.

Wędrowka nasza przez wysłane dywanami koryta-

rze – a ich zakręty, skrzyżowania i płataninę udało mi się wyryć w pamięci, na wypadek, gdybyśmy musieli przemierzać je w kierunku przeciwnym bez przewodnika i w pośpiechu – dobiegła kresu przed drzwiami, które w odróżnieniu od tych z wypolerowanego szkła, zamykających odcinki korytarzy wspomnianych na początku tego akapitu, zdawały się sporządzone z mahoni lub innej szlachetnej materii i nie prowadziły, o czym dane nam się było przekonać, gdy uchylono je przed nami, do sanktuarium firmy, lecz do poczekalni dla znamienitych gości, o czym świadczył przepych dekoracji obfitującej w skórzane sofy, kandelabry z brązu oraz marmurowy stół dźwigający wznoszącą się majestatycznie bazaltową oliwkę wysoką na jakieś półtora metra, zakończoną zapinką z kamieni szlachetnych, którą dłonie rzeźbiarza przekształciły w doskonałą imitację papryki i sardeli.

Palcem zakończonym spiczastym i czerwonym paznokciem, który w tym kontekście wydał mi się złowrogi, wskazała recepcjonistka jedną z sof, zachęcając, byśmy na niej spoczęli, a gdy to uczyniliśmy, zapytała o naszą godność, na co odrzekłem:

– Proszę powiedzieć panu prezesowi, że przybyli don Baranica i don Cięlecinica. On będzie wiedział.

Znikła dostojna piękność za zasłoną skrywającą zapewne drugie drzwi, gdyż w przeciwnym razie uszłelibyśmy walnięcie jej ciała o ścianę, i zostaliśmy sami, don Plutarquete i ja, z czego skorzystał ten pierwszy, by szeptem mi do ucha:

– To pułapka, drogi przyjacielu.

Już miałem mu powiedzieć, że całkowicie podzielam jego opinię, lecz że lepiej by było milczeć, na wypadek gdyby w sali znajdowały się ukryte mikrofony,

kiedy ktoś odsunął zasłonę i wszedł mężczyzna ocierający się o pięćdziesiątkę, odziany w ciemnoniebieski garnitur z kamizelką i o bezbarwnych rysach, z których warto wspomnieć jedynie o wąsiku wykreślonym tak idealnie prosto, że w pierwszej chwili pomyślałem, iż to gąsienica, co jednak szybko wykluczyłem z uwagi na niekompatybilność owej hipotezy z powagą finansisty. Dżentelmen, nieświadom moich obserwacji, podszedł do nas i podał nam rękę, już to, byśmy ją uścisnęli, już to, byśmy mogli podziwiać złoty sygnet pobłyskujący na małym palcu. Don Plutarquete i ja uczyniliśmy obie te rzeczy, a dżentelmen odezwał się:

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jestem don Santiago Pebrotines, sekretarz rady. Członkowie rady przyjmą panów natychmiast.

Po czym odwrócił się na pięcie i skierował ku zasłonie. Oglądany z tyłu wydawał się starszy, co jednak nie przeszkodziło mu unieść ręki i przytrzymać zasłonę nad naszymi głowami, byśmy mogli przejść z nienaruszonymi fryzurami do przyległej sali, prostokątnej i sporych rozmiarów. Mówiąc o „sporych rozmiarach”, mam na myśli pomieszczenie długie na sto dwadzieścia metrów, szerokie na czterdzieści i wysokie na siedem. Ściany, pozbawione okien i innych otworów prowadzących na zewnątrz, nie licząc zakratowanych paneli, przez które sączyło się z cichym pomrukiem klimatyzowane powietrze, pokryte były połyskliwym materiałem barwy starego złota lub ciasta francuskiego skąpanego w melasie; podłogę wyścielała gruba, mieniąca się wykładzina, a sufit okazał się bardzo zmyślną kombinacją fluorescencyjnych rur, wydzielających światło białawe, a w niektórych wypadkach migotliwe. Po przeciwnej stronie sali pluskał wodotrysk zabarwiony

przez wirujące reflektory na wszystkie kolory tęczy, geometryczne zaś centrum sali zajmował bardzo długi stół z laminatu lub malachitu, nie znam się na tym, przy którym zasiadało nie mniej niż dwunastu szacownych dżentelmenów; ich twarze zlewają się w mej pamięci, prawdopodobnie dlatego, że byłem wówczas ogromnie zdenerwowany. Poprzedzani przez naszego cicerone przemierzyliśmy odległość dzielącą nas od stołu obrad, przed którym przystanęliśmy i pochyliiliśmy karki na znak uległości i szacunku.

Na pozdrowienie to każdy ze zgromadzonych odpowiedział zgodnie ze swym stanem, usposobieniem i wyobrażeniem o etykiecie: jeden lekkim skinieniem głową, ów machając jowialnie otwartą dłonią, inny przybierając wyraz oschłej nieufności. Po dokonaniu tych formalności w sali zaległa lodowata cisza, przerywana melodyjnym i rytmicznym kaszelkiem lub tłumionym odchrząkiwaniem flegmy, a przez ten czas stanowiliśmy przedmiot obserwacji i osądu zakończonego z całą pewnością wyrokiem skazującym ze strony wszystkich obecnych. Po upływie chwili don Santiago Pebrotines, który nie odstąpił nas ani na chwilę, odpowiedział nam szeptem:

– Pokażcie im pieniądze, panowie, a zobaczycie, jak się ucieszą.

Otworzyłem walizeczkę i pokazałem, gestem na poły pompatycznym, na poły drwiącym, jakim prestidigitator, pokazawszy publiczności puste pudełko, wkłada do niego drogocenny zegarek użyczony, nie bez oporów, przez jednego z widzów, dorzuca dwa jajka, królika i pociętą na kawałki głowę swojego asystenta, oddaje do środka mocz, miążdzy i uciera wszystkie składniki

mieszanki, po czym ponownie otwiera pudełko i wypuszcza z niego, ku rozczarowaniu tych, co spodziewali się zobaczyć krople wstrętnego mazidła, wypuszcza, powtarzam, białą gołębicę – tak ja pokazałem pliki banknotów. Na ich widok i otrząsnąwszy się z kilkusekundowego osłupienia, wszyscy zaczęli mówić naraz, jedni krzycząc, inni jękliwie, waląc pięściami w stół i wznosząc ramiona, by zwrócić na siebie uwagę kolegów, myśląc w powszechnym rozgardiaszu tytuły własności cygar dymiących w kryształowych popielniczkach i wkładając je sobie w najmniej spodziewane otwory, rozrzucając papiery, fotokopie, bilanse, memoriały, rachunki strat i zysków, analizy finansowe, protokoły, akty i kontrakty, robiąc trąbki z najbardziej oficjalnych dokumentów i dmuchając w nie nosem we wzruszającej próbie wzbudzenia naszego rozbawienia, rozkładając na wykładzinie sztuczne gówienka z *papier-mâché*, plastikowe muchy, gumowe jaszczurki oraz inne dowcipne artykuły gwarantujące sukces towarzyski, napychając się pastylkami o najrozmaitszych kolorach, rozmiarach i właściwościach, chorując nagle na lub symulując zawał serca, dusznicę, sinicę, zakrzepicę i apopleksję, wyrzucając w górę obie nogi naraz, aby wydzielić najgwałtowniejsze gazy, i powodując w sumie tak potężną wrzawę, iż zdawało się, że sufit runie na nas, a podłoga załamała się pod naszymi stopami. Nie wiem, jak długo trwałyby jeszcze ów harmider ani czym by się skończył, gdyby w pewnym momencie nie zabrzmiał w powietrzu przesywający gwizd, który przywrócił porządek jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Rozdział osiemnasty

O władzy

Tak nagle i całkowita była cisza, która zapadła w sali, że podskoczyłem. Poszukałem wzrokiem źródła gwizdu, lecz nie znalazłem go i dopiero po chwili zauważyłem, że wszyscy członkowie rady mają głowy zwrócone w kierunku aparatu leżącego u szczytu stołu, przed pustym fotelem, do złudzenia przypominającego toster, na którego wierzchołku migotało zielone światełko. Zanim zdążyłem zwrócić się do naszego przewodnika z prośbą o wyjaśnienie, ów szepnął mi do ucha:

– Pan prezes będzie przemawiał, wysłuchajmy go z uwagą.

W rzeczy samej, członkowie rady szykowali się pośpiesznie do robienia notatek, wyciągając pióra i kalkulatory kieszonkowe, nie licząc jednego czy dwóch, którzy rozpaczliwie naciskali klawisze swoich magnetofonów.

– Oszczędności osób prywatnych – zaczął mówić toster tonem tak monotonnym i wątłym, że zlewał się z pluskiem wodotrysku – są jak nasienie, które zapłodnione przez oracza przeradza się w... – Nie dowiedzieliśmy się jednak, w co się przeradza, gdyż nastąpiła

interferencja z nadajnikiem lokalnego radia i usłyszeliśmy reklamę pasa rozgrzewającego o właściwościach higienicznych, odchudzających i podtrzymujących, po czym głos ciągnął: – ... oraz pieprzone arabskie kramy.

Wszyscy obecni wydali z siebie pomruk aprobaty, a jakiś pochlebca zaklaskał. Głos z tosteru przemówił ponownie:

– Wyczerpawszy tym samym porządek dnia i wobec braku dalszych kwestii, zamykam posiedzenie. Osobom pragnącym pozostać dłużej zostaną podane kruche ciasteczka i herbata ziołowa.

Nikt nie wstał, a niektórzy wykrzyknęli „ole” i złożyli wyrazy swojej wdzięczności, choć wszyscy marszczyli nosy, zaciskali wargi bądź wystawiali języki. Obojętny na owe jawne, choć nieme oznaki odrazy, głos dodał:

– Pebrotines, jest pan tam?

Nasz towarzysz skłonił się głęboko tosterowi i powiedział:

– Zawsze do usług. – Po czym, zwracając się w naszą stronę, szepnął: – Pan prezes raczy zaszczycać mnie swym zaufaniem.

– Pebrotines, Pebrotines – powtórzył głos. – Przyrowadź do mojego gabinetu panów, którzy zechcieli nas odwiedzić.

Rzecz dotyczyła nas. Sędziwy historyk i ja wymieniliśmy spojrzenia, w których malowało się, jak sądzę, wahanie, lecz miodopłynny Pebrotines, nie dawszy nam czasu do namysłu, dyskretnie szturchnął nas łokciem i powiedział:

– Prędko, prędko, nie dajmy czekać panu prezesowi. Za jego przykładem ruszyliśmy truchcikiem wokół stołu obrad, starając się uniknąć łap wzburzonej sfory

członków rady nadzorczej, sięgających do walizeczki i zasypujących nas propozycjami inwestycji i nabycia papierów wartościowych po okazjnych cenach, rozdzierającymi błaganiami itp. Przebyliśmy szczęśliwie odcinek dzielący nas od ściany naprzeciw wejścia, a po dotarciu do niej Pebrotines wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki perforowaną kartę i wsunął ją w szczelinę w przyściennym panelu. Panel odsunął się, odsłaniając mroczny korytarz, w który się zanurzyliśmy, a on doprowadził nas do salki lub celi o ścianach wymoszczonych materacami i oświetlonej potężnymi lampami.

– Tu się na moment zatrzymamy – oznajmił Pebrotines – aby odsapnąć, uporządkować myśli i zrewidować panów, by upewnić się, że nie jesteście uzbrojeni. Proszę zrozumieć, że chodzi o przykrą formalność, którą ludzka zła wola w naszych czasach uczyniła niezbędną. Będzie pan łaskaw rozpiąć płaszcz.

Zrobiłem to, o co prosił mnie sekretarz, a ów, widząc, że pod płaszczem jestem nagi, skomentował:

– Nie musi pan niczego wyjaśniać. Ja też, od czasu do czasu...

Po zrewidowaniu nas Pebrotines przysunął twarz do ściany i oświadczył:

– Wszystko w porządku, panie prezesie. Miast odpowiedzi, otworzyły się przed nami drzwiczki, a raczej gruba stalowa płyta, i ujrzelśmy gabinet urządzony, w odróżnieniu od wesołego i ździebko krzykliwego wystroju sali obrad, którą właśnie opuściliśmy, z prostotą zachęcającą do pracy: mahoniowe biurko z inkrustacjami z masy perłowej w kształcie żaglówek, obrotowe krzesło i dwa skórzane fotele. W niszy stukał teleks, a

pół tuzina telefonów spoczywających na kroksztynie wysyłało w regularnych odstępach czasu krótkie błyski, co w niemym języku aparatów oznacza, że ktoś na próżno usiłuje się dodzwonić. Światło było łagodne i przyćmione, a przez niewidzialny głośnik dobiegały kolędy w wykonaniu chóru chłopięcego z Montserrat.

– Zechcą panowie spocząć – szepnął Pebrotines.

Ukołysani kojącą atmosferą stworzoną w ścisłej współpracy przez pieniądze i dobry gust, weszliśmy do gabinetu, nie przypuszczając, że pakujemy się w pułapkę, gdyż ledwie przekroczyliśmy próg, drzwiczki za naszymi plecami zamknęły się z oszałamiającą szybkością, przy czym wewnątrz zostaliśmy don Plutarquete i ja, a na zewnątrz przebiegły sekretarz, którego sardoniczny chichot dotarł do nas, zanim stalowa płyta przetrwała naszą komunikację ze światem i pozostawiła nas na łasce gospodarzy, co pojęliśmy natychmiast, ponieważ choć instynktownie jęliśmy tupać w podłogę, walić w ściany i wykrzykiwać prośby, zakłęcia i groźby, odpowiedziała nam tylko złowieszcza cisza.

– Wpadliśmy w zasadzkę – zawołałem wreszcie, osuwając się na jeden z foteli – i to w najbardziej idiotyczny sposób. Odnoszę wrażenie, że mój plan nie był tak dobry, jak myślałem.

– Niech pan się nie obwinia za wszystko, co złe, przyjacielu mój – powiedział sędziwy historyk, opadając na drugi fotel. – Zrobiliśmy, co mogliśmy. Pogódźmy się z losem.

Jakby nie chcąc dopuścić, by owe pełne otuchy słowa przyniosły ukojenie memu znękanemu umysłowi, głos, który niedawno przemawiał za pośrednictwem tosteru, rozbrzmiał teraz w gabinecie:

– W mych pierwszych słowach – oświadczył – pra-

gnę powitać panów w domu, który mogą panowie traktować jak własny. Jak już zapewne panowie zauważyli, wszelka ucieczka jest niemożliwa, a wszelki opór daremny. I bardzo proszę nie palić.

– Kim pan jest? – zapytałem, kierując się do pustki.
– I czego pan od nas chce?

– To, czego chcę – odrzekł głos – ma pan między nogami. Mógłbym odpowiedzieć po prostu „walizki”, lecz z pełną świadomością użyłem tego dwuznacznego określenia, by wtrącić nutkę swobody do naszej rozmowy. Co do mej tożsamości, natury mej aktywności oraz innych zagadnień niezbędnych dla zrozumienia tej zawilej sprawy, z przyjemnością udzielę panom wyjaśnień, których oczekujecie od początku tej powieści. Zechcą panowie popatrzeć tutaj. Nie, w drugą stronę. O tak.

Zaszemrał silniczek i z sufitu zaczął zjeżdżać srebrzysty ekran. Jednocześnie na przeciwległej ścianie otworzyło się okienko i snop światła przeszył pokój, rzucając na ekran niewyraźny obraz.

– Gdy tylko Pebrotines, który ma dwie lewe ręce, wyreguluje ostrość tego grata – zapowiedział głos – rozpocznę stosowne wyjaśnienia. Och, już gotowe. To, co panowie widzą i co z pewnością rozpoznali, to fasada gmachu, w którym się znajdujemy. Budynek został zaprojektowany przez zespół architektów wykonujących moje instrukcje. Mogę dalej?

Powiedzieliśmy, że tak.

– Oto schemat organizacyjny firmy wykonany przez pewnego przestępcę, obecnie kierownika działu kadr w jednej z naszych filii. Zauważą panowie, że nadziewane oliwki są zaledwie jednym z wielu wątków naszej działalności. Ani nie jedynym, ani nie najważniejszym.

Zachowaliśmy jednak oficjalną nazwę, ponieważ pozwala nam to na uzyskiwanie kredytów dla eksporterów, a ponadto ze względów sentymentalnych, w które nie będę wnikał. Jak panowie widzą, mamy trzy spółki finansowe, jeden holding, sześć spółek developerskich, jedno towarzystwo leasingowe, jeden marketing i analizę rentowności, jedno doradztwo, jeden ośrodek geriatryczny, dwie fabryki butelkujące napoje, pewną firemkę cukrową na Karaibach, pod której szyldem udzielamy pożyczek, studio nagrań płyt, spółkę o kapitale mieszanym produkującą filmy, kantor w stolicy Andory, teren łowiecki i warsztat wielofunkcyjny. Oraz *varia*.

Teraz widzą panowie skonsolidowany bilans z trzydziestego pierwszego grudnia przyszedłego roku. Przechodzę dalej, ponieważ nie zrozumieją go panowie, a ponadto liczby zostały zmodyfikowane pod kątem fiskusa. To zaś jest wykres naszych zysków brutto, począwszy od pięćdziesiątego szóstego roku. Widzą panowie, jak pikujemy w dół, jak podnosimy się, jak utrzymujemy kruchą równowagę i jaki rozgardiasz następuje w ostatnich latach. A oto zdjęcie ze sztuki *Charlot kominiarz*, które dołączam do wszystkich projekcji, by nieco ożywić posiedzenia. Mogą panowie śmiać się do woli.

Wrogą ciszę przerwał tylko śmiech Pebrotinesa.

– Na kolejnym zdjęciu postać, która stoi tyłem – ciągnął swój opis głos – to ja, kopę lat temu, ściskający dłoń pewnego ministra po uzgodnieniu wielkiego kontraktu niezwykle korzystnego dla kraju. Proszę zwrócić uwagę, że minister zakrywa sobie twarz chusteczką.

– Pan także – zauważył Pebrotines.

– Muszę panów uprzedzić – wyjaśnił głos – że na

wszystkich slajdach, na których się pojawiaam, moja twarz jest zasłonięta jednym z tych czarnych prostokątów, które stosują niektóre kina, by usunąć ze swych reklam piersi, pochwy, napletki, odbyty, jednym słowem, wszystko, co mogłoby stanowić obrazę moralności. Tu na przykład, to znowu ja, lądujący na lotnisku w Rijadzie, w Arabii Saudyjskiej. Podróż w interesach. Zbyt późno dowiedziałem się, że na masażę lata się do Bangkoku. A w Arabii Saudyjskiej nie żartują. Co oni tam wyrabiają! Bez cienia wątpliwości, przyszłość leży w ich rękach, cokolwiek by mówić. Proszę spojrzeć, fabryka w środku pustyni. Surowce przylatują codziennie helikopterem i gniją już na miejscu. Nie wiem, jak to się dzieje, że Amerykanie nie zdają sobie z tego sprawy.

– Gdyby posłuchali pana – stwierdził Pebrotines – byłoby zupełnie inaczej.

– Teraz nastąpi seria zdjęć rodzinnych – oznajmił głos. – Nie mają nic wspólnego z naszą sprawą, ale myślę, że się panom spodobają. Ach, to dom, w którym się urodziłem. Drugie okno, licząc od lewej, to z zasuniętymi żaluzjami, widzą panowie? Kilka lat temu starałem się, by uznano go za dziedzictwo narodowe, ale w połowie załatwiania zmarł nam Jego Ekscelencja i projekt ugrzązł.

W żłobku. W tamtych czasach wszystkie dzieci były takie same. Nigdy nie dowiedziałem się, które z nich to ja. Następne proszę.

Rodzina na chrzcinach mojego młodszego brata. Mamy nie ma, bo leżała jeszcze w łóżku z krwotokiem. Ojciec chrzestny to wujek Basilio, zginął później nad Jaramą.

W łaźniach San Sebastián z moją sąsiadeczką. María

Asunción miała na imię. Pierwsza dziewczyna, którą obmacywałem w lokalnym kinie. Spotkałem ją potem w sześćdziesiątym którymś, straszna baryła się z niej zrobiła. Mężatka, czwórka dzieci. Zapytałem, czy pamięta, jak ją obmacywałem. Zaczerwieniła się i wyznała, że tak i nawet pamięta, jaki film wtedy grali. Dała mi swój adres i telefon. Wysłałem jej talon na pięć tysięcy i nie zobaczyłem jej więcej.

Dziadziuś.

W woju. Okres mego życia, który byłby całkowicie nieistotny, gdyby nie to, że pewnej nocy, podczas ostatniej warty, objawiła mi się Matka Boska.

Z moją narzeczoną, obecnie małżonką, w dniu, kiedy dostaliśmy sześćsetkę. Jeden z niewielu dokumentów ilustrujących mój przelotny związek z klasą średnią.

W dniu ślubu. Mama już nie żyje, a tatkę oddaliśmy do domu starców. Po mojej lewej stronie kuzyn Enrique, syn wuja Basilia. Wylądował w więzieniu, a później został wiceministrem handlu. Teraz mieszka w Puerto Rico.

Moja żona na plaży w Salou, bez górnej części kostiumu. Pebrotines, niech pan nie patrzy. Na panach mi nie zależy, ponieważ nie wyjdziecie stąd żywi.

– Jest pan niesamowity – zachwycił się Pebrotines. Sprawy, nie muszę chyba podkreślać, zaczęły przybierać zły obrót.

– Jestem rygorystyczny – ciągnął niewzruszony głos – ale nie okrutny. W dowód powyższego, przeskoczę debiut towarzyski córki w operze Liceo, podróż do Wenecji i korridę *à la* Goya, której miałem zaszczyt przewodniczyć. Nie chciałbym natomiast, by panowie przegapili to zdjęcie, które ma dla mnie niezrównaną

wartość sentymentalną. Zostało zrobione podczas audiencji, której udzielił Jego podówczas Ekscelencja SzeF Państwa w pałacu Pardo szesnastu biznesmenom, śmiance kraju, pod koniec siedemdziesiątego drugiego. Ja stoję zaraz po prawej stronie Jego Ekscelencji. Trudno mnie rozpoznać, wiem, a to dlatego, że w owym okresie gwiazda naszego niezwykłego Caudilla zaczęła nieco przygasać ze względu na jego zdrowie i całą szesnastką postanowiliśmy włożyć maski Myszki Miki. Caudillo, jak można się spodziewać, nieco się zdziwił, gdy weszliśmy w tym przebraniu do sali tronowej. Wyjaśniliśmy, że chcieliśmy spłatać mu niewinnego figła, świadomi jego legendarnego poczucia humoru, nadać audiencji mniej sztywny ton, żartem zmniejszyć brzemię przygniatające jego dostojne barki. Delikatną rączuchną, którą jeszcze wtedy mógł poruszać, wykonał gest, jakby chciał powiedzieć, że dobrze, że pomyśl mu się podoba. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że zrozumiał. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego szlachetnym, nieulekłym obliczu, tylko oczy zasnuły się smutkiem, owe oczy, które umiały przebiegać ścieżki historii, szukając sensu i celu losów ojczyzny, chociaż teraz rewizjoniści insynuują, że to nie on, że wszystko wymyślił Onésimo Redondo; owe natchnione oczy, powiadam, które umiały dostrzec w zamęcie, w niepewności, w nierządzie, drogę dla Hiszpanii, wypełniły się łzami. Ja stałem u jego boku, proszę spojrzeć na zdjęcie, i widziałem to. Poczujęm, że serce przeszywa mi lodowy sopel, a w gardle rośnie ołowiana kula. Dotknąłem jego przedramienia, niegdyś żelaznego, teraz skóra i kości, i chciałem powiedzieć: „niech pan nie płacze, panie generale, to nie jest zdrada; zawsze staliśmy u pańskiego boku i nie odstępimy pana, póki świat będzie

się toczył, lecz czasy się zmieniają, panie generale, i nie można odkładać pewnych rzeczy; przywiązanie nasze jest niezmiennie, lecz są sprawy, których nawet pan już nie kontroluje; szykują się wielkie zmiany; aby zachować esencję, trzeba niekiedy zmienić formę, ale proszę w nas nie wątpić, panie generale, niech pan zażąda dowolnego poświęcenia, a przyjmiemy pańską prośbę ochotczo i radośnie; niech pan zażąda od nas życia, panie generale, a oddamy je z przyjemnością; niech pan zażąda honoru, niech pan zażąda, byśmy zrezygnowali z tytułów szlacheckich, z medali, z rodziny, z domu, byśmy chwycili za broń, byśmy stanęli, z bagażem naszych lat, w okopach, na barykadach, w górskich ostępach, w morskich odmętach, byśmy cierpieli głód, pragnienie, chłód, niedostatek, choroby i niebezpieczeństwa, byśmy razili prądem elektrycznym własne jądra, byśmy zjedli własne odchody; ale niech pan nie żąda, byśmy oddali władzę, co to, to nie, panie generale, pan nas tego nauczył, pan dał nam niedościgniony przykład, niech pan teraz nie każe nam się wycofywać; to nie strach, to nie chciwość wchodzi w grę, lecz porządek rzeczy; niech pan przekazuje pochodnię, panie generale, niech pan nie zabiera władzy ze sobą do grobu”. I zrozumiał. On, zawsze mądry, silny, dziarski, wieczny żołnierz, zrozumiał; jego wargi ułożyły się w błady uśmiech, pełen odwagi i melancholii. Jego oczy obeśchły i spojrzał na nas czule jak ojciec, który patrzy na syna wyruszającego na front, po chwałę lub śmierć. Mimo że nikt nie wydał takiego rozkazu, jakby poruszeni jedną ukrytą sprężyną, zaintonowaliśmy *Miałem kolegę*. Caudillo wyprostował swe plecy kolosa i złączył swój głos z naszym chórem, Pebrotines, cholera jasna, nie widzisz, że płacze? Wytrzymaj mi nos, bo mi

wisi koza! Złączył, powiadam, swój głos z naszymi, słabiutki, zmęczony rządzeniem, i ciarki przebiegły nam po plecach, i powtórzyliśmy strofę drugi, trzeci, czwarty raz, bo Caudillo coraz bardziej zostawał w tyle i był dopiero przy pierwszej zwrotce, gdy my już śpiewaliśmy trzecią, i zamiast „kolega”, mówił „dolega” albo coś w tym stylu, ale to w niczym nie umniejszyło patosu tej chwili, Pebrotines, świntuchu, nie chowaj brudnej papierowej chusteczki do kieszeni, patosu, powiadam, graniczącego z namiętnością, z erotyzmem...

Rozdział dziewiętnasty

Na rozżarzonych węglach

– Biją dzwony – powiedział głos – dudnią tarabany, kometa przecina niebo, ślepi słyszą, niemi widzą, Duero płynie pod prąd, w Granadzie nocą odzywają się królowie Maurów, mulica urodziła młode w zapusty: wróżą zmiany. Wielkie zmiany. Pebrotines, przygotuj wideo.

Ponownie zamruczał silniczek i z podłogi wysunęła się konsola, której drzwiczki otworzyły się za pociągnięciem sprężyny, ukazując coś podobnego do telewizora.

– Japoński – poinformował głos.

Oczywiście nie byłem zainteresowany szczegółami tego rodzaju, za to i owszem, sposobem wydostania się z pomieszczenia, w wypadku gdyby, jak wieścił głos, miało się wydarzyć coś transcendentnego. Nie muszę chyba dodawać, że podczas całego tego kitu badałem teren w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć mi w razie konieczności za broń, ani że poszukiwania me okazały się jałowe, jako że nie było w gabinecie ani głupiej lampy z brązu, ani marmurowej sekretery, ani nawet obrazu w tłoczonych ramie lub innego przedmiotu, którym można by cisnąć i rozbić, przy pewnej dozie

celności i szczęścia, czyjaś czaszkę. Nie miałem też, jak przy wielu innych okazjach, kieszeni, w których, jeśli się dobrze poszuka, zawsze znajdzie się jakiś śmieć mogący w odpowiednim momencie odegrać pozytywną rolę. Mimo wszystko, jako że nie ma jak potrzeba, by wyostrzyć wyobraźnię, zacząłem przeszukiwać kieszenie mego jedynego odzienia, to jest prochowca, choć nie wierzyłem, że cokolwiek znajdę. Jakież było me zdumienie, gdy palce me natknęły się na niewielki przedmiot w kształcie prawie płaskiego prostopadłościanu, którego z pewnością tam nie było, gdy zabierałem płaszcz z mieszkania dziennikarki, ani którego ja sam tam nie włożyłem. Zastanowiwszy się, jakim sposobem rzeczony przedmiot mógł trafić w rzucone miejsce, doszedłem do wniosku, że kiedy dwa lub więcej dni temu powiesiłem płaszcz w szatni chińskiej restauracji, ktoś, najpewniej szatniarz, wsunął do kieszeni pudełko zapalek z nazwą, adresem i pochwałą lokalu, na pamiątkę lub w ramach reklamy. Wobec powyższego, postanowiłem przeprowadzić eksperyment. Otworzyłem walizkę, wyjąłem banknot pięcioletni, zapaliłem zapalniczkę i podpaliłem go. Ponieważ nie wywołało to żadnego efektu, powtórzyłem operację. Przy trzecim banknocie program telewizyjny został przerwany, a głos zapytał:

– Cóż pan robi?

– Palę banknoty, po jednym – odrzekłem. – I nie przestanę, aż zgodzi się pan na negocjacje. – Aby pokazać, że mówię poważnie, podpaliłem kolejny banknot.

– Niech pan natychmiast zostawi pieniądze w spokoju! – ryknął głos.

– Nie ma rozmów, nie ma pieniędzy.

– Jesteście całkowicie w mojej władzy!

– Tak, ale walizkę mam ja – sprecyzowałem. – A oprócz tego mam jeszcze mnóstwo zapalek.

Nastała cisza, którą wykorzystałem, by podpalić następny banknot.

– Niech pan poczeka – powiedział głos. – Porozmawiajmy.

– Porozmawiajmy.

– Czego chcecie?

– Wyjść stąd bez uszczerbku na ciele, zwrotu Marii Pandory całej i zdrowej oraz premii dla wszystkich pracowników firmy.

Ta ostatnia rzecz, jak można się domyślać, zupełnie mnie nie obchodziła, lecz w świecie negocjacji zawsze trzeba żądać trochę więcej, niż się naprawdę chce, żeby mieć podstawę do targów.

– Niech pan da mi pięć minut na przemyślenie propozycji.

– Daję panu dwie.

Po upływie jakiegoś czasu, którego nikt nie pofatygował się zmierzyć, głos powiedział:

– Dobrze. Przyjmuję pańskie warunki. Niech pan położy walizeczkę na biurku i pójďte w stronę drzwi z rękami w górze.

– A guzik. Dopóki Maria Pandora, don Plutarquete i pański sługa nie będziemy bezpieczni, nie wypuszczę walizki z ręki.

– Mogę kazać moim ludziom, żeby zabrali ją panu siłą.

– A ja mogę zacząć podpalać po pięć banknotów naraz.

– Ten facet jest szalony – wycedził jakiś głos z *offu*.

– Wolność albo popioły – powiedziałem.

– Nie tak szybko – poprosił głos. – Zaraz wydam

stosowne rozkazy. Pebrotines, niech przyniosą dziewczynę. Nie, nie tę, tamtą, którą trzymamy w sejfie. A panów proszę o cierpliwość, bo sejf otwiera się z opóźnieniem, a personel, niestety, też mam opóźniony. Czy chcą panowie, bym w tym czasie puścił wam *Emmanuelle i głupcy z Almendralejo*?

– Dobrze.

Podczas gdy na ekranie telewizora niebrzydka dziewczyna pracowicie zarabiała na swoją dniówkę, don Plutarquete przysunął się do mnie i szepnął mi do ucha:

– Nie mam do nich ani krzty zaufania.

– Ja też nie, don Plutarquete, ale proszę nie tracić ducha i robić to, co panu powiem. Mam pewien plan.

– O nieba! – wykrzyknął przezorny profesor.

Po upływie pewnego czasu stalowe drzwi otworzyły się i ktoś rzucił na podłogę spory toboł. Zanim zdążyliśmy zareagować, drzwi zamknęły się ponownie. Podbiegliśmy do tobołu i zobaczyliśmy, że to María Pandra owinięta w puchową kołdrę Emilii, która na tym etapie była już w pożalowania godnym stanie.

– Córkó moja, córkó moja – zaszlochał don Plutarquete. – Co ci łajdacy z tobą zrobili?

Pozostająca jeszcze pod działaniem środków nasennych dziennikarka chrapała w najlepsze.

– Zadowoleni? – zapytał głos.

– Bardzo – odrzekłem. – Co z naszym wyjściem?

– To bardzo proste: do gabinetu wejdzie dwóch ordynansów. Zawiążą panom oczy i wyprowadzą was z budynku. Proszę nie stawiać oporu. Na ulicy ordynansi zdejmą panom opaski z oczu, a wy oddacie im walizkę. Zgoda?

– Zgoda – przystałem, po czym szepnąłem bardzo cicho do mego towarzysza: – Ma pan tyle siły, żeby ponieść Marię Pandorę?

– Sądzę, że tak.

– To proszę ją objąć i przygotować się do biegu.

– A pan?

– Mną proszę się nie przejmować.

Stalowe drzwi odsunęły się po raz kolejny, a w przedpokoju zarysowały się sylwetki dwóch siepaczy o potężnej posturze i szerokich barach, z głowami zakrytymi spiczastymi kapturami. Stałem tyłem do drzwi, otworzyłem walizkę, zapaliłem garść zapalek i przysunąłem je do banknotów, które zajęły się tak błyskawicznie, jak tylko potrafi się zająć wyświechtany papier. Widząc, co uczyniłem, osiłki rzuciły się na mnie. Zatrzasnąłem walizkę, przytrzymałem ją tak przez ułamek sekundy, po czym otworzyłem: gęsta chmura cuchnącego dymu wypełniła gabinet.

– W nogi, don Plutarquete! – krzyknąłem. Sędziwy historyk zarzucił sobie na ramię bezwładne ciało Marii Pandory i ruszył z kopyta, podczas gdy zbiry próbowały wyrwać mi walizkę, a następnie rzuciły się na mnie. Ze zręcznością nabytą we wczesnym dzieciństwie, udoskonaloną w moim życiu obywatelskim i sporadycznie odświeżaną w domu wariatów, gdzie współmieszkanie, jak wiadomo, pociąga za sobą nieporozumienia i tarcia, kopnąłem jednego z siepaczy w pewne strategiczne miejsce, którego dokładnej nazwy przez przyzwoitość oszczędzę czytelnikowi.

– Łaa, moje jaja! – wrzasnął siepacz, mniej przyzwoity niż ja.

Drugi już chwycił mnie za gardło i podnosił w powietrze. Uścisk i dym dusiły mnie. Nie wiem, czym

skończyłaby się ta potyczka, gdyby nie to, że z umieszczonych pod sufitem dysz, których nie dostrzegłem wcześniej, lunął na nas zimny prysznic, najwyraźniej uruchomiony przez czujniki dymu. Strugi wody tryślały na wszystkie strony. Walnąłem pięścią zbira ścisającego mnie za gardło. Jako że miał obie ręce zajęte, a mokry kaptur zasłaniał mu oczy, nie bardzo mógł się obronić. Drugi zwałił się na nas, lecz zgięty wespół z bólu i bez zbytniego entuzjazmu. Grzmotnąłem go walizką w twarz i poleciał w kąt. Nie wiem, czy wszystko to wydarzyło się szybciej, niż opisuję, czy opisuję szybciej, niż się wydarzyło. Na jedno wychodzi. Tak czy owak, w budynku wyła syrena, krzyczano: pożar! pożar!, wiele głosów naraz pytało, jaki jest numer straży pożarnej; woda, w zetknięciu z przewodami elektrycznymi, powodowała zwarcia, które z kolei wzniecały kolejne pożary; listy pracowicie i elegancko wystukane przez teleks zmieniły się w ognisko; w ferworze walki zderzyliśmy się z telewizorem, którego kineskop wybuchł, czyniąc wyłom w murze, a ja. Bóg raczy wiedzieć jak, wyrwałem się wreszcie ze szponów siepacza, przemierzyłem dwoma susami przedpokój i korytarz, wpadłem do sali obrad, z której członkowie rady nadzorczej ewakuowali się, wykazując zdrowy rozsądek, i natknąłem się na don Plutarquete'a wyciągniętego na krzesło, dyszącego i biadolącego:

– Za stary jestem na takie wyścigi.

Ogłuszony ciosami, na wespół uduszony, cały mokry i z przypalonymi włosami, okazałem jeszcze tyle wytrzymałości, by dźwignąć Marię Pandorę i krzyknąć staremu ramolowi:

– Za mną, rupieciu, tu idzie o nasze życie!

Na szczęście, wszyscy najwyraźniej o nas zapomnie-

li. Alarm rozszerzył się na cały budynek, nadjechali strażacy, zalali pomieszczenia wodą z węży, rozsiekali siekierami wszystko, co stało im na drodze. Nienagabywani przez nikogo, wyszliśmy na korytarz, przebiegliśmy go aż do szybu windy i poczekaliśmy na nią. Winda oczywiście przestała działać i los nasz zawisł na włosku, lecz w tym momencie pojawiła się korpulentna recepcjonistka, która wciąż jeszcze biorąc nas za dostojnych gości, z najwyższym poświęceniem przeprowadziła nas przez dym i żar. W ślad za nią zeszliśmy krętymi i mrocznymi schodami, gdzie na jednym z półpięter udało mi się uszczypnąć ją w pupę i skąd wypadliśmy najpierw do holu, a następnie na ulicę, gdzie zebrał się tłum złożony w równych częściach z pracowników firmy i ciekawskich przechodniów rozkoszujących się perspektywą widoku zwęglonych ciał i innych atrakcji w równie złym guście.

Nie omieszkałem w całym tym zamęciu zauważyć jawnej obecności wielu radiowozów, a nie mając ochoty na spotkanie z policją z przyczyn, których nie trzeba wyjaśniać, a także naglony innymi sprawami, pożegnałem się z recepcjonistką, wmieszałem w tłum gapiów, nadal z Marią Pandorą w ramionach i don Plutarquete'em depczącym mi po piętach, i wynurzyłem się z drugiej strony, nie zwracając niczyjej uwagi.

Nie wiem, jakim cudem dostrzegłem na niezbyt odległym rogu ulicy samochód Emilii. Podążyliśmy ku niemu i wsiedliśmy, powodując lekki tłok. Na widok łachmanów, w jakie zmieniło się nasze ubranie, i plam sadzy zmieniających nie do poznania nasze twarze, Emilia zasypała nas wyrzutami i pytaniami, dając wyraz zarazem swemu oburzeniu z powodu naszego spóźnienia, jak i żywemu niepokojowi wywołanemu tym

samym.

– W swoim miejscu i czasie – powiedziałem, ucinając strumień lamentów – wyjaśnimy ci, co się stało. Teraz musimy bezzwłocznie opuścić to miejsce.

Emilia włączyła silnik i kręcąc kierownicą raz w jedną, raz w drugą stronę, kluczyła przez długą chwilę, aż stwierdziliśmy, że nikt nas nie śledzi. Wykorzystując chwilę wytchnienia, wtajemniczyliśmy Emilię w szczegóły naszych perypetii i daliśmy upust radości z powodu ujęcia cało i uratowania Marii Pandory. A jako że mimo powszechnego wesela, z mych rzęs, które nigdy nie były zbyt puszyste, a teraz właściwie odeszły w niebyt za sprawą pożaru, oderwała się wielka łza i wyślubiła bruzdę w masce skrywającej mą twarz, Emilia zapytała o powód mej troski, na co odrzekłem, że to wspomnienie poświęconej walizeczki wyciska mi łzy z ocz.

– Przestań, przestań – powiedziała na to. – Zawsze wiedzieliśmy, że te pieniądze do nas nie należą.

– To prawda – musiałem przyznać. – Ale przywiązałem się do nich.

Nie dodałem, powodowany wstydem, że kilkakrotnie uległem słabości i fantazjowałem na temat użytku, jaki bym uczynił, gdyby przeznaczenie me było inne, z kapitału, który przez tyle czasu znajdował się w moich rękach, a nawet z jego ułamka, który – jak wynikało z mych wyliczeń – wystarczyłby aż nadto na rozwikłanie, przy pomocy dobrego adwokata, prawnego galimatiasu zatruwającego mi życie, nabycie skromnego lokum, zakup odzieży i pchnięcie życia na nowe tory. Jednakże koło fortuny, poddawszy mnie takiej pokusie i zaświeciwszy tu i ówdzie światełko nadziei, zwracało mnie światu takim samym banitą, pozbawionym pie-

niędzy i ubrania, a jakby tego było zbyt mało, rozczulając się nad sobą w najwstrętniejszy sposób. Wziąłem się zatem w garść, odpędziłem mroczne myśli, westchnąłem i szturchnąłem w łeb wyciągniętą na naszych kolanach Marię Pandorę, od której ciężaru ścierpły mi pachwiny. Wkrótce odzyskałem zwykły dobry nastrój i zaczęliśmy analizować niebezpieczeństwa, które nam nadal groziły, przy czym wszyscy troje zgodziliśmy się co do tego, że w pierwszej kolejności musimy znaleźć Marii Pandorze jakieś bezpieczne schronienie, nie tylko dlatego, że stan jej wymagał odpoczynku i opieki, lecz także ponieważ wożenie jej ze sobą było uciążliwe i ryzykowne.

– Ale co z nią zrobimy? – zapytali jednym głosem profesor i Emilia.

– Już to przemyślałem – odpowiedziałem.

Rozdział dwudziesty

Bez wytchnienia

Choć słońce było jeszcze wysoko na nieboskłonie, a wszystkie zegary wskazywały godzinę mniej więcej trzecią dwadzieścia pięć, Cándida drzemała już przy swojej latarni. Ktoś jej kiedyś powiedział, że o tej godzinie istnieją możliwości zarobienia kilku peset, ponieważ urzędnicy bankowi, zakończywszy pracę, chętnie wynagradzają sobie nudy całego dnia igraszkami, które siostra moja mogła im zapewnić za niewygórowaną opłatą. Informacja ta nie była chyba jednak zgodna z prawdą, ponieważ gdy cień mój padł na ponurą uliczkę, nie było w niej żywego ducha. Cándida, którą upływ lat, wrodzona niemoc oraz całe spektrum chorób, jakimi zarażali ją nieliczni klienci, uczyniły krótkowzroczną, zauważyła, że ktoś nadchodzi, lecz ani moja rozmazana sylwetka, ani znajomy chód nie pozwoliły jej na ustalenie mej tożsamości. Wyprężyła się zatem i tak wielki wysiłek włożyła w zalotne wygięcie swego cielska, że straciła równowagę i wygrzmociła w bruk. Pobiegłem jej na pomoc i zapytałem, czy zrobiła sobie krzywdę.

– Kurde i przekurde! – odrzekła niewdzięcznica. – O mało się nie zabiłam, a to tylko ty. Skąd się wziąłeś?

Nie, lepiej mi nie mów. Wolę nie wiedzieć. Mój Boże, chyba złamałam sobie jakąś kość.

– Nic ci nie będzie, kobieto – pocieszyłem ją, ciągnąc za zniszczone i skołtunione włosy, aby pomóc jej wstać. – Kilka siniaków tylko doda ci uroku.

Otrzepała nadgryzioną przez mole spódnicę z łupin mandarynki, które do niej przywarły, odsapnęła i powiedziała oskarżycielskim tonem:

– Powiedziałeś mi, że wrócisz za kilka godzin, a minęło już kilka dni. Co by ci szkodziło zadzwonić? Gdzie są moje sztuczne rzęsy? Co robisz z twarzą pomalowaną na czarno i w ubraniu w strzępach?

– Cándida, przydarzyły mi się niewiarygodne historie – odrzekłem – ale na razie nie mam czasu na opowieści. Prawdę mówiąc, jestem w potrzebie i potrzebuję twojej...

– Gud baj.

– ... wielkodusznej i spontanicznej pomocy. Pozwól, że ci wyjaśnię: jest pewna dziewczyna...

– Jeszcześ sobie nie poszedł?

– ... która nie czuje się zbyt dobrze. I to nie z mojej winy. Ja nie mam z nią nic wspólnego, choć wyznam ci, że chętnie bym coś miał, a nawet, któż to wie?, mógłbym poprawić się dzięki jej miłości, stworzyć dom i założyć rodzinę.

Zamilkłem na chwilę, dając jej okazję do riposty, lecz nie odezwała się, z czego wywnioskowałem, że połknęła haczyk. Bo też jest moja siostra, biedny aniołek, tak łatwa do omamienia, że aż bywa to irytujące.

– Jeśli jesteś w potrzebie – powiedziała wreszcie – mam przyjaciółkę, która ma dobrą rękę i zrobi ci to po specjalnej cenie, jeśli powiesz, że przychodzisz ode mnie.

– Źle mnie zrozumiałaś, Cándida. Dziewczyna jest chora w pełnym tego słowa znaczeniu. Ściśle mówiąc, uległa wypadkowi i nie ma dokąd iść. I pomyślałem sobie, że może w twoim domu, przez kilka dni...

– Nie umrze mi w łóżku?

– Jest silna jak dąb.

– Naprawdę jest coś poważnego między wami?

– Cándida, czy ja ci kiedyś skłamałem?

– Gdzie ją masz? – zamruczała całkiem już udobruhana.

– W samochodzie, dwa kroki stąd.

Ledwie mieściliśmy się w klitce stanowiącej domostwo mej siostry, a atmosfera, sama w sobie nasycona niewielką ilością tlenu, stawała się coraz bardziej duszna, co z pewnością nie mogło wyjść na dobre Marii Pandorze, której w dodatku moja siostra nie szczędziła głośnięć, przytulań, całusów i innych karesów.

– Ajajajaj – mówiła mi przy tym – aleś sobie laskę wyszukał.

Profesor i Emilia spoglądali na mnie koso. Puściłem do nich oko, by dać do zrozumienia, że musiałem podać siostrze jakiś argument, lecz nie rozumieli lub nie chcieli zrozumieć, wobec czego powiedziałem:

– Nie traćmy więcej czasu i spróbujmy znaleźć wyjście z tej matni. Zadaliśmy nieprzyjacielowi potężny cios, który jednak nie tylko nie zniweczył jego szatańskich możliwości, lecz wręcz przeciwnie, podżegł jego gniew. Nie ulega wątpliwości, że przejęcie pieniędzy stanowiło część planu. Nic jednak nie każe nam sądzić, że ich utrata przeszkodzi w wykonaniu tego ostatniego. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy o włos od odkrycia owego planu, a tym samym od okazji do udarem-

nienia go. Tylko w ten sposób, przypominam wszystkim, usuniemy niebezpieczeństwo, które zagraża nam bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie mówię, że nie masz racji co do tego ostatniego – stwierdziła Emilia – ale nie sądzę, byśmy byli tak blisko odkrycia, co to za plan, kiedy zostanie wykonany i gdzie.

– W katakumbach bezimiennych zmarłych – powiedział grobowy głos za naszymi plecami.

Odwróciliśmy się wszyscy tak gwałtownie, że akrobacja ta wykonana na niewielkiej przestrzeni zakończyła się zbiorowymi potknięciami i bolesnymi upadkami. María Pandora usiadła na łóżku i choć wpatrywała się w nas przestraszonym wzrokiem, co zresztą nasz widok w pełni usprawiedliwiało, było oczywiste, że nas nie widzi. Powiedziałbym, że pomknęliśmy do jej wezłowania, gdyby wymiary pomieszczenia pozwalały na taki wyczyn. Wstrzymałem don Plutarquete'a, który szykował się do zaimprovizowania jakiegoś banału, i przepuściłem Emilię, która zajęła się dziennikarką, odzywając się do niej w te słowa:

– María, poznajesz mnie? To ja, Emilia.

Przyglądziła jej włosy, pogłaskała po policzku i zaczęła obcałowywać, co przerwałem dyskretnym kasłaniem, gdy pieszczoty te przestały pełnić funkcję terapeutyczną i nabrały charakteru migdalącego. Emilia wyprostowała się i ciągnęła:

– Nie musisz się niczego bać, María. Jesteś wśród przyjaciół, w bezpiecznym miejscu. A co więcej, w ciąży.

– Ja pierdołę, kurwa – powiedziała María Pandora. – Chujowo.

– Już wraca do siebie – oznajmiła Emilia.

– Zapytaj, kto jest ojcem – poprosił sędziwy historyk.

– Najpierw zapytaj ją, o co chodzi z tymi katakumbami – poprosiłem ją.

Emilia powtórzyła moje pytanie, lecz dziennikarka ograniczyła się do wypowiedzenia kilku soczystych kwestii, po czym ponownie zapadła w śpiączkę.

– Nic więcej z niej nie wyciągniemy – stwierdziła Emilia.

– No, subtelna to ona nie jest – dodała moja siostra, patrząc na mnie z niejakim zniechęceniem.

– To lekarstwa – wyjaśniłem, po czym, siadając na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, gdyż wymiary pomieszczenia nie pozwalały na inną pozycję, oparłem czoło na kolanach i przybrałem wygląd człowieka zrozpaczonego.

– Czemuż to traci nam pan ducha właśnie teraz, przyjacielu mój? – zapytał wiekowy historyk, pochylając się nade mną.

– Ponieważ – odrzekłem – byliśmy o krok od otrzymania niezwykle cennej informacji, lecz musimy obejść się smakiem.

– Proszę nie przekreślać wszystkiego tak pochopnie – pocieszył mnie profesor. – To prawda, że mało wiemy, lecz nie tak mało, by dzięki odpowiedniej bibliografii nie udało się nam poznać prawdy.

Domówiwszy tych słów, powstał, wyprężył pierś i rzekł do mojej siostry:

– Wytworna panno, czy pozwolisz mi rzucić okiem na swoją bibliotekę?

Przytłoczona jego napuszoną postawą Cándida porzuciła swe wrodzone sknerstwo i wręczyła mu powieść w obrazkach zatytułowaną *Żarłoczny omułek*

oraz folder zachwalający zalety odżywcze skrobi autorstwa doktora Flatulina Regoldosa.

– Nie wykluczam, że to nie wystarczy – powiedział sędziwy historyk z podziwu godnym taktem. – Przyjacielu mój, czy mógłby pan udać się do księgarni i nabyć mapę oraz przewodnik turystyczny?

Pełen powątpiewania wyszedłem na Ramble i podwędziłem z kiosku mapę drogową oraz przewodnik po muzeach i zabytkach Katalonii. Gdy wręczyłem je profesorowi, poprosił nas o ciszę i pogrążył się w lekturze owych materiałów. Po kilku minutach zaszczębiotał:

– Eureka!

Podbiegłem do niego, a on pokazał mi w przewodniku stronę z opisem muzeum fałszywych klejnotów, prywatnej pinakoteki otwartej dla publiczności we wtorki od piątej do siódmej, romańskiego klasztoru oraz iberyjskich ruin obfitujących w kości i czerepy. Ktokolwiek redagował ów tekst, nie przejawiał zbytniego entuzjazmu dla żadnej z owych mekk kultury. Już miałem powiedzieć profesorowi, że nie dostrzegam w tym nic ważnego, gdy wzrok mój padł na akapit poświęcony klasztorowi, o następującej treści: „...wykopaliska zainaugurowane przez rząd Katalonii ongiś, w latach trzydziestych, być może z myślą o profanacji miejsca, nie doprowadziły do odkrycia katakumb, które tradycja wiąże z ową banalną budowlą. Późniejsze próby finansowane przez fundację Forda nie przyniosły lepszych rezultatów, w związku z czym przerwano prace. Archiwolty krużganków pozbawione są wszelkiego...”.

– Mistrzu – wykrzyknąłem. – Czy sądzi pan, że jesteśmy na właściwym tropie?

– W nauce – oznajmił autorytatywnie don Plu-

tarquete – nigdy nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca. Ja jednak ośmieliłbym się twierdzić...

– A gdzie się mieści ów klasztor? – zapytałem pośpiesznie, widząc, że zanosi się na dłuższą przemowę.

– W miasteczku Sant Pere de les Cireres, któremu użył imienia, bynajmniej nie chwalebne. Proszę mi podać mapę drogową.

Zlokalizowaliśmy miasteczko na mapie i obliczyliśmy, że dojedziemy tam w trzy godziny, jeśli tylko autostrada nie będzie zapchana.

– W drogę więc! – krzyknąłem, odmłodzony. Było jasne, że Emilia musi nam towarzyszyć, jako że samochód należał do niej i tylko ona umiała prowadzić i posiadała stosowne uprawnienia, wobec czego Cándida musiała zostać u wezłowania Marii Pandory. Obawiałem się, że odmówi pod pretekstem, iż spowodowałoby to znaczny uszczerbek dla jej interesów, lecz się myliłem.

– Kiedy w telewizji jest mecz – wyjaśniła – klienci znikają jak kamfora.

Przypomniałem sobie, nie bez żalu, że tego wieczoru będzie transmitowane spotkanie Hiszpania-Argentyna. Może innym razem, pomyślałem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wszystko idzie w górę

Jako że autostrada była pusta, samochód cudownie sprawny i szybki, a Emilia potwierdziła swą reputację doświadczonego kierowcy, choć wyczerpana emocjami dnia, nocą, podczas której prawie nie zmrużyła oka, oraz wysiłkiem i niebezpieczeństwem sprzed kilku godzin, kilkakrotnie przysnęła, co o mało nie położyło kresu naszym perypetiom, pierwsza część podróży upłynęła nader przyjemnie. Dzień chylił się ku końcowi, ostatnie promienie słońca podkreślały świeżą zieleń powłóczystych pól, szynkową czerwień ziemi i ascetyczną szarość dalekich gór, których szczyty tonęły we mgle. To sielankowe tło przywróciło pogodę ducha całej naszej trójce, a w szczególności don Plutarquete'owi, który nie opuszczał miasta od wielu lat, a teraz nie wierzył własnym oczom.

– Ależ się zmienił ten krajobraz – powtarzał co kilka minut. – Na przykład trzydzieści lat temu nie było tu tej akacji. I jaka piękna droga. Nie musimy niczego zazdrościć żabojadom.

Na szczęście padł ofiarą przypadłości dręczącej wielu podróżników i zasnął na krótko przed tym, jak dojechaliliśmy do pierwszej bramki. Emilia, korzystając z

okazji, poprosiła, bym dokończył opowieść o losach mej pierwszej miłości, którą rozpocząłem w konfesjonale materaca nie dalej jak tego ranka.

– Życie nas rozdzieliło – powiedziałem.

– To banalna, przebrzmiała i nieprawdziwa wymówka – stwierdziła Emilia.

Pokazałem jej, że trzeba zatankować paliwo.

– Widzę – skwitowała – że nie chcesz mówić. Nie mnie oskarżać cię o tchórzostwo. Każdemu z nas trudno przyznać, że w pewnym niemożliwym do powtórzenia momencie postawiliśmy wszystko na jeden obrót ruletki, nie zapytawszy najpierw o reguły gry. Ja też sądziłam, że życie jest inne. Potem znowu gramy, raz wygrywając, raz przegrywając, ale nic już nie jest takie samo: karty są znaczone, kości sfałszowane, żetony wędrują z kieszeni do kieszeni. Życie jest takie i nie ma sensu oskarżać je *a posteriori* o niesprawiedliwość.

Zapytałem, czy chciałyby wyjść za mnie. Powiedziała:

– Chyba masz rację.

– W czym?

– Ze trzeba zatankować.

Skręciła tak gwałtownie, że o mało nie pozostawiłem zębów na dźwigni zmiany biegów, i wjechała w drożkę prowadzącą do stacji, gdzie wdała się w techniczną dyskusję z pracownikiem o twarzy obwiesia. Wykorzystałem postój, by wstąpić do toalety, a przy okazji buchnąć z automatu pół tuzina gum do żucia, które osłodziły nam resztę podróży, zajmując zarazem szczęki.

Była już głucha noc, gdy dotarliśmy do Sant Pere de les Cireres. Ostatni odcinek składał się z samych podjazdów, zakrętów i okrzyków strachu. Pięliśmy się

stromą, krętą i mroczną drogą, wiodącą w głąb gór dzikich, bezludnych i mglistych. Miasteczko posiadało jedną tylko ulicę, biegnącą w poprzek zbocza i w dodatku mocno nachyloną. Domy były z kamienia i sprawiały wrażenie niezamieszkanym. Wiatr niósł z bardzo daleka zapach bydła i spalonego drewna, a także synkopowe szczekanie psa. Niczym nieosłonięte żarówki zwisające z kabli rozciągniętych między dachami, miotane wiatrem na wszystkie strony, rzucały popielate światło, a zrodzone przez nie ulotne cienie wiorowały w strzępach mgły.

– Zwróćcie państwo uwagę – skomentował don Plutarquete – ileż malowniczych zakątków kryje się w naszym kraju.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na te banały, zaparkowaliśmy samochód przed gospodą i weszliśmy do środka, zapytać o drogę do klasztoru. Za barem nie było nikogo, a na nasze okrzyki odpowiedział głos z zaplecza, zachęcający, byśmy przeszli dalej. Odsunęliśmy zastonę wykonaną z kapsli po piwie San Miguel i znaleźliśmy się w sali o klasycznych proporcjach, w której królował telewizor ustawiony na podwyższeniu przykrytym katalońską flagą. Właściciel gospody ustawił krzesła w półokręgu przed telewizorem.

– Proszę wybaczyć, że nie obsłużę państwa – powiedział – ale muszę przygotować widownię, zanim przyjdą.

– Kto przyjdzie? – zapytałem.

– *Collons* – zaklął po katalońsku. – No, ludzie.

– I codziennie ustawia pan to, a potem demontuje?

– W turystach najbardziej mnie męczy to, że trzeba im wszystko wyjaśniać – uczynił socjologiczne spostrzeżenie właściciel gospody. – Niech szlag trafi tego,

kto wymyślił turystykę. Państwo skąd jesteście?

– Z Barcelony.

– Ci są najgorsi: ci z Barcelony. I Francuzi. Najgorsi.

– Pozwoli pan, że pomożemy mu z krzesłami – powiedziałem.

We czwórkę szybko ustawiliśmy widownię. Właściciel gospody obejrzał dzieło z jawnym zadowoleniem.

– Najgorsze, oprócz Francuzów i barcelończyków, jest dzwiganie telewizora – zwierzył się nam. – Państwo nawet nie wiecie, ile on waży. Wcześniej miałem czarno-biały, który ważył mniej. Ale ten, kolorowy, waży dwa razy tyle. Chodźmy, zapraszam państwa na piwo za to, żeście mi pomogli.

Przeszliśmy do baru, otworzył piwo, nalał go po brzegi do trzech maleńkich kieliszków do jerezu, a sam wypił resztę z butelki.

– Na zdrowie, na zdrowie – powiedzieliśmy chórem.

– Normalnie telewizor stoi tutaj, na półce – powiedział właściciel gospody, odpowiadając na pytanie zadane pół godziny temu. – Każdy, kto przychodzi i coś zamawia, może pooglądać sobie za darmo. Kiedy nadają coś specjalnego, troszkę podwyższam ceny. Myślę, że tak jest sprawiedliwie.

– Jak najbardziej – potaknąłem.

– Ale dzisiaj, skoro mecz jest o drugiej nad ranem, pomyślałem, że zrobię spektakl z kolacją. Po dziesięć baniek od osoby i nie uwierzycie państwo, ale już wszystkie stoliki są zarezerwowane. O wpół do jedenastej zaczynam podawać: zupka z literkami, kiszka i słodki twarożek. O dwunastej lampeczka szampana. Potem płyty na życzenie. A o drugiej, mecz. Kto nie

zapłaci za kolację, nie ogląda meczu. Myślałem, żeby zamówić u listonosza czapki i trąbki, ale małżonka mi powiedziała: Miquel, nie komplikuj sobie życia. Tak że żadnych głupot.

– Dlaczego nadają mecz o drugiej nad ranem? – zapytał don Plutarquete.

– Bo transmitują go przez satelitę skądś tam. Pewnie z Francji.

– A kto gra? – zapytał jeszcze don Plutarquete, który jak zwykle nie wiedział, na jakim świecie żyje.

– Reprezentacja narodowa z jakimiś gnojkami. Jeśli chcą państwo zjeść kolację i obejrzeć mecz, mogę przygotować stolik. To będzie po piętnaście baniek od osoby.

– Przed chwilą było po dziesięć.

– Teraz sprzedają na rynku wtórnym. Trzy miejsca?

– Nie, dziękuję bardzo – powiedziałem. – Tak naprawdę przyszliśmy zapytać, jak dojechać do klasztoru. Jesteśmy fotografami i chcemy zrobić reportaż.

Oczy oberżysty zmrużyły się w dwie wąskie szpar-ki, w których iskrzyła się nieufność.

– Jest noc – powiedział – i mgła.

– Mamy sprzęt elektroniczny – oznajmiłem.

– Niektórzy to potrafią się urządzać – stwierdził, wzruszając ramionami. – Ja sugeruję, żeby państwo tam nie szli. Nie posłuchacie, to nie będzie moja wina.

– Dlaczego odradza nam pan wizytę w klasztorze? – dociekałem.

– Słuchaj pan, ja nie odradzam ani nie doradzam. Jestem właścicielem tej gospody. Ubiegłego lata było tutaj, dokładnie w tym miejscu, gdzie państwo stoicie, kilku Francuzów. Trzech chłopców i dwie dziewczyny. Była noc taka jak ta. Uparli się, żeby iść do klasztoru.

Może we Francji nie mają klasztorów. Albo byli naćpani. Wiadomo, jak to jest z Francuzami. W każdym razie nie posłuchali tego, co się im powiedziało. Nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy. Ja nic nie insynuuję. Opowiadam to, co się zdarzyło. Tu się urodziłem i tu mieszkam. Jestem nieuczony i przesądny. I za żadne skarby świata nie poszedłbym w taką noc do lasu. Państwo zrobiecie, jak zechcecie.

Profesor, Emilia i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za ostrzeżenie – powiedziała Emilia w imieniu całej trójki – ale chcielibyśmy się dowiedzieć, jak dojechać do klasztoru.

– Macie samochód? – zapytał oberżysta.

– Tak.

– To jakbyście go nie mieli, bo trzeba iść na piechotę. Pójdźcie państwo tą ulicą do końca i zobaczycie ścieżkę, która biegnie w górę. Idźcie nią aż do drewnianego mostu. Za mostem ścieżka się rozwidla. Skręćcie w prawo i dalej do góry. Tak czy owak, przy takiej mgłę, zaraz się zgubicie. Gdybyście w połowie drogi zmienili zdanie i chcieli wrócić na kolację i na mecz, to będzie po dwadzieścia baniek od głowy.

Podziękowaliśmy gospodarnemu oberżyście i, nie zwlekając, ruszyliśmy w drogę. Na początku szło się nam nieźle, ponieważ zbocze było łagodne, a widoczność w miarę dobra, lecz powoli wzgórze stało się bardziej strome, a mgłą zgęstniała. Zaczęliśmy wpadać na pnie drzew, potykać się o kamienie i korzenie i zapadać w dziury i błoto. Na szczęście przekleństwa, które co chwila wyrzywały nam się z ust, nie pozwoliły nam się pogubić, co z pewnością miałyby fatalne skutki. Na naszą korzyść działała też sprawdzona prawidłowość, że z upływem lat góry nabierają stożkowatego kształtu,

co gwarantuje każdej osobie idącej pod górę, że dotrze kiedyś na szczyt, jeśli tylko nie złamie sobie wcześniej karku.

Nie wiem, ile czasu spędziliśmy, brnąc przed siebie na oślep we mgle, gdy biedny historyk, którego wiek odezwał się wcześniej niż zawiodła determinacja, sapnął za moimi plecami po raz enty i szepnął:

– Już nie mogę. Idźcie dalej sami, ja zostanę tu na noc.

Próbowałem dodać mu sił, mówiąc, że klasztor nie może znajdować się zbyt daleko i że jeśli zostanie tutaj, zjedzą go dzikie zwierzęta, których z pewnością nie brakuje w tej diabelskiej głuszy. Perswazje me nie uczyniły jednak wyłomu w jego uporze i nie jest wykluczone, że nie ruszyłby się stamtąd o krok, gdyby w tym samym momencie Emilia, nie biorąca udziału w rozmowie i wyprzedzająca nas o spory kawałek, nie wydała przeraźliwego okrzyku, który ściął nam krew w żyłach i sprawił, iż ze zdwojonymi siłami pomknęliśmy jej na pomoc.

Dzięki jękom, w które po chwili przerodził się ów krzyk, znaleźliśmy ją bez trudu. Tuliła się do drzewa i trzęsła od stóp do głów. Zapytaliśmy, co się stało.

– Nic – powiedziała. – Nic się nie stało.

– Dlaczego krzyczałaś? – zapytałem. Milczała przez chwilę.

– Głupstwo – powiedziała. – Zdawało mi się, że zobaczyłam we mgle ludzi.

– Wycieczkowiczów?

– Nie...

– Na Boga, wyrażaj się jaśniej. Jakich ludzi? Ilu?

– Wielu. Długi rząd. Odziani na biało... jak duchy.

Może się myłę. Może to była tylko mgła...

– Widzieli cię?

– Nie wiem. Mieli zakryte twarze. I śpiewali coś, chórem. Ostatni nieśli...

– Co? – zapytaliśmy jednym głosem, profesor i ja, widząc, że wzbrania się dokończyć.

– Trumnę. Albo tak mi się wydawało.

Już miałem zaproponować, byśmy wrócili do gospody i odłożyli na lepszą okazję nasze przedsięwzięcie, gdy sędziwy historyk wybuchnął śmiechem i stwierdził:

– Szanowna panno Trash, proszę nie ulegać nastrojowi otoczenia. W tym, co pani widziała, nie ma nic nadnaturalnego. Gdyby przyjrzeni się państwo uważniej mapie, zobaczyliby, że znajdujemy się nieopodal granicy. Przypadkiem natknęła się pani na kontrabandzistów. Idę o zakład, o co tylko zechcecie, że owa domniemana trumna zawiera wyłącznie zastawę z duraleksu, artykuły gospodarstwa domowego i kilka kompletów rajstop kryształek.

Powstrzymałem się od wygłoszenia własnej opinii na ten temat i podjęliśmy marsz w górę, spięci paskiem prochowca i troczkiem od piżamy don Plutarquete'a. Ja otwierałem pochód i trzymałem pasek za jeden koniec. Za mną szła Emilia, z drugim końcem paska w jednej dłoni i z jednym końcem troczka w drugiej. Pochód zamykał sędziwy historyk, ściskając jedną dłońią drugi koniec troczka, a drugą podtrzymując spodnie. Metoda ta znacznie spowolniła nasz marsz, nie mówiąc o tym, że wiatr rozwiewał mi poły prochowca, a chłód i wilgoć przenikały wstydlive części mego ciała.

Rozdział dwudziesty drugi

Pobożne towarzystwo

Stok był niemal pionowy, a mgła tak gęsta, jakbyśmy znaleźli się w zadzie krowy. Usłyszałem wołanie Emilii, a gdy cofnąłem się do niej, pokazała mi za całe wyjaśnienie troczek od pizamy: zgubiliśmy don Plutarquete'a. Wróciliśmy po własnych śladach i znaleźliśmy go wyciągniętego na ziemi, ze spodniami wokół kostek.

– Tym razem – wydyszał – sprawa jest poważna. Nie ruszam się stąd, choćby mnie mieli zabić. Trudno.

– Don Plutarquete – powiedziała Emilia – doszliśmy do tego miejsca razem i razem dotrzemy do końca tej przygody. Niech pan wstanie, podciągnie spodnie i oprze się na moim ramieniu.

– Ależ nie mogę się zgodzić... – zaprotestował opadły z sił erudyta.

– Milczże pan, do diabła – powiedziała Emilia. I nie mówiąc więcej ani słowa, ugięła kolana, wsunęła jedną rękę między sflaczałe uda profesora, a drugą pod jego bark i zarzuciła go sobie na ramię, jak worek kartofli. Zaoferowałem jej pomoc, odmówiła i podjęliśmy wspinaczkę. Nie sądzę, byśmy daleko zaszli, gdyby nagle nie rozległ się we mgle przytłumiony głos dzwonów.

– Klasztor! – zawołał don Plutarquete.

Nadstawiliśmy uszu, by ustalić, skąd dochodzi dźwięk, i stwierdziliśmy zgodnie, że klasztor musi stać na prawo, nieco w górze i w niedalekiej odległości od punktu, w którym się znajdujemy. Ruszyliśmy w drogę ze zdwojonym entuzjazmem i po wielu perypetiach orograficznych, bez znaczenia dla naszego tematu, ujrzelśmy, między strzępami mgły, omszałe mury kamiennego gmaszyska, którego kontury ginęły w nie-sprzyjających warunkach atmosferycznych. Teren stał się płaski i miękki, a dokładniejsze badanie ujawniło, że depczemy po grządkach pomidorów.

– Klasztorny warzywnik – powiedziała Emilia, zrzucając starca na spulchnioną glebę.

Dzwony przestały bić i otoczyła nas grobowa cisza. Dotarliśmy oto do mety naszej podróży i nie wiedzieliśmy, co robić dalej. Nie wykluczaliśmy możliwości, że klasztor przestał służyć zbożnym celom i przekształcił się w kryjówkę szatana i jego wraźych hufców i że znalazłszy się w nim, wejdziemy prosto w paszczę lwa. W pamięci mieliśmy także prorocze słowa oberzysty. Odbyliśmy krótką naradę i to don Plutarquete dokonał z właściwą sobie przenikliwością zwięzłej syntezy sytuacji.

– Alternatywa jest jasna – powiedział. – Albo sprawdzamy, co piszczy w klasztornej trawie, albo wracamy. Ja głosuję za tym pierwszym.

Ścisnął spodnie od piżamy troczkiem i ruszył w stronę furty. Emilia i ja, zachęceni przykładem, poszliśmy w jego ślady. Pociągnął nieulekły erudyta za sznur zwisający z nadproża i w gmaszysku odezwał się radośny dźwięk dzwonka. Oczekiwaliśmy, cali drżący, na nadejście furtiana, a gdy już uznaliśmy, że nic takiego

nie nastąpi, uchyliło się okienko w bramie i wyjrzała przez nie pergaminowa twarz słabo oświetlona pełgającym płomykiem świecy.

– Niech będzie pochwalona przeczysta Maryja – powiedział głos. – Czego sobie państwo życzą?

– Bez grzechu poczęta – odrzekł don Plutarquete. – Chcemy wejść.

– Jesteśmy z Katalońskiego Centrum Wycieczkowego – dodałem, by nadać większego prawdopodobieństwa naszej obecności w tym miejscu o tej porze. – Zgubiliśmy się w górach. Gdyby zechciał pan, przez litość, wpuścić nas na chwilkę, aż przejdzie mgła...

– Mgła nie podnosi się przez cały rok – stwierdził sucho furtian – ale myślę, że mogą państwo wejść i odpocząć.

Zamknął się wizjer, zgrzytnęły łańcuchy i zaskrzyphiała uchylana brama.

– Witajcie w siedzibie Pańskiej – powiedział furtian.

Spostrzeżliśmy, że jest to miniaturowy staruszek, który musiał wspiąć się na taboret, żeby dosięgnąć okienka. Sień była całkiem ciemna, nie licząc świecy, którą furtian odstawił do kamiennej niszy. W jej wątłym świetle ledwie można było zobaczyć strop.

– Piękny dom – powiedziałem.

– Klejnot sztuki preromańskiej – poinformował nas furtian. – Niestety, zachowany w bardzo złym stanie. Kamień sypie się, gdy tylko nań spojrzeć, a belki runą nam na głowę w najmniej spodziewanym momencie. Gdyby zechcieli państwo uczynić skromny datek, pokazałbym przepiękne freski w kaplicy.

– Wolelibyśmy najpierw porozmawiać z ojcem przeorem – powiedział don Plutarquete.

Furtian nie okazał zaskoczenia tą prośbą.

– Wielebny ojciec przeor przyjmie państwa z radością. Panowie zechcą pójść za mną. Panienska nie może przejść dalej, ponieważ jest w spodniach.

– Panienska ma dyspensę biskupa od noszenia spódnicy ze względów zdrowotnych – oznajmiłem.

– Czy ma także dyspensę od noszenia stanika?

– Ma ogólną dyspensę.

– Jego Eminencja z pewnością wie, co robi. Proszę łaskawie tędy.

Podniósł do góry świecę i ruszył, a my za nim, w labirynt mrocznych korytarzy, smaganych podmuchami wilgotnego powietrza, z niszami po obu bokach, w których zalegał kurz i gruz, a gdzieniegdzie leżały ludzkie czaszki. Nasze kroki rozbrzmiewały pod sklepieniem i w załomach korytarzy, a gdy odzywaliśmy się, głębokie echo otaczało nas i przejmowało strachem.

– Czy dużo ludzi odwiedza klasztor? – zapytałem furtiana, bardziej po to, by przełamać zapadłą ciszę niż z zainteresowania statystyką.

– Kiedy? – zapytał furtian.

– W ciągu roku.

– Nie wiem.

Postanowiłem dać spokój trywialnościom. Nasz przewodnik zatrzymał się nagle przed niewielkimi drzwiami i dyskretnie zapukał. Jakiś głos odpowiedział coś niezrozumiałego, a furtian otworzył drzwi i wsunął głowę do środka. Usłyszałem, jak mówi:

– Kilku wycieczkowiczów prosi o schronienie: dwóch mężczyzn i jedna panna bez stanika.

– Niech wejdą – powiedział chropowaty głos.

– Proszę wejść – zaprosił nas furtian, usuwając się na bok.

Weszliśmy do celi kwadratowej i niezbyt dużej, o

nagich, pobielonych wapnem ścianach. W kącie stało polowe łóżko, a pośrodku prosty stół, za którym zasiadał stary mnich czytający opasłe tomisko w bladym świetle kaganka. Ojciec przeor, gdyż nie ulegało wątpliwości, że to z nim mamy do czynienia, podniósł głowę znad lektury, odesłał gestem furtiana i pokazał nam, byśmy podeszli, co uczyniliśmy z przyjemnością, jako że jego dobroduszny wygląd i ascetyzm otoczenia rozwiały nasz niepokój.

– Proszę czuć się jak we własnym domu – zaczął ojciec przeor. – I zechcą państwo wybaczyć furtianowi jego maniery. To dobry człowiek, ale z wiekiem nieco zgorzkniał. Trzymam go jako furtiana, ponieważ jedynie on zachował w miarę dobry słuch. Poza tym nieczęsto mamy gości. Widzą państwo, że nie mogę nawet zaferować wam krzesła, chyba że zechcecie przysunąć do stołu moje skromne łóżko.

– Nie chcielibyśmy sprawiać wielebnemu ojcu żadnego kłopotu – powiedziałem.

– Kłopotu? Wręcz przeciwnie. Nic, co nieco ożywi monotonię naszego życia, nie jest kłopotem. Nie powinienem tak mówić, ale wyznam państwu, że stałem się dość frywolny. Siedemdziesiąt dwa lata spędziłem na modłach i medytacji i niekiedy myślę, że odrobina zabawy wcale by nam nie zaszkodziła. Żyjemy w takim odosobnieniu...

– Ale z pewnością mają ojcowie kontakt z ludźmi z miasteczka – zauważyłem.

– Nie. Oni mają własną parafię, a poza tym jeśli mnie pamięć nie myli, podejście do nas jest strome. A pamiętam je z czasów, kiedy wstępowałem do klasztoru i byłem młody.

– Kto zaopatruje ojców w żywność i ubranie?

– Żyjemy z tego, co da warzywnik, a daje coraz mniej, bo już nikt z nas nie ma siły, by go uprawiać. I sami cerujemy i łatamy nasz przyodziewek. Habit, który mam na sobie, dostałem w Ávili w dniu złożenia ślubów. Nigdy nie nosiłem innego. Teraz zaczął się rozpadać, ale z drugiej strony ja też już niebawem w proch się obrócę. Zobaczmy, kto z nas przetrzyma drugiego.

– Ilu mnichów liczy wspólnota? – zapytałem.

– Wczoraj wieczorem było nas dziewiętnastu. Z racji wieku nie ośmielę się ująć tego inaczej.

– Sami mężczyźni? – zapytała Emilia.

– Sami mężczyźni – przytaknął ojciec przeor pobłażliwym tonem.

– I żadnego młodzika? – zapytał don Plutarquete.

– Najmłodszy jestem ja, a jeśli mnie pamięć nie myli, mam jakieś osiemdziesiąt siedem lat. Jesteśmy ostatnią redutą zakonu pochodzącego z okresu, gdy wzniesiono ten klasztor. W zamierzchłej przeszłości zakon był liczny, a jego hospicja wznosiły się wzdłuż całego szlaku świętego Jakuba. Gdy zmalała liczba pielgrzymów, zmniejszyła się też liczba powołań.

– A tych dziewiętnastu mnichów, czy zawsze mieszkali w klasztorze?

– Nie. Z dwudziestu trzech, którzyśmy tu mieszkali, gdy wstąpiłem do klasztoru, zostało tylko dwóch. Pozostali przybyli z innych klasztorów. Uznano, że lepiej nam będzie pod jednym dachem. Z dziewięciu czy dziesięciu istniejących jeszcze klasztorów ściągnięto trzydziestu mnichów i przysłano tutaj. Wydarzyło się to niedawno. Nie dalej niż czterdzieści lat temu.

– Co się stało z opustoszałymi klasztorami?

– Nie wiem.

– Przecież klasztory te i ich ziemie są własnością zakonu – zauważył don Plutarquete.

– Zakon nic nie posiada na własność. Klasztory pobudowano w górach, a góry nie należą do nikogo.

– Czy jest ojciec pewny – nalegał sędziwy historyk – że nie zachowały się gdzieś księgi z aktami własności?

– O ile wiem, nie. Ale jeśli chciałby pan poszperać w bibliotece, bardzo proszę, pod warunkiem, że obieca pan nie zrobić krzywdy myszkom Bożym.

Nie bardzo rozumiejąc sens pytań don Plutarquete'a, obrałem nową linię ataku.

– Czy to prawda – zapytałem – że w klasztorze są nadzwyczajne katakumby?

– Och, nie – powiedział z uśmiechem ojciec przeor.
– To tylko legenda. Niedawno, za czasów Republiki, pojawiła się tu ekipa speleologów, czy coś w tym rodzaju, okazali zgodę diecezji i przewrócili klasztor do góry nogami. Ani jeden kamień nie pozostał niezbadany. Na próżno.

– Ojciec, który tu mieszka od tylu lat – zmieniłem temat – z pewnością zna tutejsze góry jak własną kieszeń.

Przytaknął skromnie.

– W takim razie – ciągnąłem – czy mógłby mi ojciec powiedzieć, czy prawdziwe są pogłoski, jakoby w pobliżu przebiegał szlak przemytników, którzy pod osłoną mgły oddają się swej nieciernej działalności?

– Przemytnicy? Nie, nie sądzę. Teren jest urwisty i niebezpieczny, a przełęcz prowadząca do Francji nie do przebycia przez cały rok. W czasie wojny domowej, która ponoć toczyła się niedawno w kraju, wiele osób próbowało przedostać się przez granicę w tych górach. Nie udało się nikomu.

– Zostali schwytani?

– Nie. Patrole, które wyruszyły w pościg, także zabiły w lasach. Przez wiele lat uciekinierzy i ich poszukiwacze żyli tu jak dzikie zwierzęta, żywiąc się korzeniami, polując na zające, mieszkając w jaskiniach i, oczywiście, starając się nie wpaść w pułapki, które wzajemnie zastawiali na siebie. Do tej pory jednak musieli już wymrzeć, ponieważ od dawna nie słyszymy ich wycia w księżycowe noce. Albo może zestarzelili się i stracili głos.

– Nie mogli się rozmnożyć? – zapytała Emilia.

– A co to takiego? – zapytał w odpowiedzi ojciec przeor z niekłamanym zainteresowaniem.

– Ostatnie pytanie, wielbny ojcie – powiedziałem.

– Czy słyszał ojciec kiedykolwiek o Różowym Rycerzu?

Pomyślał przez chwilę i odrzekł:

– Nie, nigdy nie słyszałem takiego przydomka. Mielśmy tu Czarnego Mnicha. Przechadzał się po kruzgankach o północy, z głową na tacy. Wstrętna zjawa! Ale nie widziałem go już kopę lat, a poza tym to nie jego państwo szukają. Przykro mi.

– Proszę się nie przejmować – powiedziała Emilia. – Jest ojciec super.

– A państwo są nadzwyczaj miłymi kompanami, ale będę musiał opuścić was na chwilę, ponieważ czas na nieszpory i muszę pójść do kaplicy, poprowadzić modły. Państwo nie muszą brać w nich udziału, choć jeśli zechcą, będą mile widziani. Za przeproszeniem.

Podniósł się z najwyższym trudem i skierował do drzwi, zabierając kaganek. Podążyliśmy za nim, przemierzając ponownie klasztorne korytarze, które doprowadziły nas do zrujnowanej kaplicy, gdzie płonęły

dwie gromnice i gdzie zebrała się wspólnota. Stwierdziliśmy, iż rzeczywiście mnichów było osiemnastu, nie licząc przeora, i że wszyscy ocierali się o setkę.

Odczekaliśmy do końca ceremonii, a następnie ruszyliśmy w ślad za korowodem ojczulków, którzy z ojcem przeorem i jego kagankiem na czele udali się do refektarza. Gościnnie przeor wskazał nam miejsce po swej prawicy przy długim stole, przy którym zasiedli, nie zwlekając, pozostali mnisi, a jeden z nich wyszedł na moment i wrócił, niosąc półmisek z siedmioma surowymi marchewkami.

– Skromność naszej kolacji – wyjaśnił nam przeor – idzie w parze z naszą nikłą witalnością. Gdybym wiedział, że będziemy was gościć, poleciłbym, żeby dodano jeszcze jedną marchewkę. Będą jednak państwo musieli się zadowolić tym, co jest.

– Liczy się intencja, wielobny ojcze – powiedział don Plutarquete.

– Mówcie mi Judasz – powiedział przeor.

Po spożyciu owego lekkiego posiłku, w którym przez grzeczność nie wzięliśmy udziału, mnisi jeden po drugim powstali i wyszli. Ostatni uczynił to przeor, który pożegnał się takimi słowami:

– Zostawiam państwu kaganek, na wypadek gdybyście nie chcieli jeszcze kłaść się spać. My nie potrzebujemy światła, ponieważ znamy klasztor na pamięć, a szczególnie drogę do naszych łóżek. U wylotu korytarza znajdziecie kilka wolnych cel. Jeśli ktoś z państwa jest niezamężny lub niezonaty, uprzejmie proszę, by zajął pojedynczą celę. Jeśli będą państwo czegokolwiek potrzebować, wiecie, gdzie mnie znaleźć. I proszę puścić bez wahania, ponieważ prawie nie śpię; ucinam

sobie tylko krótką drzemkę o świecie. Dobranoc.

Gdy zostaliśmy sami, Emilia stwierdziła:

– Odnoszę wrażenie, że przeraźliwie tracimy czas. Na co odrzekł don Plutarquete, że on osobiście jak najbardziej zgadza się z tą opinią, lecz że miejsce, do którego trafiliśmy, jest niebywale interesujące dla każdego historyka i że jeśli nie weźmiemy mu tego za złe, chętnie skorzysta z uprzejmej propozycji ojca przeora i zaszyje się w klasztornej bibliotece.

– A potem już prosto do Heidelbergu – oznajmił. – Dobranoc.

Przywłaszczył sobie, nie pytając, kaganek i zniknął za załomem muru. Zostaliśmy sami, Emilia i ja. Intuicja podpowiedziała mi, że choć okazja wydaje się wyborna, Emilia nie jest w nastroju do umizgów, wobec czego zaproponowałem jej podjęcie ostatniej próby zlokalizowania katakumb, wbrew zapewnieniom przeora o ich nieistnieniu. Zgodziła się, nie tyle, podejrzewam, z przekonania, ile aby uwolnić się od mej obecności. Bez słowa wróciliśmy do kaplicy, wyjąłem ze świecznika obie gromnice, zapaliłem je od lampki wotywniej płonącej naprzeciwko tabernakulum, jedną wręczyłem Emilii, a drugą zatrzymałem sobie.

– Ty poszukaj w kuchni, w szpiźarni i w prasowalni, jeśli taka jest – powiedziałem jej. – Ja zaś wykorzystam mą płęć i pójdę wybadać mnichów. Za godzinę spotkamy się w tym miejscu i opowiemy sobie, co odkryliśmy. Zgoda?

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Zastanowiłem się, co spowodowało tak nagłą i radykalną zmianę w jej stosunku do mnie, i nie znajdując żadnego prawdopodobnego wyjaśnienia, postano-

wielem odłożyć na później analizę tej kwestii i oddać się próbie rozwiązania tajemnicy, które było, jak przeczuwałem, bliskie, lecz droga doń najeżona niebezpieczeństwami i przygodami.

W miarę zagłębiania się w korytarze prowadzące do cel czułem, jak mnie przenika początkowo słabe, a następnie coraz mocniejsze uczucie, którego nie powstydzę się nazwać strachem. W porywach wiatru smagającego ze złowieszczym świstem puste korytarze mój cień, ogromny w świetle gromnicy, szarpał się i dygotał, sprawiając wrażenie, że depta mi po piętach milczący i złośliwy duch. Czerepy patrzące z nisz, jak przechodzę, zdawały się szydzić ze mnie i nie wróżyć nic dobrego.

Tak podniesiony na duchu dotarłem do drzwi pierwszej celi i dyskretnie zapukałem.

– Kto tam? – zapytał starczy głos.

– Ja.

– A kim pan jest?

– Proszę otworzyć, wielebny ojcze, a sam ojciec zobaczy.

Drzwi uchyliły się i wyjrzała przez nie skrzywiona twarz furtiana.

– Czym mogę służyć o tej porze? – zapytał.

– Proszę mnie wpuścić, a wtedy wyjaśnię.

– Nie mogę. Jestem w koszuli nocnej. Czego pan chce?

– Zadać ojcu jedno pytanie. Skoro do klasztoru prawie nie przychodzą goście, czym zajmuje się ojciec w wolnych chwilach?

– Smaruję zawiasy i modłę się o zbawienie impertynentów i wścibskich. Coś jeszcze?

– Nie, ojcze. Nie przeszkadzam więcej. Dobranoc.

W następnej celi nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Walnąłem kilkakrotnie w drzwi i uzyskałem tylko tyle, że oderwał się fragment kasetonowego stropu i na głowę spadł mi deszcz gruzu i piachu. Pokręciłem gałką i stwierdziłem, że ustępuje. Wszedłem i w świetle świecy dostrzegłem pękaty kształt wyciągnięty na pryczy. Zbliżyłem się i zobaczyłem, że kształt ów należy do korpulentnego mnicha o długiej, białej brodzie. Potrząsnąłem nim, żeby sprawdzić, czy żyje, na co otworzył oczy, nie okazując najmniejszego przestachu czy gniewu.

– Dzień dobry, synu – szepnął. – Chcesz się spowiadać?

– W tym momencie nie, ojcze. Może później. Na razie chciałbym zadać ojcu kilka pytań.

– Jak dawno spowiadałeś się po raz ostatni?

– Co ojciec woli, piłkę nożną czy walki byków?

– Jakie grzechy sobie przypominasz?

– Jest ojciec głuchy jak pień, prawda?

– Żałujesz, że zasmuciłeś Dzieciątko?

Pozwoliłem, by udzielił mi rozgrzeszenia, i wróciłem na korytarz. Gdy zapukałem do kolejnej celi, daleki głos zachęcił mnie, bym wszedł do środka, co uczyniłem. Zaledwie jednak przekroczyłem próg, podmuch wiatru zgasił świecę i znalazłem się w całkowitych ciemnościach, gdyż w celi nie paliło się żadne światło. Nie udało mi się powstrzymać krzyku i cofnąłem się o krok, przerażony. W tym momencie usłyszałem, że ktoś przemawia do mnie z czerni.

– Jestem tutaj, w głębi, pod oknem. Idź prosto przed siebie i nie bój się, z niczym się nie zderzysz. Kieruj się moim głosem.

Postąpiłem zgodnie z instrukcją i u kresu drogi natknąłem się na drobne i chude ciało, które upadło na ziemię. Po omacku odszukałem szorstkie sukno, pociągnąłem za nie i udało mi się podnieść mnicha, którego niechcący przewróciłem.

– Proszę wybaczyć, ojcze – przeprosiłem. – Czy zrobił sobie ojciec krzywdę?

– Nie, nie, jestem przyzwyczajony do upadków. Dla kogoś, kto stale żyje w ciemności... Najważniejsze, że nie rozbił się teleskop.

– Jaki teleskop? Dlaczego ojciec żyje w ciemności?

– Jestem astronomem. Myślę, że jest to odpowiedź na oba pytania. A ty, kto ty jesteś?

– Gość. Jadłem dziś kolację w refektarzu, nie pamięta mnie ojciec?

– Nigdy nie odrywam wzroku od ziemi, chyba że po to, by spojrzeć na firmament. Od prochu do gwiazd, to mój slogan, jeśli pozwolisz mi na anglicyzm.

– Jaki firmament może ojciec widzieć w takiej mgle?

– Mam z nią pewien kłopot, to prawda – przyznał z nutką żalu w głosie. – Ale tłumaczę sobie, że to Pan Bóg mi ją zsyła, bym nie popadł w straszliwy grzech pychy, i przyjmuję ją z radością. Niekiedy jednak mgła rozstępuje się, a wówczas... cóż za rozkosz! Jest mi dane kontemplować wielki cud stworzenia. Dziś, jak widzisz, nie mam szczęścia. Co doprawdy mnie martwi, gdyż byłem o krok.

– O krok od czego?

– O krok od ustalenia pozycji nowej gwiazdy. Nie wspominałem ci o tym?

– Nie. Odkrył ojciec nową gwiazdę?

– Przysiągłbym, że tak, chociaż na polu nauki, jak wiadomo, należy zachować jak najdalej posuniętą

ostrożność, by nie narazić się na śmieszność. Ale prze-
studiowałem wszystkie mapy nieba i zapewniam cię, że
nie ma na nich tej gwiazdy. Gdyby nie mgła, sam byś ją
zobaczył, bo z pewnością jest właśnie nad nami. Zaraz
sprawdzę godzinę... tak, dwanaście po pierwszej.

– Skąd ojciec wie, że jest dwanaście po pierwszej,
skoro nawet nie widać zegarka?

– Z koniunkcji Centaura i Kasjopei.

– A dlaczego tylko o tej godzinie można zobaczyć tę
gwiazdę?

– Wszystkie gwiazdy się poruszają. W naszych
oczach, rzecz jasna. W rzeczywistości to Ziemia się
kręci. Ale ta, o której mówię, tak naprawdę zasuwa na
przekór wszystkim prawom. Sądzę więc, że dokonałem
odkrycia wielkiej wagi. Myślałem, by ochrzcić ją imie-
niem założyciela zakonu, wiesz? Ale nie mam najbled-
szego pojęcia, jak się nazywał, więc na razie nazwałem
ją Marylin. Co ty na to?

– Bardzo trafnie. A nie ma ojciec przypadkiem zapa-
łek?

– Nie palę.

Wyszedłem z celi na oślep i zamknąłem za sobą
drzwi. Nie można było powiedzieć, by pierwsze kon-
takty okazały się bardzo owocne. Już zaczynałem roz-
ważać możliwość porzucenia mego zajęcia i poszukania
wygodnego miejsca do spędzenia reszty nocy, gdy usły-
szałem krzyki i odgłos ciosów dobiegające z jednej z
cel. Kierując się tymi dźwiękami, pobiegłem zobaczyć,
co się dzieje, a otwierając drzwi celi, ujrzałem mnicha
okładającego się rzemieniem służącym do przepasywa-
nia habitu.

– Proszę wybaczyć, ojcze – powiedziałem pośpiesz-
nie. – Nie chciałem przeszkadzać. Pomyślałem, że coś

się ojcu stało. A skoro już jestem tutaj, pozwoli ojciec, że zapalę moją gromnicę od lampki ojca?

Wolną ręką mnich dał mi znak, bym poczekał, a sam biczował się dalej.

– ... czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć i pięćdziesiąt – liczył. – Wystarczy. Oczywiście, może pan zapalić swoją gromnicę, a nawet zabrać sobie lampkę, jeśli chce.

– Czy wszyscy mnisi się biczują? – zagadnąłem.

– Och, nie – odpowiedział pokutnik. – Pod tym względem jesteśmy supernowocześni. Mój przypadek jest wyjątkowy.

– Dlaczego? – zainteresowałem się.

Mnich rozejrzał się na prawo i lewo, jakby w obawie, że ktoś nas podsłuchuje, przysunął swoją twarz do mojej tak blisko, że jedna z pluskiew zamieszkujących jego brodę przeskoczyła mi na podbródek, i wyznał ledwie słyszalnym głosem:

– Ponieważ ja utrzymuję kontakty ze Złym.

Rozdział dwudziesty trzeci

Śpiewający sukub

Opętany mnich podniósł wyprostowany palec do warg i wydał następujący dźwięk:

– Psssssssssst.

Wykonałem gest oznaczający zrozumienie.

– Próbowałem bezskutecznie najróżniejszych egzorcyzmów. Biczuję się po pięćdziesiąt razy na czczo i po pięćdziesiąt przed snem, i nic. Bez pomocy Najwyższego niewiele znaczą nasze mizerne siły.

– Ma ojciec całkowitą rację.

Podjąłem dyskretny odwrót, gdyż nie miałem czasu do stracenia na roztrząsanie zagadnienia równie pasjonującego z teologicznego punktu widzenia, co dalekiego od sprawy, która zajmowała mnie w tym momencie, lecz opętany pochwycił mnie za rękę, złożył głowę na mym ramieniu i ponowił swój lament następującymi słowami:

– Całe życie poświęciłem na służbę Panu i wreszcie, kiedy już niemal staję przed Najwyższymi Władzami, siup! Pojawia się księżę ciemności i wszystko wali w gruzy. To nie jest w porządku, człowieku. Co ja takiego zrobiłem, żeby sobie na to zasłużyć? Pije pan? Ja nie. Pali pan? Ja nie. Grał pan kiedykolwiek w hula-hoop?

Ja nigdy. To dlaczego musiało się to przytrafić właśnie mnie, a nie panu, co?

– Kiedy zauważył ojciec pierwsze symptomy? – zapytałem go przez grzeczność.

– Mniej więcej rok temu. W popołudnie letnie i zmysłowe. Wszyscy poszli pracować w warzywniku. Ja byłem nieco zakatarzony i poprosiłem przeora o pozwolenie na pozostanie w celi. Położyłem się do łóżka z butelką gorącej wody w nogach i z modlitewnikiem. Ciało jest słabe, zasnąłem. A wtedy usłyszałem głos.

– To nie mógł być sen?

– Także i sny są narzędziem pokusy. Kiedy byłem chłopcem, śniło mi się pewnego razu, że jadę tramwajem pełnym ludzi, a obok mnie stoi dziewczyna. Obudziłem się cały mokry.

– Wszystkim nam się zdarza.

– Być może. Ale tym razem to nie był sen. Wstałem, wylałem sobie wodę z butelki na głowę, zrobiłem kilka skłonów. Nie pomogło. Głos nadal dźwięczał mi w uszach lubieżnie. Od tamtej pory słyszę go prawie codziennie.

Ponownie podniósł rzemień i musiałem odsunąć się, żeby uniknąć ciosu.

– A co mówił ten głos? – zapytałem.

– Coś okropnego – odrzekł mnich, przerywając chłostę. – Nie mogę powtórzyć.

– W takim razie nie nalegam.

– Niech pan nalega – poprosił mnie błagalnym tonem.

Ponalegałem, na co znów przysunął wargi do mych uszu.

– Wiśnie, wiśnie rzuć indykowi – wyszeptał.

– Jakże to niezwykle! – powiedziałem.

– Jeśli pan chce, pożyczę panu rzemień.
– Czy to był kobiecy głos? – zapytałem.
– Jak cholera!
– Pozwoli ojciec, że położę się na jego łóżku? Chcę tylko coś sprawdzić.

– Proszę bardzo – powiedział mnich. – Dla mnie jeden grzech mniej, jeden więcej...

Wyciągnąłem się na łóżku zrobionym z sosnowych desek przykrytych siennikiem i położyłem głowę na poduszce ze zgrzebnego płótna wypełnionej surowym grochem.

– Nic nie słyszę – powiedziałem.

– Niech pan trochę poczeka – poradził opętany.

Odczekałem kilka minut, po czym nagle usłyszałem bardzo wyraźnie niemożliwy do pomylenia głos Loli Flores. Zerwałem się jak podrzucony sprężyną.

– Widzi pan? – powiedział mnich triumfalnie. Wzniósł rzemień, by spuścić go na moje zębra, lecz powstrzymałem go władczy gestem i jąłem badać ścianę, do której przylegało łóżko. Szybko odkryłem między dwoma kamieniami szczelinę o szerokości centymetra. Przyłożyłem do niej ucho i nadzwyczaj wyraźnie usłyszałem całą zwrotkę.

– Co jest za tą ścianą? – zapytałem.

– Górskie zbocze – odparł opętany. – Klasztor stoi na naturalnej półce skalnej. Północna ściana przylega do zbocza.

– Niech ojciec nie odchodzi. Zaraz wracam. Wyszedłem na korytarz i już po trzeciej próbie odnalazłem kaplicę. Emilia siedziała na ławce, wpatrując się pustym wzrokiem w płomień świecy. Na dźwięk moich kroków podniosła głowę. Na jej twarzy zobaczyłem ślady łez.

– Myślisz – zapytała – że da się zmienić sposób bycia człowieka?

– Nie mam najbledszego pojęcia – odrzekłem – ale na pociechę mogę cię poinformować, że znalazłem katakumby.

W drodze do celi opętanego zapytałem Emilii, czy ona także znalazła coś, co wydaje jej się interesujące lub dziwne.

– Tylko jedno – odparła – mnie uderzyło: w spizarni nie ma prawie nic do jedzenia, za to znalazłam aż dwaście skrzynek toniku Schweppes.

– Co za pech! – wykrzyknąłem, wyobrażając sobie bachanalia, w jakich mógłbym wziąć udział, gdyby zamiast wspomnianego napoju mnisi chomikowali pepsi-colę. – A skąd, twoim zdaniem, wzięli ci święci mężowie produkt tak niekompatybilny z ich powściągliwymi zwyczajami?

– Pojęcia nie mam. Dlatego właśnie ci o tym mówię – stwierdziła Emilia.

Dotarliśmy do celi opętanego i weszliśmy bez pukania. Na widok Emilii mnich zaczął protestować, lecz po chwili przystał na obecność dziewczyny, a nawet odważył się zapytać, z pewną nieśmiałością, czy nie byłaby taka uprzejma, by go wychłostać, czego stanowczo odmówiła, pytając, za kogo ją bierze. W tym punkcie wtrąciłem się, prosząc mnicha, żeby przerwał tę dziedzinę, a jeśli chce na coś się nam przydać, żeby przeszedł po celach, obudził współbraci i ściągnął ich bezwzględnie w miejsce, gdzie się znajdujemy, ponieważ po pierwsze, nie chciałem wałęsać się po nie swoich katakumbach bez zgody prawowitych właścicieli, a po drugie, nie wiedziałem, co nas tam czeka, i uznałem, że warto wezwać posiłki, nawet jeśli pobożni ojcowie nie

mieli w sobie nic ze swych kolegów z klasztoru Shaolin. Tego ostatniego, rzecz jasna, nie wyjawilem ochoczemu opętańcowi, który popędził spełnić me polecenie, z kornetem zrobionym z kartki wyrwanej z modlitewnika w dłoni.

Uwolniwszy się tym sposobem od jego obecności, przystąpiłem do dzieła. Prycza, jak już wspominałem, była drewniana, lecz jej nogi podtrzymywało kilka żelaznych prętów, które wyrwałem, by posłużyć się nimi jak lewarem. Kilkoma ciosami poszerzyłem szparę między kamieniami, aż powstał otwór, przez który mogłem wsunąć dwa pręty i podważyć mur, naciskając całym ciałem. Kamień drgnął. Ponowiłem czynność i po kilku minutach okupionego potem wysiłku uzyskałem tyle, że blok oderwał się i powstał otwór, w którym mogło się zmieścić moje ciało, a nawet ciało kogoś bardziej korpulentnego. Musiałem osłonić dłonią knot świecy, by przeciąg nie zgasił płomyka. Wręczyłem gromnicę Emilii i wsunąłem głowę w dziurę: silny fetor zaatakował me nozdrza, a głos Loli Flores popieścił me uszy. Reszta była mgłą.

– Podaj mi świecę – powiedziałem Emilii.

Oślaniając płomień dłonią niczym ekranem, wsunąłem świecę w otwór. Migotliwe światło pozwoliło mi dostrzec owalne pomieszczenie, z którego wybiegał tunel. Światło było mizerne i musiałem poczekać, aż me oczy przyzwyczają się do półmroku. Spostrzegłem wówczas, że to, co początkowo wziąłem za wieszak, jest w rzeczywistości zakurzonym szkieletem. Bez szczególnego entuzjazmu przesunąłem przez otwór ręce, korpus, biodra, pośladki i pozostałe kończyny i stanąłem w pomieszczeniu opisanym przed chwilą. Dokładniejsze badanie szkieletu ujawniło, że na jego

szy wisi karteczka o treści: „Brat José María, 1472-1541”, oraz pobożne życzenie: „Miłego odpoczynku”. U stóp szkieletu można jeszcze było dostrzec zbutwiałe szczątki czegoś, co w tamtym wieku musiało być jego zakonnym przyodziewkiem.

Świeca o mało nie spadła mi na podłogę, gdy poczułem na ramieniu dotyk czyjejś ręki. Na szczęście była to tylko Emilia, która dołączyła do mnie.

– Wracaj do celi – powiedziałem jej – i poczekaj, aż przyjdą mnisi.

– A ty tam pójdziesz? – zapytała, wskazując na tunel. Odrzekłem, że tak.

– To idę z tobą – oznajmiła.

– Tam na pewno będą szczury – ostrzegłem ją.

– Uciekną na twój widok – odpowiedziała czule. Nie przeciągając dyskusji, zagłębiliśmy się w czeluść, trzymając się za ręce. Po naszej prawicy i lewicy co rusz wyłaniały się z mroku nisze, w których ludzkie szczątki zaznawały wiecznego odpoczynku. Lokal umilały swą obecnością nie tylko szczury, lecz także miriady robaków, roje much i kaskady nietoperzy. Powietrze prawie nie nadawało się do oddychania. Głos Loli Flores ustąpił tenorowi Julio Iglesiasa, który odśpiewał *Od dziewczynki do kobiety*, a następnie inne niezaprzeczalne hity, podczas gdy szkielety zdawały się kołysać radośnie do rytmu swymi wklęsłymi miednicami. Tunel zwężał się miejscami do tego stopnia, że musieliśmy posuwać się bokiem lub na czworakach. Co jakiś czas rozszerzał się w kolejną komorę, gdzie natrafialiśmy na kolejną gromadę zmarłych. Przez cały czas jednak podnosił się, a zatem, jak przewidywałem, kroczyliśmy w kierunku szczytu góry.

Przebyliśmy już spory szmat drogi, gdy Emilia ści-

snęła mi rękę i szepnęła:

– Patrz!

Spojrzałem tam, gdzie pokazywała, i spostrzegłem, że jeden ze szkieletów ma na sobie podkoszulek z go-dłem i napisem: PRINCETON UNIVERSITY BASKET-BALL TEAM. Z dłoni zwisał mu pompon z żółtych serpentyn.

– Coś takiego!? – wykrzyknąłem.

– Któż mógł się dopuścić takiej profanacji? – zapyta-ła Emilia.

– Wkrótce się dowiemy – odrzekłem.

Podjęliśmy marsz i po pewnym czasie stanęliśmy przed ceglana ścianą zamykającą tunel. Jeden rzut oka wystarczył mi, by stwierdzić, że cegły są fałszywe, a w załomie ściany nie ma ani kurzu, ani pajęczyn.

– To ukryte drzwi – oznajmiłem. – Szkoda, że nie wpadło mi do głowy, by zabrać choć jeden pręt.

– Mnie wpadło – stwierdziła Emilia, pokazując na-rzędzie.

– A niech cię – wymamrotałem na widok wyrazu samozadowolenia, z jakim podała mi żelazo.

Jeszcze raz oddałem się niewdzięcznemu zajęciu pokonania przeszkody, która najwyraźniej została wzniesiona w celu zniechęcenia ciekawskich i miłośni-ków cudzej własności. Fałszywa ściana zdawała się wykonana ze stali i nie sądzę, bym dopiął czegoś poza wyczerpaniem mych nadwątłonych sił, gdyby żelazo nie uruchomiło przypadkiem jakiegoś mechanizmu, który sprawił, że ściana przesunęła się w górę po pro-wadnicach i znikła w stropie tunelu. Blask wielu świe-tłówek oślepił nas na chwilę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Emilia, która ponow-nie chwyciła mnie za rękę.

– W przejściu łączącym katakumby z czymś tajnym – odparłem, odzyskawszy wzrok.

Znajdowaliśmy się, w rzeczy samej, w korytarzu wydrążonym niedawno, na którego podłodze poniewierały się narzędzia ręczne, palniki, młoty pneumatyczne i ręczne akumulatory, pozostałe po budowie. W załomie korytarza wznosiła się sterta skrzynek z tonikiem Schweppes.

– Pili go robotnicy, którzy kuli tunel – dedukowałem na głos. – Mnisi musieli natknąć się gdzieś na skrzyńki, które widziałś w spiżarni, i zachowali je, nie wiedząc, czy płyn ten nadaje się do spożycia czy nie. A oto głośniki z podkładem muzycznym. Akustyka tego miejsca, którą mógłby wyjaśnić jakiś znawca, sprawia, że słyhać go w celi naszego mnicha. To wszystko jednak nie wyjaśnia sedna tajemnicy, chyba że przyjmiemy, iż ktoś wykonał tak gigantyczną pracę wyłącznie po to, by zasiać zwątpienie w duszy świątobliwego ojca.

– Zgadza się – przytaknęła Emilia.

– To chodźmy dalej – powiedziałem.

Ruszyliśmy nowym korytarzem, w towarzystwie świty nietoperzy i szczurów, które postanowiły wykorzystać wykonane przez nas przejście i udać się na emigrację. Krocząc ciągle w górę, dotarliśmy do pomieszczenia przypominającego szatnię sali gimnastycznej, po którego bokach ciągnęły się szeregi metalowych szafek zamkniętych na śmieszne kłódki. Włamałem się do jednej. Na wewnętrznej stronie drzwi było przyklejone zdjęcie nagiej blondynki i kilka pocztówek. W szafce wisiał na wieszaku biały fartuch. Na dnie stały gumia-ki, a na półeczce leżały rękawice ze sztywnego materiału; nie takie, jakie się stają po dwóch czy trzech pra-

niach, jeśli są marnej jakości, lecz sztywne od urodzenia. Z kołka zwisało coś jakby kask z przezroczystego plastiku.

– Zjawy – powiedziała Emilia. – Zjawy, które widziałam w górach.

Czy owo ludzkie wyjaśnienie czegoś, co w pierwszym momencie mogło zdawać się nadnaturalną wizją, uspokoiło Emilię czy nie – tego nie wiem. Wiem za to, że we mnie wzbudziło poważny niepokój. Nie znam się na tym, lecz widziałem dostateczną liczbę filmów, by wiedzieć, że ubiór, jaki właśnie odkryliśmy, jest typowy dla ludzi mających do czynienia z materiałami radioaktywnymi lub czymś jeszcze gorszym, wobec czego zapytałem się w duchu, czy prochowiec, idealny na kwietniowy deszczyk, będzie stanowił wystarczającą ochronę przed śmiertcionośnymi promieniami, na które być może wkrótce zostaniemy wystawieni.

– Emilia – powiedziałem – nie idź dalej. Nie wiem, jak brzmiałyby jej odpowiedź, gdyż zanim zdążyła ją sformułować, otworzyły się drzwi i do szatni wkroczyło pięciu mężczyzn w krótkich spodenkach i podkoszulkach, którzy na nasz widok zakrzyknęli jednym głosem:

– *What the hell is this?*

Rozdział dwudziesty czwarty

Danger!

Wytrwałość, z jaką w czasach, gdy cieszyłem się wolnością, zaglądałem na Ramble oraz sąsiednie arterie, pozwoliła mi zrozumieć, że intruzi mówią po angielsku, wobec czego spróbowałem przypomnieć sobie pośpiesznie to, co z owego języka, zawsze dążąc do poszerzenia mych horyzontów, zdołałem się nauczyć całe lata temu, i na myśl przyszło mi kilka słów, których znaczenia, nawet jeśli kiedykolwiek je znałem, nie pamiętałem od dawna i których sekwencji syntaktycznej, na domiar złego, nie byłem zbyt pewny, lecz które wymówiłem, próbując nadać memu głosowi jak najserdeczniejsze brzmienie:

– *Fuck, shit, ass, snot, and milk twice.*

Co rzekłszy i na wypadek, gdyby owa próba zbliżenia nie wystarczyła do rozwiania zastrzeżeń nowo przybyłych co do prawości mych intencji, grzmotnąłem żelaznym prętem w głowę najbardziej korpulentnego, obróciłem się na pięcie i, ciągnąc za sobą Emilię, pomknąłem w stronę katakumb.

Krótko trwała jednak przewaga, jaką dawał nam czynnik zaskoczenia, gdyż zaledwie pięciu osobników otrząsnęło się ze zdumienia, wymienili między sobą

kilka gardłowych fraz, ruszyli z kopyta naszym śladem i dopadli nas w komorze z narzędziami, gdzie zatrzymałem się we frenetycznym poszukiwaniu świecy, którą nieroztropnie wyrzuciłem, uznając za niepotrzebną, a bez której nie miałem odwagi zanurzyć się w złowrogą czeluść. I jak nic byliby nas pojмали i któż wie, czy nie cisnęli w łapczywe trzewia jakiegoś kotła lub turbiny, byśmy tam ulegli unicestwieniu w najstraszniejszych konwulsjach, gdyby w tym właśnie momencie nie wynurzyła się z przegubowatego grobowca wspólnota mnichów w pełnym składzie, pod przewodem ojca przeora, który widząc, że staliśmy się przedmiotem agresji, i nie wątpiąc, po której stronie leży cnota, a po której zło, ze śmiałością, jaką niewinność obdarza tych, co ją praktykują ze szczerego serca, rzucił się na naszych prześladowców. Ci zasię, sparaliżowani naturalnym zakłopotaniem, w jakie wpędziła ich owa szarża nieulekłych mnichów, zareagowali dopiero wówczas, gdy święci mężowie runęli na nich z łopotem habitów, szumem bród i chrzęstem kości. Składając niebu dzięki za tę opatrznościową pomoc, na którą – prawdę mówiąc – nie liczyłem, i ciągle w towarzystwie Emilii, która mimo swej jawnej niechęci do mnie, a być może powodowana właśnie nią, uznała, że podąży za mną na koniec świata, ominąłem walczących i wróciłem po własnych śladach, pozwalając, by zakonnicy rozprawili się z protestantami.

Z szatni, którą tak pośpiesznie musieliśmy opuścić i do której powróciliśmy bez przeszkód, biegły w górę kręte schody, którymi wspięliśmy się do sporego saloniku z oknem w jednej ze ścian. Wyjrzelśmy przez nie z najwyższą ostrożnością i ujrzeliśmy, co następuje: okrągłą salę, prawie tak ogromną jak arena do walki

byków, o sklepieniu w kształcie metalowej kopuły przytwierdzonej do ścian śrubami potężnymi jak mój łeb, czyli bardzo, której środkowa część była wycięta w kształcie cząstki mandarynki, a przez otwór ów mierzył w niebiosa monumentalny teleskop. Przez moment pomyślałem, że wystrzeli zeń, jak z armaty, słynna kobieta, z którą w hulaszczej epoce mego życia flirtowałem przez jakiś czas, a którą musiałem porzucić ze względów zdrowotnych i prestiżowych. I proszę nie myśleć, że był teleskop jedynym cudem w opisywanej hali, gdyż u jego stóp pysznił się szereg urządzeń elektronicznych, a o możliwość ich nabycia nigdy bym nie posądział kraju nękanego, jak dobrze wiemy, inflacją, bezrobociem, anemią pieniężną oraz innymi, jeszcze dotkliwszymi plagami, urządzeń, powiadam, takich jak tablice rozdzielcze, liczniki już nie prądu czy gazu, lecz bardziej skomplikowanych zjawisk, aparaty przeróżnych rodzajów, dla których nie znajduję nazwy w mizernych zasobach mego słownictwa, a wreszcie mnóstwo ekranów telewizyjnych, z których najmniejszy był mniejszy od mej dłoni, a największy większy od małżeńskiego prześcieradła. Sądzę, że na tym wyczerpałem spis cudów.

– Obserwatorium? – zasugerowała Emilia. – A może stacja meteorologiczna?

– Gdyby chodziło o rzecz tak niewinną, po cóż tyle sekretów? – odrzekłem. – Pozwól mi pomyśleć, pozwól mi pomyśleć.

Zacząłem drapać się po karku, po nosie, po przedramieniu, pod pachami, pod żebrami i już miałem podrapać się po odbycie, gdy fragmenty owej chaotycznej łąmigłówki zaczęły dopasowywać się jeden do drugiego w mej mózgowicy.

– Przeanalizujmy – zaproponowałem – dane, jakimi dysponujemy. Po pierwsze, nie widzę żadnej logiki w instalowaniu obserwatorium na szczycie góry charakteryzującej się wiecznymi mgłami. Po drugie, przypominam sobie natomiast rozmowę, którą odbyłem niedawno z pewnym szacownym mnichem, a w której zwierzył mi się, że odkrył gwiazdę niefigurującą na mapach niebios. Już wówczas wydało mi się nieprawdopodobne, by właśnie on, posługujący się prehistoryczną lunetą, nie dłuższą od... od... od..., no, niezbyt długą – zakończyłem porównanie, gdyż przychodziły mi do głowy same niestosowne metafory – dokonał takiego odkrycia, a podejrzania moje wzrosły, gdy oznajmił, iż rzeczona gwiazda pomyka po niebie z szybkością zająca. Nie posiadając jego wiedzy, a za to informacje, których on nie posiada, wnoszę, że to, co zobaczył biedny starzec, nie jest gwiazdą, lecz sztucznym satelitą. Możemy zatem zaryzykować hipotezę, iż znajdujemy się w ośrodku kontroli lotów kosmicznych, jeśli taką nazwę noszą centra tego typu, bez wątpienia zarządzanym przez przedstawicieli dwóch krajów, co usprawiedliwiłoby obecność osobników anglojęzycznych, zajmujących z pewnością najwyższe stanowiska techniczne i pozostawiających swym hiszpańskim kolegom najgorszą robotę. Która jest godzina?

– Cztery po drugiej – powiedziała Emilia. – Dlaczego pytasz?

– Bo punkt druga zaczyna się transmisja satelitarna meczu piłki nożnej. Oznacza to, że jeśli moje domysły są prawdziwe, satelita przelatuje teraz nad naszym teatryum.

Świadom, że okazja na to zasługuje, pominąłem względy szacunku, i podnosząc dla większej wygody

fałdy prochowca, podrapałem się wściekle w punkt, który rezerwowałem na dyskretniejsze miejsce i moment.

– Od dawna wiedzieliśmy – mówiłem jednocześnie – że istotą tej sprawy jest popełnienie aktu terroryzmu. I powiadam, czy można sobie wyobrazić większą nikczemność niż interwencja w transmisję i pozbawienie tego kraju, tak potrzebującego pociechy, widoku meczu najwyższej...?

– Przyhamuj – ucięła Emilia z niepokojem malującym się na jej ślicznym obliczu. – Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, choć jestem pewna, że nie jest, ale serca nie przekonasz rozumem, a coś potężniejszego niż rozum sprawia, że ci wierzę, jest możliwe, że stoimy w obliczu zagrożenia znacznie większego niż zwykłe zakłócenie programu telewizyjnego, do czego zresztą jesteśmy przyzwyczajeni.

– Mów jaśniej – powiedziałam.

Teraz ona drapała się, nie powiem gdzie.

– Skoro mówimy o terroryzmie, bądźmy poważni – powiedziała. – Co by się stało, gdyby taki ośrodek nie pozostawał we władzy czcigodnych technokratów, wiernych swym obowiązkom, lojalnych wobec swych rządów i oddanych postępowi, lecz wpadł w łapy manipulatorów pozbawionych skrupułów, awanturników, kombinatorów, najemników i ludobójców?

– Brzmi nieźle – stwierdziłem rozochocony. – Mów dalej.

– Czyż nie możemy wykluczyć – ciągnęła Emilia, zarażona mym entuzjazmem, a nawiasem mówiąc, także nieuleczalnym swędzeniem – że wróg, posługując się mnóstwem tych magicznych przyrządów, zechce zepchnąć satelitę z jego trajektorii i strącić na nasze

ziemie?

– Ale będzie huk!

– Nie bądź głupi. Czytałam, choć z pewnością uważasz mnie za niezdolną do takiego wysiłku intelektualnego, że sztuczne satelity mają napęd jądrowy. Rozumiesz? Cała Katalonia, więcej!, cały Półwysep Iberyjski może zostać nieodwracalnie skażony promieniowaniem radioaktywnym.

– O, nieba! – wykrzyknąłem. – To by dopiero przeszkodziło nam w wejściu do Wspólnego Rynku! Musimy temu zapobiec.

– Ale jak? – zapytała Emilia.

– Jakkolwiek – odparłem.

Broń nuklearna? Nie, dziękuję

Tuż pod oknem znajdował się luk zamknięty na gigantyczny rygiel i całkiem przypominający chłodnię, jakich używa się w masarniach do przechowywania filetów, dopóki nie pojawi się ktoś chętny do zapłacenia niebotycznej ceny. Podniosłem rygiel bez większego problemu, otworzyłem luk i zeszedliśmy do maszynowni. Zdałem sobie wówczas sprawę, że nie wiem, co robić dalej, ponieważ umiem tylko z trudem policzyć do dziesięciu na palcach rąk, a do dwudziestu, jeśli cel operacji usprawiedliwia zdjęcie obuwia, i nie znam innych działań oprócz szybkiego i stanowczego, w związku z czym zacząłem gapić się jak cielę na wszystko po kolei, podczas gdy mijały sekundy i jatka stawała się coraz bardziej nieuchronna. Żeby zrobić cokolwiek, postanowiłem zbadać ekrany telewizyjne, które wydawały mi się w tym laboratorium urządzeniami najbardziej znajomymi, a zatem i najłatwiejszymi w obsłudze. Na większości ekranów przesuwaly się ciągi liczb, liter i znaków interpunkcyjnych, których nawet nie próbowałem rozszyfrować. Jeden z monitorów pokazywał z pochwałą godną ostrością mecz piłki nożnej. Źle wykorzystane podanie z autu zepsuło wspaniałą akcję

naszych zawodników, która mogła przerodzić się w sytuację groźną dla drużyny przeciwnej.

– Psiakrew! – zmełłem w ustach przekleństwo.

Pisk Emilii oderwał mnie od ekranu. Rozejrzałem się i spostrzegłem, że z przeszklonej kabiny, której nie zauważyłem wcześniej, gdyż znajdowała się u góry hali, wychodzi istota odziana w biały fartuch i kask, jak te, które widzieliśmy w szatni i które opisałem w poprzednim rozdziale. Podbiegłem do metalowych schodków, którymi osobnik schodził nader powoli, gdyż przeszkadzały mu w tym wielkie i ciężkie buty, stanąłem pod nimi, zanim zdążył postawić stopę na ostatnim stopniu, chwyciłem go za kostki i pociągnąłem z całej siły. Grzmotnął o podłogę tak mocno, że kask pękł jak gliniany dzban, odsłaniając nie zarośniętą, ponurą i przewrotną mordę bandyty, lecz łagodne oblicze łysogo naukowca w podeszłym wieku; dwuogniskowe okulary, rozpryskując się, pozostawiły na jego pucołowatych policzkach setki zadraśnień. Zawstydzony nadużyciem siły wobec jego osoby, powiedziałem mu:

– *Excuse me, mister.*

Na co nie odpowiedział, jako że był martwy lub po prostu wzruszony. Pozostałem go na podłodze i wróciłem biegiem do Emilii, która krzykiem wzywała pomocy. Ponaciskała szeregi przycisków i poruszyła szeregi dźwigni, w związku z czym ze zwojów przewodów elektrycznych leciały iskry i wydobywał się niebieskawy dym. Zerwałem z siebie prochowiec i zarzuciłem go na kable. Zażegnawszy groźbę pożaru, skierowałem się do teleskopu i przyłożyłem oko do okularu, by zobaczyć, co dzieje się w górze. Gdy byłem dzieckiem, sąsiadka, która pracowała w operze Liceo,

nie jako śpiewaczka, jak niekiedy dawała do zrozumienia, by zaspokoić swą próżność, lecz sprząając po spektaklach odchody, jakie niektórzy melomani wydali z siebie w ekstazie, znalazła w jednej z łóż lornetkę w perłowej oprawie i przed odsprzedaniem, w pewną jasną, letnią noc przyniosła ją do domu, byśmy mogli obejrzyć wszechświat z bliska. Pamiętam, że gdy nadeszła moja kolej, ze wstrzymanym oddechem nastawiłem ostrość na nieskończoność, spodziewając się zobaczyć ośmiornice, smoki i krasnoludki i któż wie, jakie jeszcze bajkowe istoty, gdyż panowało wówczas przekonanie, zdementowane przez późniejsze odkrycia, że kobiety z innych światów nie wahają się obnażać publicznie ud i piersi, jakby galaktyki były jednym wielkim kalendarzem z tanich sklepików, lecz udało mi się tylko wypatrzeć brudny pośladek należący do Księżyca, jak wyjaśnił ojciec mentorskim tonem, wymierzając mi jednocześnie policzek, bym nie udawał spryciarza i oddał lornetkę siostrze. Ta zaś, rozmarzona, przysięgła, choć już wówczas miała więcej dioptrii niż włosów na głowie, że ujrzała na niebie uśmiechniętą twarz Carlosa Gardela, a nawet usłyszała pierwsze takty „samotnej, zwiędłej i bez krzty wdzięku”. Nie wiem, czemu opowiadam o tym akurat teraz, chyba że czynię to, by podkreślić kontrast między owym odległym wspomnieniem rozczarowania a tym, co dane mi było kontemplować przez teleskop domniemanego ośrodka kontroli lotów, to jest złotą kulą z dwiema lub trzema antenami, które szybkość lub huraganowy wiatr wyginały do tyłu, tak błyszczącą i majestatyczną, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby w polu widzenia pojawili się jeszcze Trzej Królowie wiozący w jukach wielbłądów złoto, kadzidło i mirrę, przy czym jeśli chodzi o tę

ostatnią rzecz, nigdy nie wiedziałem, co to jest ani do czego służy.

Jednakże nawet jeśli wizja ta pogrążyła mnie w oszołomieniu i ekstazie, spostrzeżenie, że kula staje się coraz większa, nieomylna oznaka tego, że pędzi ku nam z fantastyczną szybkością, przywróciło mnie rzeczywistości bardziej naglącej i mniej pogodnej. Odsunąłem oko od okularu, przyłożyłem doń usta i krzyknąłem co sił w piersiach:

– Hej! Jest tam kto?

Przystawiłem następnie do końca teleskopu ucho, oczekując na odpowiedź, lecz usłyszałem tylko przerażającą międzygwiazdną ciszę. Ponownie spojrzełem w okular i ujrzałem, że satelita wypełnia już całą jego powierzchnię swym śmiercionośnym blaskiem.

– Jesteśmy zgubieni – powiedziałem.

Zgnębiony i zdesperowany, lecz zdecydowany na niepoddawanie się bez walki, wróciłem do punktu dowodzenia, usiadłem na obrotowym krześle i jąłem manipulować pokrętłami, stukać w klawisze i wpychać nadpalone przewody we wszystkie wolne otwory. Emilia patrzyła na mnie, jakby spodziewała się, że coś powiem.

– Nie umknęło mi bynajmniej – zacząłem więc – iż wybiła złowieszcza godzina, w której trzeba spojrzeć za siebie z pogodną jasnością umysłu osoby świadomej, że za chwilę opadnie kurtyna i że jeśli osoba ta pozwoli sobie na opieszałość, nie będzie musiała nigdy więcej sporządzać bilansu swojego życia. Nie powiem, że odchodzę z tego świata bez żalu; wśród wielorakich uczuć, sprzecznych i niewczesnych, walczących w mej duszy, zwykle ze zgubnymi efektami, nie znajdziesz sławetnego stoicyzmu i eleganckiej rezygnacji. Ze

smutkiem konstatuje, w chwili podnoszenia kotwicy, że nigdy nie posiadałem najwyborniejszych cnót ludzkości: jestem egoistą, tchórzem, chorągiewką na wietrze i oszustem. Z doświadczenia błędów i grzechów nie wyszedłem ani mądrzejszy, ani cyniczny, ani skruszony, ani dojrzały. Zostawiam za sobą tysiąc rzeczy, których nie zrobiłem, i drugi tysiąc tych, których nie rozumiem, a z których wymienię, tytułem przykładu, następujące: Dlaczego kury znoszą jajka? Dlaczego włosy na głowie i włosy na brodzie, choć tak blisko siebie rosnące, są tak różne? Dlaczego nigdy nie spotkałem głuchoniemej kobiety? Dlaczego okręty podwodne nie mają okienek na spodzie, żeby oglądać dno morza? Dlaczego programy telewizyjne nie są choć trochę lepsze? Ponadto sądzę, że życie mogłoby być nieco przyjemniejsze, niż jest, lecz nie wykluczam, że się mylę, lub nie jest takie złe, a tylko odrobinę zbyt banalne. Głupi, leniwy i niedoinformowany, stałem się tym, kim jestem; być może gdybym był bardziej nieokrzesany i dziki, dotarłbym dalej. Nikt nie wybiera swego charakteru i Bóg jeden wie, kto i jak sądzi nasze zasługi. Gdybym skończył studia, rozumiałbym wszystko. Jako że jestem osłem, wszystko jest dla mnie zagadką. Nie wiem, czy dużo tracę.

– Obraz znikł – powiedziała Emilia, która zamiast połączyć się ze mną w żalu i wysłuchać mego przesłania, zaczęła oglądać mecz.

– To koniec – powiedziałem, powstając w ostatniej próbie okazania odwagi.

Oliwkowy algorytm

Zamknąłem powieki i schowałem głowę w ramiona w próżnym wysiłku zamortyzowania wstrząsu, który nadchodził z niebios. Wówczas jednak wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, technik, którego uznaliśmy za trupa, a który dzięki Bogu nim nie był, wrócił do siebie, wstał niezauważony, podszedł do mnie bezgłośnie, szturchnął mnie i powiedział:

– Człowieku, coś pan zrobił z urządzeniami kontrolnymi?

– Zaraz spadnie nam na głowę satelita – poinformowałem go.

Daleki od przejęcia się moim prorocstwem, zaczął naprawiać to, co sknociłem, spoglądając na mnie kątem oka, na wypadek, gdybym ponownie zamierzał uciec się do przemocy. Nie wchodziło to jednak w grę, nawet gdybym bardzo pragnął, gdyż w luku, przez który Emilia i ja weszliśmy do maszynowni, pojawiło się pięciu osobników, których zostawiliśmy w graciarni walczących z mnichami, a także sami mnisi, jedni i drudzy kulejący i sponiewierani potyczką, trwającą dopóty, dopóki jeden z osobników łamaną łaciną nie nawiązał wątlej nici porozumienia z przeorem i wyjaśnił pomył-

kę spowodowaną przeze mnie. Jakby tego nie było za wiele, czerwona lampa na ścianie zaczęła migotać, powietrze przeszył dźwięk syreny i poprzedzani tymi złowieszczymi znakami wpadli do hali, na szczęście sporej, żandarmi Gwardii Cywilnej w liczbie co najmniej dziesięciu oraz oddział żołnierzy, którzy sądząc po wzroście, umięśnieniu, uzbrojeniu i mundurach, nie służyli do kopania rowów. Powstało zamieszanie zakończone skuciem mnie kajdankami oraz wycelowaniem we mnie dwóch tuzinów luf karabinów maszynowych.

– Ten pan – doniósł technik, kiedy porządek został przywrócony – uderzył mnie, a potem zaczął grzebać w urządzeniach kontrolnych. Narobił mnóstwo dziadostwa, ale dzięki memu heroizmowi połączenie zostało przywrócone. Proszę spojrzeć, jak wyraźny jest obraz.

Spojrzeliliśmy wszyscy na monitor i zobaczyliśmy, jak nasza drużyna pieprzy kapitalną akcję.

– Państwo pozwolą, że wyjaśnię ten galimatias – zacząłem.

– Nie odzywaj się niepytany – uciął kapral Gwardii Cywilnej. – I włóż coś na siebie, ty zboczeńcu, bo w hali jest panienka, a ty pokazujesz swoją korbę.

Jeden z żandarmów pożyczył mi pelerynę i owinąłem się w nią.

– A teraz – nakazał kapral – opowiedz nam, w co się bawiłeś.

– Próbowałem przeszkodzić w strasznym akcie sabotażu, panie pułkowniku – powiedziałem.

– A kto niby miał go dokonać, piękniśiu?

– Ci panowie – powiedziałem, wskazując na technika i pięciu anglojęzycznych osobników – albo ich wspólnicy.

Wybuchnąwszy śmiechem, w którym nie dźwięczała ani odrobina radości, kapral Gwardii Cywilnej okazał się na tyle uprzejmy, że wyjaśnił mi, iż zarówno pięciu osobników, jak i technik byli inżynierami lotów kosmicznych, pracującymi od lat w ośrodku kontroli, i że nikomu, z wyjątkiem mnie, Emilii, mnichów i nie-toperzy fruujących teraz zygzakami pod kopułą, nigdy nie udało się tu wtargnąć ani stąd wyjść, gdyż ośrodek jest otoczony wojskiem dowodzonym przez przedstawicieli dwóch państw.

– Prawda, Dumbo? – zapytał kapral, zakończywszy wyjaśnienia, wbijając łokieć w brzuch dowódcy zagranicznych sił zbrojnych.

– *Whatever you say, old geezer* – potaknął tamten z krzywym uśmiechem.

Odniosłem wrażenie, iż współpraca między aliancami nie przebiega zbyt gładko. Zacząłem się już nawet zastanawiać, jak wykorzystać te drobne tarcia, by ratować się ucieczką, gdy kapral ponownie zwrócił się do mnie i oznajmił:

– Nie musisz ci chyba mówić, że jesteś aresztowany jak dwa dodać dwa równa się cztery. Zgodnie z obowiązującymi przepisami powinienem przeczytać ci jakieś tam prawa, ale ponieważ zostawiłem w domu kodeks i notatki, będziesz musiał zadowolnić się moją dobrą wolą i garścią pereł ze skarbnicy wiedzy ludowej.

Co rzekłszy, zaczął recytować, że jak sobie pościesz, tak się wyśpisz, że komu Pan Bóg daje, temu święty Piotr błogosławi i tak dalej, aż przerwał mu ojciec przeor, któremu inżynier poliglota przełożył na łacinę to, co obcy dowódca powiedział po angielsku, a co było żądaniem, bym został osądzony przez niego.

– Mowy nie ma – stwierdził kapral, biorąc się pod boki. – Ten łachudra jest poddanym Korony.

– Ten pan mówi, że major Webberius mówi, że ośrodek kontroli lotów nie leży na terytorium Hiszpanii.

– Chyba kpi! – krzyknął kapral, zapalając liche cygaro i rzucając okiem na monitor. – A w dodatku strzelili nam gola.

Cudzoziemcy zaczęli konferować we własnym gronie i języku, a krajowcy wpatrzyli się w telewizor, co pozwoliło Emilii zbliżyć się do mnie i szepnąć:

– Mam wrażenie, że wpakowaliśmy się w niezłe tarapaty.

– Co do tego jesteśmy całkowicie zgodni – odszepnąłem. – Ale przy odrobinie szczęścia tobie nic nie zrobią. Jeśli będą cię pytać, powiedz, że byłeś przez cały czas z mnichami. Nie uwierzą, ale wątpię, by mieli ochotę rozdmuchiwać całą tę wstydliwą sprawę, a nie ma jak ładna buzia i... inne atrybuty, żeby prasa rzuciła się jak stado psów gończych.

– A ty?

– Sama widzisz: krzesło elektryczne albo nędzna śmierć przez uduszenie.

– Być może nie zobaczymy się więcej.

– Nie tylko możliwe, lecz wysoce prawdopodobne. Nie żyw do mnie urazy i oddaj mi ostatnią przysługę.

Oczy Emilii zwilgotniały.

– Co tylko zechcesz.

– Nie opowiadaj nikomu, co mówiłem, myśląc, że świat się kończy. Nie przygotowałem sobie tego i teraz czuję się trochę śmieszny.

– I słusznie – powiedziała, zmieniając ton z czułego na pogardliwy.

Wisiał nadal mój los na włosku stosunków międzynarodowych, gdy drzwi otworzyły się jeszcze raz i do hali wszedł nie kto inny jak komisarz Flores.

– Co z nami? – zapytał, nie przedstawivszy się nawet.

– Numancja, facet – odpowiedział kapral.

Zmieszali z błotem trenera kadry i malowali w najczarniejszych barwach przyszłość hiszpańskiego futbolu. Jako że nie mogłem się powstrzymać od wtrącenia do rozmowy, zauważyli moje istnienie i komisarz Flores, okazawszy stosowne dokumenty obecnym w hali dowódcom, oznajmił, że przybył na pole bitwy, by się mną zająć i że jeśli to się komuś nie podoba, może zadzwonić do swoich przełożonych i odebrać od nich potwierdzenie stosownych rozkazów, co zostało bezwzględnie wykonane, a mój los rozstrzygnięty.

– Chętnie bym został – powiedział komisarz Flores po zakończeniu wyżej opisanych formalności – żeby zobaczyć, jak się skończy ta masakra – miał na myśli, rzecz jasna, mecz – ale śledztwo mnie nagli, a szefowie jeszcze bardziej, więc za pozwoleniem, pożegnaliśmy się z panami i zabiorę naszą perłę. Dobrej zabawy.

Machnął na mnie i ruszył w stronę drzwi. Aby uniknąć pożegnań, poszedłem za nim, nie odrywając wzroku od podłogi. Kapral nader uprzejmie zaoferował, że nas odprowadzi. Wyszliśmy we trzech z ośrodka, który oglądany z zewnątrz przypominał pisuar odwrócony dnem do góry, i podążyliśmy ścieżką prowadzącą do tarasu, na którym stał helikopter o posępnie opadniętych śmigłach. Komisarz Flores zachęcił mnie kuksańcami, bym wspiął się do kabiny, i sam uczynił to samo, gdy tylko pożegnał się z kapralem z oznakami koleżeńskiej zażyłości. Pilot helikoptera powitał nas na

pokładzie, przypomniał o obowiązku zapięcia pasów bezpieczeństwa i zgaszenia papierosów czy czegokolwiek, co palilibyśmy w danym momencie, po czym, nie sprawdzając, czy posłuchaliśmy go czy nie, uruchomił silnik i zapalił potężny reflektor, którego oślepiające światło wykorzystał kapral, by paść na kolana i odmówić kilka pacierzy. Łopaty wirnika zawirowały z rosnącą szybkością i śmigłowiec zaczął odrywać się od ziemi ku memu największemu przerażeniu, a także, sądząc po jego minie, przerażeniu komisarza Floresa. Spojrzałem w dół i zobaczyłem kaprala przemienionego w ołowianego żołnierzyka i okrytego peleryną łopoczącą na wietrze wzbudzonym przez wiropłat. Wkrótce pochłonęła go mgła, w której utonęliśmy i my, i nie zobaczyliśmy nic więcej, aż wznieśliśmy się ponad nią i znaleźli pod czystym, rozgwieżdżonym niebem.

Była jeszcze głucha noc, gdy dotarliśmy do biura komisarza Floresa przy Vía Layetana, po wylądowaniu bez przeszkód na lotnisku i przejeździe do komisariatu radiowozem, który nas oczekiwał. Przez całą podróż komisarz nie przemówił do mnie ani słowem, nie obrzucił mnie nawet obelgami, co nasunęło mi na myśl podejrzenie, że naprawdę jest na mnie zły. Gdy znaleźliśmy się w biurze, rozkazał, by przyniesiono mu kawę z dodatkiem białego rumu, a gdy oficer dyżurny zwrócił mu uwagę, że bary są zamknięte, rąbnął pięścią w stół i powiedział, że na cholere jest zostać komisarzem czy samym papieżem, skoro człowiek nie może napić się kawy z rumem, kiedy ma na to cholerną ochotę, że już czas, żeby ktoś z jajami zrobił porządek z tą anarchią i nierządem, że szcza i sra na wszystkie bary Barcelony, a w szczególności na te, które są zamknięte za piętnaście czwarta rano. Oficer dyżurny, który wyszedł

z biura na samym początku tej jeremiady, wrócił i oznajmił, że jakiś człowiek pragnie pilnie porozmawiać z komisarzem. Być może uznając, że przyda mu się pod ręką ktoś, na kim mógłby wyładować swój gniew, komisarz powiedział, że dobrze, niech wpuszczą skurwysyna, który ma czelność mu przeszkadzać, i w taki oto sposób mój dobry przyjaciel don Plutarquete, sędziwy historyk, uzyskał audiencję o tak niestosownej godzinie.

– Proszę mi wierzyć, panie komisarzu – odezwał się staruszek w te słowa, przekroczywszy próg gabinetu – że za nic w świecie nie odważyłbym się zabierać panu bezcennego czasu i, jak przeczuwam, burzyć legendarnego spokoju, gdybym nie sądził, że sprowadza mnie do tego szacownego domostwa sprawa najwyższej wagi. Gdy tylko dowiedziałem się, co zaszło w katakumbach, przybyłem jak najchyżej. Na szczęście ledwie zacząłem machać ręką na autostradzie, zatrzymał się motocyklista, który nie tylko najuprzejmiej podwiózł mnie do samiotkich drzwi komisariatu, lecz pożyczył mi swoją kurtkę, żebym nie przemarzł podczas podróży. Młodzieniec, w sumie nadzwyczaj grzeczny, który w tym właśnie momencie jest przesłuchiwany w podziemiu pod zarzutem prowadzenia skradzionego motoru bez prawa jazdy i pod wpływem narkotyków. Jednakże to nie pragnienie zdania relacji z mej skromnej odysei sprowadza mnie w te progi, lecz chęć rzucenia światła na kilka punktów tej historii, które mogły, jak się obawiam, pozostać nie całkiem jasne w pańskich oczach. Przede wszystkim, i jeśli słowo me ma dla pana jakąkolwiek wagę, chciałbym pana zapewnić, szanowny panie komisarzu, iż obecny tu, w pańskim gabinecie, młodzieniec działał przez cały czas z pobudek jak

najbardziej altruistycznych, nie mówiąc o najbardziej elementarnej logice. Romantyczny z natury, zakochany w literaturze, niewykształcony z przyczyn niemających nic wspólnego z naszą sprawą, wyobraził sobie biedaczyna, że ma do czynienia z diaboliczną machinacją, z apokaliptycznym spiskiem. Nic bardziej fałszywego. Z pobieżnej lektury archiwów zakonu wywnioskowałem, iż jest on prawowitym właścicielem ziem, na których wznoszą się jego klasztory przy szlaku świętego Jakuba. Gdyby zakon wymarł, co zapewne wkrótce nastąpi, rzeczony nieruchomości przypadną państwu hiszpańskiemu, zgodnie z ustawą Mendizábala o wywłaszczeniu, lub też Watykanowi: drażliwy przypadek prawa międzynarodowego, co do którego byłoby przedwczesne wypowiadać się z całą pewnością. Ważne jest to, iż firma produkująca nadziewane oliwki, której siedziba główna, nawiasem mówiąc, została strawiona przez pożar wczorajszego popołudnia, miała chrapkę na owe budowle, już to planując przekształcenie ich w luksusowe hotele, które, biorąc pod uwagę degrengoladę religijną współczesnego społeczeństwa, przyniosłyby zapewne krociowe zyski, już to by uczynić je przedmiotem innych spekulacji. Świadomy, że zakon stoi u progu ostatniego etapu swej historii, i by zdążyć przed zgaśnięciem jego ostatniego członka, co rozpoczęłoby przewlekły proces spadkowy, holding postanowił wykonać pierwszy krok i przeciwstawić potencjalnym powodom skuteczną figurę prawną faktów dokonanych. Widzą panowie, jakie to proste. Prawdopodobnie pieniądze, które tyle napodróżowały się w słynnej walizce i tyle istnień ludzkich kosztowały, były przeznaczone na łapówkę dla jakiegoś urzędnika katastralnego, poproszonego o sfalszowanie ksiąg

wieczystych. Nie wiem. Tak czy owak, szanowny komisarzu, kochany przyjacielu, ani satelita, ani ośrodek kontroli nie miały nic wspólnego z naszą sprawą. Zdrowa wyobraźnia ludowa podtrzymuje teorię estetycznie prawdziwą, aczkolwiek niesprawdzającą się w konfrontacji z historią, wedle której wielkość zbrodni powinna być wprost proporcjonalna do jej oczekiwanych rezultatów lub ogromu łupu. Jest też dowiedzione, że złoczyńcy rzadko bywają obdarzeni wybitną inteligencją lub wybujałą fantazją. Smutne, ale prawdziwe. Gdyby ów dobry człek nie utracił pogody ducha i nie dał się ponieść zamięłowaniu do powieści – słuchajcie dobrze, bo to właśnie jest morał całej historii – lecz zastosował powolną i żmudną metodę, zwaną algorytmem, polegającą na chłodnej analizie wszystkich możliwości przed wyciągnięciem ostatecznego wniosku, nie znajdowałyby się teraz w tym miejscu, oczekując Bóg jeden wie jak surowego wyroku.

Gdy kazanie dobiegło końca, komisarz Flores podziękował najwylewniej uczonemu starcowi, zapytał, czy ma zaszczyt znajdować się w obecności słynnego profesora don Plutarquete'a Pajarella, który od dwudziestu lat kradnie książki z Biblioteki Centralnej, a gdy ów potwierdził, nakazał, by zamknięto go w więzieniu.

Kiedy wyprowadzono profesora, zadzwonił telefon. Komisarz odebrał, wysłuchał, co do niego mówią z drugiego końca linii, uklonił się kilkakrotnie i zapewnił, że natychmiast wykona otrzymane polecenie, żeby się nie martwić i że nic takiego się nie powtórzy. Po czym odłożył słuchawkę i powiedział do mnie:

- Idziemy.
- Dokąd?

– Zobaczysz.

Osądziłem, że pluton egzekucyjny się niecierpliwi, i uznałem, iż mam prawo do sformułowania ostatniej prośby.

– Panie komisarzu – powiedziałem – proszę wyjaśnić zzerającą mnie wątpliwość: skąd pan się dowiedział, że to ja majstruję przy satelicie?

Spojrzał na mnie, jakby miał zaraz wybuchnąć, i powiedział:

– Jak niby myślisz, tumanie? A byliśmy przy piłce! Nie powiedział ani słowa więcej i zostałem równie mądry jak na początku. Ruszyliśmy w długą wędrówkę po wesołych korytarzach szacownego gmachu, a w jednym z nich, dzięki zbiegowi okoliczności, w jakie obfituje życie, minęliśmy dwóch umundurowanych policjantów prowadzących zakutą w kajdanki moją siostrę Cándidę.

– Cándida! – wykrzyknąłem, zatrzymując się i przytulając do ściany, by pozostać poza zasięgiem jej kopniaków. – Cóż cię tu sprowadza?

Komisarz Flores i mundurowi byli tak uprzejmi, że pozwolili nam na krótką wymianę zdań, dzięki czemu Cándida zreferowała mi pokrótce powody znalezienia się w tym samym miejscu co ja.

– Zaraz po tym, jak sobie poszlicie – zaczęła – ta niby twoja narzeczona, która wygląda, jeśli chcesz znać moje zdanie, na niezłe ziółko, obudziła się i zaczęła rzucać mięsem, na jakie, słowo daję, nie pozwoliłabym w moim domu, gdyby nie chodziło o przyszłą szwagierkę. Kiedy wyczerpał się jej repertuar, zaiste bogaty, zapytała, czy mam przy sobie jakieś pieniądze. Dałam jej tę odrobinę, którą chowam w materacu, a ona wówczas zapytała, czy wiem, gdzie mogłaby kupić sobie

jakiś dobry paszport. Ja z kolei zapytałam ją, czy potrzebuje go na podróż poślubną, a ponieważ odpowiedziała mi, że tak, dałam jej adres dobrego pacykarza. Już dwa razy wystawiał w galerii Vandrés, pomyśl tylko! Dziewczyna powiedziała mi, że zaraz wraca, i znikła z pieniędzmi. Trzy godziny później ktoś zadzwonił do drzwi. Myślałam, że to ona, ale to były te dwa aniołki, które teraz mi towarzyszą – wskazała na policjantów, którzy z pewnością właśnie opowiadali swoją wersję wydarzeń komisarzowi Floresowi – a wtedy bardzo grzecznie zapytały mnie, gdzie jest dziewczyna, której udzieliłam gościny w moim domu, jeśli mianem takim, dodały z pogardą, można obdarzyć ten chlew. Na co odpowiedziałam, że jestem biedna, ale co do czystości nikt mnie nie przebiję, że nie wiem, o jakiej dziewczynie mówią i że nie odpowiem więcej na żadne pytanie, dopóki nie pojawi się mój adwokat.

– Oglądasz za dużo telewizji, Cándida – wtrąciłem.
– Co na to oni?

– Że nie adwokat jest mi potrzebny, ale weterynarz. Wyobrazasz sobie?! Wściekłam się, jak nie wiem... i jestem tutaj.

– Nie powiedzieli ci, dlaczego szukają Marí Pandory?

– Owszem – stwierdziła moja siostra. – Podobno jest zamieszana w zabójstwo niejakiego Toribia Pisuergi. Wiesz coś o tym?

– Nic a nic. Dlaczego nie powiedziałaś im prawdy?

– Człowieku! – wykrzyknęła moja siostra. – Nie mogłam przecież wydać twojej narzeczonej!

Pomyślałem nad tym wszystkim przez chwilę, po czym powiedziałem:

– Zrobiłaś bardzo dobrze, Cándida. I niczym się nie

przejmuj, ja wszystko załatwię.

– Spoko – odrzekła ona.

I na tym zakończyła się nasza rozmowa, gdyż dwaj policjanci zabrali ją w jedną stronę, a mnie komisarz Flores pociągnął w przeciwną. Po kilku krokach powiedziałem mu, żeby wstawił się za moją biedną siostrą, która nie ponosi żadnej winy, co specjalnie go nie wzruszyło. Szliśmy dalej i opuściliśmy gmach przez boczne drzwi. Nie czekał tam na mnie pluton egzekucyjny, lecz ten sam radiowóz, który odebrał nas na lotnisku, a w którym siedziało teraz dwóch młodych i wesołych policjantów. Wsiadliśmy, komisarz Flores i ja, i samochód ruszył.

Nie pamiętam, czy podróż trwała długo czy krótko, gdyż odbyłem ją pogrążony we własnych myślach i nie mało zirytowany owym ostatnim spotkaniem, które – prócz tego, że bolesne – podważało wszystkie dotychczas niezbite wnioski, jakie don Plutarquete i ja wysnuliśmy z interesującej sprawy będącej przedmiotem tej powieści. I poprzysiągłem sobie, że jeśli pewnego dnia odzyskam wolność, niezwłocznie podejmę próbę rozsąpania splątanych wątków i rozjaśnienia mrocznych punktów, jakie zawsze zostają w zagadkach, które rozwiązuję. Nie mogłem nie zastanowić się, w świetle powyższego, jakim prawem spogląda w przyszłość z ufnością i uczciwymi zamiarami człowiek, którego przeszłość jest pasmem rys i cieni, a terażniejszość niewiadomą tak mało obiecującą, jak sugerowało mi uparte milczenie komisarza Floresa.

Niebo szarzało już, gdy zaparkowaliśmy pod murem domu wariatów i wysiedliśmy z samochodu. Komisarz przeszedł kilka kroków, znalazł miejsce, które uznał za najdogodniejsze, i bez dalszych wyjaśnień dał znak

dwóm policjantom, którzy nam towarzyszyli. Wiedząc, że stawianie oporu jest daremne, pozwoliłem, by chwycili mnie za kostki nóg i rąk, rozhuścili kilka razy i rzucili w powietrze.

Wylądowałem na klombie róż i tak trafnie dobrał komisarz Flores punkt startu, odległość i parabolę, że o mało nie zmiażdżyłem Pepita Purulenciasa, który z wiadrem i młotkiem w ręce wytrwale polował na karaluchy.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem, Pepito – powiedziałem, podnosząc się i próbując wyciągnąć kolce róż, które powbijały mi się w całe ciało podczas upadku.

Jak najdalszy od gniewu. Pepito porzucił śmiercionośny sprzęt, ucałował mnie w oba policzki, objął i poklepał po łopatkach z euforią, która wydała mi się nieco nie na miejscu.

– Chłopie, jak się cieszę! Pozwól, iż będę pierwszym, który ci pogratuluje – usłyszałem z jego ust, nie mając pojęcia, o czym mówi. – Że też nic nam wcześniej nie powiedziałeś! Wszyscyśmy widzieli, lekarze, pielęgniarki, koledzy, wszyscy bez wyjątku. Wypadłeś cholernie dobrze, wiesz? Bardzo naturalnie, pełna zimna krew. I mówiłeś wyraźnie i pewnie. Nic z tego nie zrozumieliśmy, jasne, ale wywarłeś doskonałe wrażenie. I kto by pomyślał? Doktor Sugañes aż pęka z dumy.

Nieco później miałem się dowiedzieć, ku mej wielkiej konsternacji, że naciskając na chybił trafił przyciski i klawisze w ośrodku kontroli lotów, wywołałem rzadką interferencję fal i częstotliwości i, zamiast meczu piłki nożnej, mój zuchwały wizerunek i głupawa mowa przedśmiertna wypełniły na kilka minut ekrany

wszystkich telewizorów w kraju.

Następnego dnia, na śniadanie, zamiast kwaśnego mleka, jak wszystkim innym, podano mi czerstwy chleb i pepsi-colę.

Spis treści

Rozdział pierwszy	
Jak zostałem porwany i przez kogo	5
Rozdział drugi	
Dlaczego to?	14
Rozdział trzeci	
Wycieczka do stolicy	21
Rozdział czwarty	
Sytuacja się gmatwa	34
Rozdział piąty	
Wielki świat filmu	45
Rozdział szósty	
Zbytek higieny...	61
Rozdział siódmy	
... i jej niedostatek	75
Rozdział ósmy	
Oszustwa	87
Rozdział dziewiąty	
Mniam, mniam	96
Rozdział dziesiąty	
I inne podstępny	107
Rozdział jedenasty	
Sen i rozum	123
Rozdział dwunasty	
O kaprysach losu	140

Rozdział trzynasty	
Któż nie ukrywa przeszłości? Któż nie posiada sekretu?	149
Rozdział czternasty	
Wszystko złe, wszystko w porządku	159
Rozdział piętnasty	
O miłości	164
Rozdział szesnasty	
O przemocy	172
Rozdział siedemnasty	
O pieniądzach	179
Rozdział osiemnasty	
O władzy	187
Rozdział dziewiętnasty	
Na rozżarzonych węglach	198
Rozdział dwudziesty	
Bez wytchnienia	207
Rozdział dwudziesty pierwszy	
Wszystko idzie w górę	214
Rozdział dwudziesty drugi	
Pobożne towarzystwo	222
Rozdział dwudziesty trzeci	
Śpiewający sukub	237
Rozdział dwudziesty czwarty	
<i>Danger!</i>	246
Rozdział dwudziesty piąty	
Broń nuklearna? Nie, dziękuję	252
Rozdział dwudziesty szósty	
Oliwkowy algorytm	257

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak,
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie 1, 2004.
Druk: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16.

Eduardo Mendoza (ur. 1943) pochodzi z Barcelony. Swoją twórczość określa mianem literackiego pijaństwa bądź powieściowego chuligaństwa. Pytany, czy jest pisarzem postmodernistycznym, odpowiada, że „post-post, kiedy już przeszła kawalkada i przejeżdża się spychaczem, zgarniając wszystko”.

Ekscentryczny detektyw o maniakalnych skłonnościach podejmuje próbę ucieczki z przytulku dla psychicznie chorych. Przyjmuje misję przechwycenia walizeczki wypełnionej po brzegi banknotami o wysokim nominale. W ten sposób wkracza w labirynt niebezpiecznych zdarzeń. Działa błyskawicznie. Zmienia oblicza. Bezszelestnie przemieszcza się po zaułkach Barcelony. Staje twarzą w twarz z szefami podejrzanych korporacji. Niezwykłe czujny, wściekle przebiegły, zwieść go mogą tylko wdzięki pięknej asystentki. Klucząc, dociera do punktu wyjścia. Cel niezamierzony, ale osiągnięty.

Ostatnia część przygód osobliwego bohatera to wyżyny językowej szarlatanerii. Mendoza nie ma litości dla klasyków. Zonglując sprawdzonymi metodami, tworzy z nich antykonwencję – wciąga w zabawę literacką i nie odpuszcza do ostatniego akapitu. Fascynujący prestidigitator.

Oliwkowy lubrynt to najbardziej brawurowa część perypetii bohatera **Przygody fryzjera damskiego** i **Sekretu hiszpańskiej pensjonarki** – niepowtarzalnej trylogii o zabarwieniu sensacyjnym.

cena detal. 31 zł

www.znak.com.pl

ISBN 83-240-0447-5



9 788324 004478

